

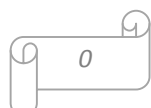


Maggie Shayne



Śladem miłości

Tytuł oryginału The Husband She Couldn't Remember



ROZDZIAŁ 1

Tej nocy znowu przyśniła mu się żona.

Leżał przez dłuższą chwilę nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami, czekając, aż uspokoi mu się tętno. Ciepły wiatr poruszał firankami w otwartym oknie, niosąc ze sobą znajome odgłosy teksańskiej nocy - cykanie świerszczy i wycie kojotów, przypominające lament porzuconych kochanków. W jego śnie Penny miała jakieś problemy i wzywała go na pomoc.

Prawdę mówiąc, to takie do niej niepodobne - prosić o pomoc. Na ogół było tak, że pakowała się w tarapaty, a potem przybiegała do niego przestraszona, ale zbyt dumna, żeby się do tego przyznać.

Dopiero potem się zmieniła. Straciła życiowy rozpęd, stała się spokojna i nieśmiała. To miało miejsce znacznie później: wtedy, gdy lekarz powiedział, że czeka ją powolna śmierć i nic na to nie można poradzić. Świadomość nieuniknionego końca zabiła w niej ducha. Ben pomyślał z goryczą, że najbardziej żywotna część Penny umarła na długo przed pojawieniem się pierwszych symptomów okrutnej choroby.

Jednak w jego śnie Penny nie była tą załamaną kobietą, którą poślubił, tylko pełną życia i fantazji dziewczyną, w której się zakochał. Która, jeśli już płakała, to raczej ze złości niż ze strachu. I nie prosiła, tylko żądała. A potem wszystko diabli wzięli.

Teraz Penny często nawiedzała go w snach i wzywała pomocy, a on nic nie mógł zrobić.

Najbardziej dręczyło go przeświadczenie, że to wyłącznie jego wina. Bo nie był z Penny aż do końca. A przecież powinien. Tylko że śmierć nie przyszła tak, jak tego oboje oczekiwali. Nie przyszła powoli, zgodnie z przewidywaniami lekarzy, ale zaskoczyła ich nagle, jak grom z jasnego nieba. Penny umarła w samotności, mimo iż jej obiecał, że w tej ostatniej minucie będzie przy niej i będzie ją trzymał w ramionach. Umarła bez niego, a on wciąż nie mógł się z tym pogodzić.

Na dworze zaryczała krowa, a cielątko odpowiedziało jej cichym muczeniem. Ben otrząsnął się i wstał z łóżka. Jakie to szczęście, że ma co robić. Gdyby nie farma, pewnie leżałby całymi dniami w łóżku i śnił o Penny albo zadreślał się wyrzutami sumienia. Rozsunął firanki i wychylił się przez okno.

Sierp księżycyca oświetlał jasnym blaskiem bezkresną równinę. Ben widział wyraźnie podwórze, obory i rozciągające się za nimi pastwiska. Poszukał wzrokiem hałaśliwej krowy i jej cielaka, by się upewnić, że wszystko w porządku. Nagle coś przykuło jego uwagę i zmusiło, by powiódł spojrzeniem wzdłuż wyboistej drogi aż do miejsca, w którym - odkąd sięgał pamięcią - wznosił się potężny drewniany łuk, a rzeźbione w drewnie litery tworzyły napis „Texas Brand”.

Przed tym łukiem stała jakaś kobieta, z uniesioną do góry głową, jakby wpatrywała się w bramę. Niesamowite wrażenie, jakiego Ben doświadczył w ułamku sekundy, sprawiło, że zastygł bez ruchu.

Zacisnął mocno powieki.

- A niech mnie diabli, tylko nie to - wyszeptał. - Przecież jej już naprawdę nie ma. Jeśli się nie weźmiesz w garść, Ben, twoja rodzina gotowa pomyśleć, że tracąc żonę, postradałeś również zmysły.

Otworzył oczy. Nadal tam była, a wiatr rozwiewał jej włosy. Niestety, nie widział twarzy. Nie potrafił nawet określić stroju kobiety. Ale miała w sobie coś takiego...

- To nie Penny - powiedział sam do siebie. Jeśli to nie Penny, to dlaczego jego ciało zareagowało tak, jakby to była ona? Z tej odległości nie mógł nawet rozpoznać koloru włosów. Odwrócił wzrok, potarł powieki i znowu spojrzął w stronę bramy. Zjawa nie zniknęła. Tym razem nie była to więc gra wyobraźni jak wtedy, podczas treningu, gdy wydało mu się, że widzi Penny za oknem, ale kiedy wybiegł na dwór, przekonał się, że omamiły go własne zmysły. Tym razem na pewno na drodze stała jakaś kobieta, tylko że to nie mogła być jego nieżyjąca żona.

Sięgnął po dzinsy, przewieszane przez poręcz łóżka, i wciągnął je, nie spuszczając wzroku z tajemniczej postaci, a potem bosy i bez koszuli wyskoczył na korytarz, zbiegł ze schodów, w kilka sekund przemierzył sień i znalazł się na ganku. Wyteżył wzrok. Na drodze ani żywego ducha. Tylko podmuchy wiatru podrywały do góry kłęby kurzawy i wprawiały w ruch skrzypiące zawiasy drewnianej huśtawki.

Rozejrzał się wokoło, ale ona naprawdę zniknęła. Tak jak poprzednim razem. Jakby jej nigdy nie było.

Zszedł po schodkach i ruszył przed siebie, jak lunatyk, w stronę drewnianego łuku. W domu zapaliły się światła. Ben usłyszał tupot

kroków i znajomy trzask ażurowych drzwi. Nadchodzili jego bracia. Jak zwykle martwią się o niego. Chcieliby mu jakoś pomóc. Rzecz w tym, że to niemożliwe. Wraz z Penny odeszła jego dusza, a on zaczynał już nabierać pewności, że nigdy nie otrząśnie się po tej tragedii.

- Ben, co się dzieje? - zagrział władczy baryton najstarszego brata, Garretta.

Na dźwięk jego głosu milkły nawet kojoty, ale Ben potrząsnął tylko głową i dalej szedł przed siebie. Zatrzymał się dopiero przy bramie. Pochylił się i zaczął wypatrywać śladu stóp, ale na próżno.

- Źle się czujesz, Ben?! - zawołał Elliot. W jego głosie zabrzmiał strach. Elliot był najmłodszy i świadomość, że jeden z jego starszych braci traci poczucie rzeczywistości, musiała działać na niego wyjątkowo przygnębiająco.

- Spokojnie. Nic mi nie jest - odparł Ben, a jego głos, równie potężny jak cała postać, niósł się w powietrzu. - Wydawało mi się, że... że widziałem jakiegoś człowieka. To wszystko.

Ktoś szybko zbiegł po schodach z ganku.

- Ja pójdę - rozległ się zdecydowany głos.

To oczywiście Adam. On i Adam zawsze byli sobie najbliżsi. Z czasem łączące ich więzy uległy pewnemu rozluźnieniu. Adam wyjechał na wschodnie wybrzeże i został tam dyrektorem firmy. Do domu przyjechał na miesiąc, na urlop. Twierdził, że stęsknił się za farmą i poczuł, że musi się znowu zobaczyć z rodziną.

Ben podejrzewał, że Adam zjawiał się z jego powodu. Widocznie bracia uznali, że za długo opłakuje Penny i doszli do wniosku, że kto jak kto, ale Adam na pewno pomoże mu wyjść z depresji.

Na widok zbliżającego się brata Ben szybko się wyprostował. Wziął głęboki oddech i serce zamarło mu w piersi. Poczul zapach bzu. Penny zawsze pachniała bzem.

- No więc, co takiego zobaczyłeś? -zapytał Adam. Oparł się plecami o bramę, a ręce skrzyżował na szerokiej piersi.

Patrzac na niego, Ben pomyslał, że jego brat zawsze wyglada jak model z okładki eleganckiego magazynu. Nawet wyrwany z łóżka w środku nocy. Teraz, na przykład, miał na sobie zapiętą na ostatni guzik czarną koszulę ze stójką, czarne markowe dżinsy i lśniące wysokie buty, nieskalane nawet najdrobniejszym pyłkiem. Może po prostu za krótko był na farmie.

Ben wzruszył ramionami.

- Powąchaj. Czujesz tu jakiś zapach?

Adam skrzywił się, ale posłusznie wciągnął do płuc haust powietrza.

- Tak. Krowy.

- Jeszcze coś?

Adam znowu pociągnął nosem.

- Konie?

- Dobrze już. Nieważne.

Adam zajrzał bratu w twarz.

- A co ty poczułeś, Ben?

- Nic.

- No to co zobaczyłeś?

- Ktoś tu stał, ale to już nieistotne.

- Może tak, a może nie - powiedział Adam. - Widziałeś kobietę czy mężczyznę?

- A jakie to ma znaczenie? - Ben odwrócił się i chciał ruszyć w stronę domu, ale Adam zatrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- To znaczy, że kobietę. Posłuchaj, czemu nie chcesz być ze mną szczerzy? Znowu ci się wydawało, że zobaczyłeś Penny, tak?

Ben milczał, zaciskając usta.

- O to chodzi, prawda? - Adam zbliżył się i spojrzał mu w oczy.

- Martwię się o ciebie.

- Całkiem niepotrzebnie. Teraz ty mnie posłuchaj. Może dacie mi wreszcie święty spokój. W końcu jakoś sobie radzę bez

Penny. Założyłem szkółkę tai chi. Zacząłem nowe życie. Czego jeszcze ode mnie chcecie?

- Oczekujemy, że wreszcie weźmiesz się w garść. Pora skończyć z żałobą. Chcemy, żebyś znowu był szczęśliwy.

Ben spojrzał bratu u oczy. Malowała się w nich szczerza troska.

- Dobrze wiesz, że to niemożliwe.

- Nie masz racji, Ben. Inni jakoś potrafią.

Do diabła z innymi. Kiedy jego rodzina wreszcie zrozumie, że on to on, a nie inni? Poczul, że wzbiera w nim złość i wcale nie zamierzał się z tym kryć.

- Tak jak ty, braciszku? Kiedy ta twoja Kirsten Armstrong cię rzuciła, uciekłeś do Nowego Jorku. I to ma być przykład? Chyba żartujesz! Dobrze wiem, dlaczego nie chcesz jeździć do miasteczka. Boisz się, że natkniesz się na nią i na tego bogatego starego pryka, za którego w końcu wyszła za mąż.

Adam uniósł głowę. W jego oczach zapłonął gniew.

- Wybaczam ci, ale po raz pierwszy i ostatni, bo wiem, że cierpisz.

- Ty też cierpisz - odciął się Ben. - Zastanów się nad tym, co byłoby gorsze. Wolałbyś, żeby Kirsten umarła jako twoja żona, czy żeby żyła z innym? Pomyśl przez chwilę, a potem mi powiedz, jak mam się pogodzić ze śmiercią Penny.

Adam spuścił wzrok i pokiwał głową z ubolewaniem.

- Ależ ty jesteś niemożliwy! Ja wcale nie porównuję mojej historii z K... do twojej straty. Już dawno przestałem cierpieć z powodu jej niewierności. Ja jej nienawidzę.

- Aż tak bardzo, że nie jesteś w stanie wymówić jej imienia - powiedział z westchnieniem Ben. Nie powinien wspominać o Kirsten. Rany w sercu Adama jeszcze się nie zabiłiły. Uniósł głowę i zapatrzył się na księżyc. - Przepraszam cię, to był cios poniżej pasa. Wiem, że się o mnie martwisz.

- I to jak.

- Prawdę mówiąc, ja też się tym wszystkim martwię - wyznał Ben.

- I co dalej?

- Nie wiem. Proszę cię o jedno, nie każ mi się pogodzić ze śmiercią Penny. To niemożliwe. Nie męcz mnie, tak jak cała reszta rodziny, dobrze?

- W porządku - powiedział Adam. - Nie będę się już ciebie czepiał.

Ben spojrzał mu w oczy, a potem klepnął w tors.

- Aha, jeszcze jedno - dodał - jak ty to robisz? Sypiasz w tych eleganckich ciuchach?

Adam zgromił go wzrokiem, a potem objął bracia ramię w ramię ruszyli w stronę domu.

Po powrocie Ben nie kładł się już do łóżka. Do świtu zastała tylko godzina. Włożył śnieżnobiałe kimono, zawiązał czarny pas i wyszedł bosy na podwórze, żeby powitać nowy dzień.

Gdy zza horyzontu wynurzyło się słońce, złożył dłonie jak do modlitwy, skłonił się głęboko, a potem rozpoczął płynne, powolne ruchy tai chi. Przećwiczył skrócony program yang, potem pełny program, a potem jeszcze raz skrócony, aż wreszcie poczuł, że ogarnia go błogi spokój. Zniknęło napięcie, a on do tego stopnia zatracił się w tym, co robił, że zapomniał o bożym świecie. Była to jedyna pora, kiedy potrafił nie myśleć o swojej stracie.

Tym razem, mimo pełnej koncentracji, odnosił dziwne wrażenie, że jest obserwowany.

Jedynie, co udało jej się znaleźć, to adres i nazwę rancza w Quinn, w stanie Teksas. I nic więcej. Mały skrawek papieru pod podszewką zakietu odkryła w kilka dni po tym, jak pozwolili jej

włożyć dawne ubranie i mogła już wychodzić na krótki spacer po ogrodzonym dziedzińcu. Kartka musiała się dostać pod podszewkę przez dziurkę w kieszeni. Wyczuła ją pod materiałem, kiedy się ubierała, i wrodzona ciekawość kazała jej natychmiast sprawdzić, co to jest.

Odpruła kawałek podszewki z uczuciem, że jej ciekawość jest być może trochę przesadna. A jeśli nawet, to co?

Texas Brand... Gdzie miała się udać, jeśli nie tam, skoro sprawy w klinice zaczęły się układać... niezbyt dobrze? Działo się coś dziwnego. Gość przed nią ukrywali. Czowała to. A kiedy wspomniała o wyjeździe... zaczęli się tak dziwnie zachowywać.

Tak naprawdę w głębi duszy czuła, że czasami zbyt pochopnie wyciągała wnioski. Ktoś - ale kto... bardzo chciałaby to sobie przypomnieć - zarzucił jej kiedyś ze śmiechem, że ma w zanadrzu więcej kryminalnych teorii spiskowych niż sam Alfred Hitchcock. Może więc myliła się w swoich podejrzeniach co do osoby doktora Barlowa?

Chyba raczej nie. Ten człowiek zawsze uciekał wzrokiem, kiedy z nim rozmawiała albo zadawała mu pytania. Intuicyjnie wyczuwała w nim kłamcę. Poza tym, wciąż jej powtarzał, że jest sama na świecie, że zjawiała się w klinice zdesperowana, mówiąc, iż nie ma żadnej rodziny. A ona przypuszczała, że to nieprawda.

Podpowiadało jej to jakieś potężne, wszechogarniające uczucie. Tęsknota? Pragnienie? Ale za kim? Wiedziała, że był ktoś, kto istniał

naprawdę... ktoś zagubiony w tej wielkiej, czarnej dziurze, która wchłonęła jej pamięć.

Ten ktoś ją kochał. To także wiedziała. Często o nim śniła, ale po przebudzeniu nie mogła już sobie przypomnieć snów, które pozostawiały po sobie błogie uczucie ciepła, miłości i bezpieczeństwa. A potem, kiedy zaczynała do niej docierać rzeczywistość, znikająca wszelka radość, a w jej miejsce pojawiało się dojmujące uczucie pustki i bolesna świadomość poniesionej straty.

To znaczy, że miała jednak kogoś. I zrobi wszystko, żeby go odnaleźć. Choćby doktor Barlow jej wmawiał, że ten człowiek z jej snów nigdy nie istniał.

Były też inne sprawy, które ją niepokoiły. Czuła, że nie mówią jej wszystkiego, co o niej wiedzą. Była na przykład Amerykanką. Świadczył o tym jej akcent - typowo amerykański, a przy tym dziwnie śpiewny, czyli musiała pochodzić z Południa. A to by się zgadzało z adresem na znalezionej karteczce. Teksas... Jak, na Boga, udało jej się dotrzeć z Teksasu do Anglii? I po co tu przyjechała? A może miała jakichś przyjaciół lub krewnych?

Nawet jeżeli tak, przestało to być aktualne. Kiedy wreszcie wyszła ze stanu śpiączki, okazało się, iż nie zna nikogo. Nawet samej siebie. Instykt podpowiadał jej, że powinna jechać do Teksasu, bo tam znajdzie odpowiedź na wszystkie dręczące ją pytania. Więc tak też zrobiła.

Stała teraz ukryta za grubym pniem dębu i patrzyła na nieznanego mężczyznę z uczuciem, że każda najdrobniejsza

cząsteczka jej jestestwa zaczyna wibrować. Czy to ma być mężczyzna z jej snów? Po przebudzeniu nigdy nie zdołała sobie przypomnieć twarzy.

A może tylko usiłowała wypełnić męczącą pustkę pierwszym kandydatem, który pojawił się w zasięgu jej wzroku? Chyba raczej nie. Jak mogła uwierzyć że to on, skoro nie miała żadnych dowodów? Czy mogła zaufać wyłącznie temu potężnemu uczuciu, które zawładnęło nią w chwili, gdy go ujrzała?

To był wyjątkowo przystojny mężczyzna. Wysoki, szeroki w barach i ogorzały od słońca. Sądząc z postury, spodziewała się, że będzie trochę niezdarny. Nigdy by nie przypuszczała, że ktoś wielki jak niedźwiedź może się poruszać tak zwinnie i z taką gracją. Niczym tancerz.

Patrzyła na niego pod słońce i jego luźny, biały strój wydał jej się czerwony. Był boso, a jego ręce i nogi poruszały się w pięknym, zsynchronizowanym rytmie. Lekki wiatr rozwiewał mu złote włosy, ujęte czarną opaską.

Przyjechała tu, bo nie wiedziała, co ze sobą począć. I nie po raz pierwszy patrzyła z oddali na tego złotowłosego bożka.

Poprzednim razem zawahała się. Nie zapukała do drzwi sali gimnastycznej, czy jak to się tam nazywa. Teraz także zabrakło jej odwagi, żeby podejść i zapukać do drzwi jego domu. Najpierw chciała się dowiedzieć, w co się pakuje. Dlatego musiała przeprowadzić jakiś wywiad. Kim byli ci Brandowie z Teksasu? Czy ucieszą się z jej przyjazdu? I czy w ogóle ją znali? A także dlaczego... dlaczego na

sam widok tego mężczyzny serce zaczyna jej szybciej bić i czuje dziwny ucisk w gardle?

Ten łuk nad drogą dawno już przykuł jej uwagę. Stała pod nim jak głupia, modląc się w duchu o to, by wróciła jej pamięć. Czowała, że prawda jest tuż-tuż, na krawędzi świadomości, ale wciąż nie mogła przekroczyć tego zaklętego kręgu. Była tak bardzo skupiona na swoich odczuciach, że omal nie dała się przyłapać temu wielkiemu, jasnowłosemu kowbojowi, który nagle wybiegł z domu. Powinna natychmiast odjechać. To takie do niej niepodobne dać się złapać. Była tego pewna.

Jednak coś w tym potężnym mężczyźnie przyciągało ją, wtedy i teraz. Chciała podkraść się do niego od tyłu i dotknąć go. Chciała zobaczyć jego oczy, kiedy się odwróci i na nią spojrzy. Nie mogła oderwać od niego wzroku, nie mogła ruszyć się z miejsca, choć przecież wiedziała, że nie powinna czaić się w ukryciu jak złodziej.

Nagle on zastygł bez ruchu i zapatrzył się we wschodzące słońce. Jego szerokie bary zaczęły drżeć. Opuścił głowę i osunął się na kolana, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Usłyszała głębokie, rozdzierające westchnienie i cichy szept: „Penny”.

W tej samej chwili poczuła bolesny ucisk w piersi i pieczenie pod powiekami.

Zaciskając drżące usta, wycofała się po cichu na drogę i wkrótce dotarła na miejsce, gdzie zostawiła samochód. A potem powoli dojechała do miasteczka, które nazywało się Quinn, i dalej, do

swojego hotelu w El Paso. Przez całą drogę rozmyślała o tym przystojnym mężczyźnie i o straszliwym bólu, który zżerał mu duszę.

Myślała o nim nadal, kiedy parkowała samochód na podwórzu za Boot-Scoot Inn, a także gdy szła w stronę recepcji. Dochodziła już do wielkich, szklanych drzwi ze złotym kowbojskim butem, kiedy nagle coś nakazało jej się zatrzymać. W środku zobaczyła dwóch teksańskich strażników. Stali przed biurkiem recepcjonisty i ewidentnie wiercili mu dziurę w brzuchu, a ona doskonale wiedziała, w jakiej sprawie. Wycofała się z pola widzenia, przywarła plecami do ściany, uchyliła stopą drzwi i zaczęła podsłuchiwać.

- Więc nie wiadomo, dokąd pojechała? - zapytał jeden z nich.

- Nie. Wyjechała wczoraj wieczorem, ale się nie wymeldowała.

Na pewno wróci.

- Tak, tak, jasne - mruknął drugi. - Ci, co kradną karty kredytowe, bardzo pilnują takich szczegółów, jak wymeldowanie.

- Zostawiła swoje rzeczy w pokoju.

Tak, pomyślała. Tych kilka drobiazgów. Jedną zmianę bielizny, szczotkę do włosów i paczkę wyschniętych prażynek, z których połowę zjadła poprzedniego dnia na kolację.

- Możesz ją opisać?

Recepcjonista skinął głową i podał wyjątkowo szczegółowy rysopis. Ale z niej idiotka. Powinna założyć ciemne okulary i ten śmieszny kapelusz z wielkim rondem, który ukradła pielęgniarce z kliniki. Kulminacyjnym punktem zeznania recepcjonisty było

określenie, że wyglądała jak Terri Hatcher. Nie miała pojęcia, co to za jedna, za to obaj strażnicy zdawali się rozumieć, o kogo chodzi.

- Zauważyłeś, co to był za wóz?

- Trudno nie zauważyć - odparł recepcjonista. - Stary, kompletnie zdezelowany datsun koloru niebieskiego. Przynajmniej tam, gdzie nie odpadły resztki lakieru. I chyba bez tłumika.

- O rany, Luke, czy to nie datsun, którego mamy na swojej liście? - zwrócił się do kolegi jeden ze strażników.

- Wygląda na to, że ukradła nie tylko kartę kredytową.

To, co usłyszała, zupełnie jej wystarczyło. Zamknęła cicho drzwi i pomknęła do samochodu, mając przed oczyma pół torebki wysuszonych chrupków, o które dopominał się jej wygłodzony żołądek. Nagle dobiegł ją krzyk recepcjonisty:

- O, to ona!

A potem usłyszała odgłos ciężkich, kowbojskich butów, zbliżających się w jej stronę

Wskoczyła do wozu, zablokowała drzwi i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Jedyną odpowiedzią było ciche rżenie.

- Niech cię cholera - mruknęła. Potężna ręka zapukała w szybę.

- Proszę wysiąść z samochodu!

Zacisnęła zęby, pokręciła przecząco głową i raz jeszcze przekręciła kluczyk. Silnik zachrypiał nieco głośniejsze.

Strażnik znowu zastukał w szybę. Tym razem kolbą pistoletu.

- No, proszę pani, niech pani wysiada. Przecież nikt nie zrobi pani krzywdy z takiego powodu.

Mocując się z kluczykiem, uchyliła szybę.

- Ja wcale nie ukradłam tego cholernego rzęcha — zaprotestowała, wciskając rytmicznie pedał gazu.

- Pewien dealer z Horizon City twierdzi, że jest inaczej. Mówi, że wzięła pani ten wóz na próbną jazdę i jak dotąd nie zwróciła.

- On chciał wyciągnąć osiemset dolarów z jakiegoś naiwniaka za tego grata! - powiedziała z oburzeniem. - Pożyczając go, wyświadczyłam tylko przysługę potencjalnym klientom tego cwaniaka. A poza tym, przysięgam, że mam najszczerzą wole zwrócić go i uiścić temu oszustowi stosowną kwotę, i to jak najprędzej.

- A ta karta kredytowa, będąca własnością niejakiej Michele Kudrow z Londynu? Ją też pani zwróci?

Wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła kartę.

- Proszę. - Podała ją przez okno. - Użyłam jej tylko raz. Nie miałam wyjścia i panna Kudrow dobrze o tym wie. Możecie jej powiedzieć, że jak tylko będę mogła, zwrócę jej te pieniądze

- To dosyć trudne, proszę pani, bo ta panna Kudrow zniknęła zaraz po tym, jak zgłosiła kradzież karty.

Gwizdnęła cicho, czując pełną wzdłuż kręgosłupa zimny dreszcz.

- Ale pani nic o tym nie wie, prawda? - zapytał strażnik. Wziął kartę i uważnie ją obejrzał.

- Jestem tu od trzech dni - odparła. Słowa z trudem przechodziły jej przez ściśnięte gardło. - Możecie zapytać recepcjonisty.

- To się zobaczy, a pani i tak będzie musiała wysiąść. Proszę nam nie utrudniać pracy, a sobie nie przysparzać dodatkowych kłopotów.

Raz jeszcze z desperacją przekreśliła kluczyk. Silnik zarzęził, prychnął i na koniec czknał. Mój Boże, czemu nie wzięła jakiegoś nowszego wozu! Wyrzuty sumienia miała i z powodu tego grata.

- Jak się pani nazywa? Tyle może mi pani chyba powiedzieć.

Napotkała wzrok strażnika i poczuła wzbierające pod powiekami łzy.

- Bardzo bym chciała panu powiedzieć - odezwała się, kiedy po serii kolejnych kaszlnięć silnik wreszcie ożył. - Niestety, sama tego nie wiem.

Strażnik zmarszczył gniewnie brwi. Miała nadzieję, że nie myli się, zakładając, iż nie będą za nią strzelali z powodu jednego biletu lotniczego i tego rozpadającego się wozu. Wzięła głęboki oddech i wrzuciła bieg. Samochód ruszył. Wcisnęła gaz do deski i spojrzała we wsteczne lusterko. Zobaczyła, jak jeden ze strażników unosi broń, spogląda na drugiego, a potem potrząsa głową i opuszcza rękę. Obaj rzucili się do radiowozu, zaparkowanego przed frontowym wejściem do hotelu. Tak przynajmniej przypuszczała, bo na tyłach nie widziała żadnego auta. Miała bardzo mało czasu - tylko tyle, ile zajmie im włączenie nadajnika.

Radząc przez El Paso, rozglądała się za piętrowym parkingiem, a kiedy go znalazła, z ulgą wjechała w bezpieczną ciemność.

Machinalnie schyliła się, kiedy samochód przejeżdżał pod nisko zawieszonymi belkami stropu, a potem uśmiechnęła się sama do siebie, rozbawiona tą bezsensowną ostrożnością. Przejechała przez kilka poziomów i zaparkowała w zatłoczonej części górnego piętra. A potem wysiadła, zostawiając bilet za wycieraczką i kluczyki w stacyjce. Zabrała za to maskujący kapelusz i ciemne okulary Michele Kudrow.

Zjechała windą na parter, wyszła na skąpaną w słońcu ulicę i stała patrząc, jak mijają ją policyjne karetki na sygnale.

- Sama nie wiem, gdzie się tego nauczyłam- mruknęła-ale niech mnie diabli, jeżeli nie jestem w tym dobra.

Ben siedział zamyślony na chłodnej, zielonej murawie, obok nagrobka Penny. Odkąd wrócił do domu, codziennie odwiedzał to miejsce. Wydawało mu się... a niech to, ciągle jeszcze miał nadzieję, że uda mu się nawiązać z nią w ten sposób jakiś kontakt. Jednak łudził się na próżno. Nic takiego nie nastąpiło. Przynajmniej na razie... A może już nigdy... Miękką, drobną dłoń spoczęła na jego ramieniu.

- Żaden z Brandów nigdy tak nie przesiadywał na cmentarzu. Ben, ludzie wzięli cię na języki. Wszyscy się za tobą oglądają. Chyba o tym wiesz?

Otworzył oczy. Stan koncentracji został zakłócony. Mimo to Ben tkwił nadal w poprzedniej pozie, ze skrzyżowanymi nogami i stykającymi się palcami.

- Wzięli mnie na języki już wtedy, kiedy po powrocie otworzyłem szkółkę, Jessi. Więc nie mów mi, że nagle zaczęłaś się martwić o moją reputację.

- Nie o to mi chodzi. Myślę, że uczenie miejscowych chłopców sztuki walk Wschodu to dobry pomysł. To najlepsza rzecz, jaką w życiu zrobiłaś. Nie mówiąc o małżeństwie z Penny. Mnie martwi co innego, twoja depresja. - Obeszła grób i usiadła naprzeciw Bena. Jej oczy patrzyły na niego z miłością i troską. Mimo iż była od jakiegoś czasu szczęśliwą żoną i matką, nadal nie przestała być jego ukochaną siostrzyczką. -Co ci jest?

Zacisnął wargi i potrząsnął głową.

- Po południu jadę do El Paso - powiedział zupełnie nie na temat.
- Muszę wybrać coś ładnego na rocznicę ślubu Garretta i Chelsea.
Pojedziesz ze mną?

- Dobrze wiesz, że mam obowiązki - klinikę i chore zwierzęta. Dwa psy, cztery konie i cielaka do wypisania właśnie dziś po południu. A poza tym, nie pytałam cię, jakie masz plany na dziś, tylko o to, co ci dolega. Powiedz mi prawdę. Przecież widzę, że coś cię gryzie.

Ben poddał się z głębokim westchnieniem.

- Sądziłaś, że mi w końcu przejdzie, prawda? Sam tak myślałem. Ale to niemożliwe.

- To już dwa lata. -Jessie spojrzał na niego w zamyśleniu. -
Muszę przyznać, że gdybym to ja straciła Lasha, tak jak ty Penny, nie

pogodziłabym się z tym nawet za dwadzieścia lat. Dzisiaj jest ci pewnie wyjątkowo ciężko na sercu.

Ich oczy się spotkały.

- Penny by się cieszyła, że o tym pamiętasz.

- Jak mogłabym zapomnieć? Zawsze wszystkim powtarzała, że ma urodziny tego samego dnia co Nancy Drew.

Uśmiechnął się, czując tępy ból w sercu.

- Kiedy była mała, myślała, że naprawdę jest Nancy Drew.

- A pamiętasz tę historię z panią Murphy? - zapytała Jessi ze smutnym uśmiechem. - Kiedyś wyjechała na kilka dni, a Penny uznała, że mąż ją zabił i zakopał na podwórku za domem. Pan Murphy nie okazał poczucia humoru, gdy odkrył, że Penny podgląda go w nocy przez okno. - Uśmiech zniknął z twarzy Jessi. - Kiedy zaczął na nią krzyczeć, przybiegła prosto do ciebie. Zawsze biegła do ciebie, gdy miała jakieś kłopoty. A ty zawsze byłeś pod ręką, kiedy cię potrzebowała.

- Nie, nie zawsze - powiedział. - Nie kiedy nadszedł koniec.

Jessi wyciągnęła rękę, odgarnęła mu kosmyk z czoła i pogładziła go po policzku.

- Nie jestem już dzieckiem. W każdej chwili możesz ze mną porozmawiać. Pamiętaj, że ja też ją kochałam. Wszyscy ją kochaliśmy.

Ben wzruszył tylko ramionami i opuścił głowę.

- Co się z tobą dzieje, braciszku? - nie ustępowała Jessi.

- Miałem złe sny, to wszystko - mruknął.

- O tym wypadku?

Skinał głowę.

- Po jej śmierci wiele rozmyślałem, rozpatrywałem wszystkie możliwości.

- Na przykład co?

- No cóż, czekała ją nielekka śmierć. Nigdy nie powiedziała mi, jakie były prognozy. To znaczy, zanim się pobraliśmy, wiedzieliśmy już, że jest nieuleczalnie chora, ale nigdy nie powiedziała mi, że... - Ben musiał odczekać chwilę, zanim mógł mówić dalej - .. że będzie aż tak źle.

- Jak źle?

- Umierała długo, bardzo długo. Oszczędzę ci szczegółów, siostrzyczko. Z tego, co mówił lekarz, jasno wynikało, że konanie Penny stanie się drogą krzyżową dla nas obojga.

- O Boże! Myślisz, że...? - Jessi nie miała odwagi dokończyć.

- Nie mogę przestać o tym myśleć. W ostatnim miesiącu przed wypadkiem jej stan pogarszał się niemal z dnia na dzień. A tamtego dnia... nie miała żadnego powodu, żeby brać samochód.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że celowo zjechała w przepaść!

Spojrzeli sobie w oczy.

- Ciągle stawiam sobie to pytanie i niezmiennie dochodzę do wniosku, że jeżeli się na to zdobyła, to dla mnie. Chciała mi oszczędzić tego strasznego końca.

- Nie! - Jessie zdecydowanie pokręciła głową. - Nigdy w to nie uwierzę. Ona by tego nie zrobiła, Ben. Za bardzo kochała życie. Chciała je wykorzystać aż do ostatniej minuty. Penny nigdy by się nie poddała.

Z jej oczu wyczytał, że nie mogła nawet znieść tej myśli.

- Tak - przyznał - masz rację. Kiedy lekarz powiedział jej, że musi umrzeć... bardzo się zmieniła. Przestała chodzić na te swoje kursy, czytać kryminały... przestała nawet podglądać sąsiadów.

- Wiem - cicho przyznała Jessi. - Miałam nadzieję, że uda nam się odzyskać tę dawną Penny, że kiedy już pogodzi się z diagnozą, stanie się taka jak dawniej. Nigdy nie uwierzę, że potrafiła się targnąć na własne życie. I tobie też nie wolno tak myśleć!

Ben skinął głową, ale nie potrafił opędzić się od koszmarnych wspomnień. Spalony, dymiący wrak... Szerniałe zwłoki, które dostrzegł w jego wnętrzu, zanim bracia siłą nie usunęli go z miejsca wypadku... Policjanci, pokazujący mu ślubną obrączkę. Miał ją rozpoznać. Nie musieli mu mówić, że to jedyna rzecz, jaka pozostała po jego żonie, i jedyna, która w ogóle nadawała się jeszcze do identyfikacji.

Czy zrobiła to świadomie...? Myśl ta nie przestawała go dręczyć. Po pogrzebie wyjechał do Tennessee. Odizolował się od świata i spędził dłuższy czas w górskiej pustelni. Zaczął medytować i uprawiać walki Wschodu, żeby sobie jakoś poradzić z bólem. Ale ból nie chciał odejść. Stał się nieodłącznym towarzyszem. Ben doświadczał jego obecności każdego dnia i każdej nocy. Kochał

Penny. Kochał ją taką, jaka była przedtem, i taką, jaką stała się później. Nigdy już nie pokocha innej kobiety. Sądził, że nawet z tą świadomością mógłby odnaleźć spokój wewnętrzny, gdyby tylko znał prawdę.

Rzecz w tym, że tylko Penny mogła mu ją wyjawić. A Penny nie żyła. Dziś są jej urodziny. Gotów był przysiąc, że widział ją ubiegłej nocy. Jak człowiek może znieść tak wielki ból i wciąż jeszcze być pośród żywych?

Zaczerpnął tchu, żeby się trochę uspokoić, sięgnął po płócienny worek i wyjął butelkę korzennego piwa. Uniósł ją i patrząc na nagrobek Penny, wyszeptał:

- Wszystkiego najlepszego, Nancy Drew. -I wtedy wydało mu się, że słyszy śmiech Penny. Jak wtedy, kiedy razem wznosili piwny toast za zdrowie Nancy Drew. Z roku na rok uśmiech Penny stawał się coraz smutniejszy, ale rytuał pozostał ten sam. - O Boże.... - westchnął. - Penny, tak mi cię brakuje. Jessi ukradkiem sięgnęła po chusteczkę.

ROZDZIAŁ 2

Panie doktorze, ja wiem, gdzie ona jest.

Doktor Gregory Barlow szybko się odwrócił. Siedział właśnie w pokoju pacjentki, w hospicjum imienia Kathryn Barlow w Londynie. Patrzył na puste łóżko z uczuciem, że to, nad czym pracował przez ostatnie dziesięć lat, legło w gruzach. Klinikę trzeba teraz zamknąć, a on będzie musiał zaczynać wszystko od nowa i pod zmienionym nazwiskiem.

Napotkał wzrok pielęgniarki. Michele Kudrow była jego najbardziej zaufaną pracownicą, ale nawet ona nie знаła całej prawdy. Pomyślał, że i tak wiedziała za dużo.

- No więc... - powiedział cicho. Michele chrząknęła z przejęciem.

- Moja karta kredytowa odnalazła się w Stanach. Zadzwońłam do mieszkania, żeby odsłuchać automatyczną sekretarkę i...

- Przecież ci mówiłem, żebyś nie dzwoniła! - rzucił ze złością. Michele pobladła. - Dla twego własnego dobra - dodał już spokojniej.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego - z przerażeniem wyszeptała Michele. - Co takiego zrobiłeś, Gregory, że jest aż tak źle?

Barlow potrząsnął głową.

- Nic, ale jeżeli cię znajdą i zaczną przesłuchiwać... Zaufaj mi, Michele. Dla dobra naszej wspólnej pracy musisz się ukryć. Nie powinno cię być nawet tutaj. Czy ktoś cię widział?

- Nie.

Barlow pokiwał głową. - U mnie będziesz bezpieczna... póki wszystko się nie ułoży. - Dotknął jej ręki. - Ufasz mi. Michele, prawda?

Skinęła głową. Wiedział, że była w nim zakochana, więc na pewno zrobi wszystko, co jej każe. Na razie to wystarczy. Jeśli grunt zacznie mu się palić pod nogami, to będzie ją musiał uciszyć. Na zawsze.

- To dobrze - ciągnął, starając się, by jego głos brzmiał możliwie ciepło i przekonująco. - Skoro już zadzwoniłaś, mów, czego się dowiedziałas?

- Tylko tyle, że ją znaleźli, ale uciekła.

Tym lepiej, pomyślał Barlow. Potrzebował jej, ale wolał nie mieszać w to policji.

- Gdzie? - zapytał.

- Gregory... może powinniśmy zostawić ją w spokoju? Prawdę mówiąc, jej stan zdrowia zezwalał na wypisanie z kliniki. To zrozumiałe, że była jeszcze trochę zdezorientowana. Tylko po co pojechała aż do Teksasu?

On także tego nie wiedział. Przecież nie miała dostępu do swoich danych. O to już się postarał. Wiedział też, że na pewno niczego sobie nie przypomniała. Co za intuicja, pomyślał z podziwem, choć ta jej intuicja mogła go drogo kosztować. Wzięła okulary i kapelusz Michele, a także jej kartę kredytową. To bardzo pomysłowe. Za to pozostawienie Michele żywej i całej, tyle że zamkniętej w komórce na bieliznę, to już błąd. Na jej miejscu walnąłby czymś w

głowę tę ładną pielęgniarkę. No cóż, pacjentka Jane Doe, numer ewidencyjny dziewięćdziesiąt osiem, nie okazała się tak bezwzględna jak on.

Bo on, niestety, musiał być bezwzględny.

Dziewięćdziesiąt osiem jest inteligentna; trzeba jej to przyznać. Musi sprowadzić ją z powrotem, zanim zacznie mówić. Zanim sobie coś przypomni - o ile jeszcze cokolwiek zostało jej w pamięci. Jak dotąd miał pewność, że nie, ale teraz ogarnęły go wątpliwości. Postanowił jednak zachować je dla siebie.

- Gdzie ona jest, w tym Teksasie? - zapytał.

- W El Paso - odparła Michele. Pokiwał z namysłem głową.

- Zabukuj mi lot, i to jak najprędzej.

- Przecież nie możesz zmusić jej do powrotu - wyszeptała Michele ze spuszczoną głową.

Myliła się, oczywiście. Nie miał wyboru. Przeczucie podpowiadało mu też, że może już być za późno. Dzieło jego życia spoczywało teraz w rękach pacjentki numer dziewięćdziesiąt osiem, kompletnie nieświadomej tego, jak łatwo mogłaby go zniszczyć.

- Ona wciąż potrzebuje opieki, Michele. Tak długo chorowała. Chcę się tylko upewnić, czy z nią wszystko w porządku. Proszę cię, idź i zabukuj mi bilet na najbliższy lot, ale przedstaw się moim nazwiskiem, nie swoim.

- Dobrze - powiedziała, wycofując się z pokoju. W progu przystanęła. - Policja zostawiła wiadomość, że mam do nich zadzwonić....

- Wykluczone!

Oblizwała wyschnięte wargi, skinęła głową i odeszła. Barlow wzniósł oczy do góry.

- Znajdę ją, mamó. Obiecuję ci. I nie zrezygnuję teraz, kiedy jestem już tak blisko celu. Przysięgam.

Gdzieś z oddali dobiegł go słodki, znajomy głos: „Mój kochany, grzeczny chłopiec...”.

Ani pieniędzy, ani samochodu. Jedyne, co teraz miała, to ten śmieszny kapelusz i olbrzymie ciemne okulary. To pewnie dzięki nim udało jej się wyjść cało z opresji, więc i tak powinna być wdzięczna.

Szła wolno, rozpalonym od upału chodnikiem, czując upojny zapach frytek. Ślina napłynęła jej do ust. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy jadła po raz ostatni, ale sądząc po bolesnych skurczach żołądka, musiało to być dość dawno temu. To nieistotne. Poradzi sobie bez jedzenia.

Bardziej niż pusty żołądek doskwierała jej pustka w duszy. Czuła się taka samotna. Tak przeraźliwie samotna. Chciało jej się płakać, a przecież nie znosiła tego uczucia. Beksa, pomyślała o sobie z pogardą. Dobrze, że wzięła ciemne okulary. Przynajmniej ci przechodnie, z których każdy szedł gdzieś w jakimś celu, nie zobaczą, że ma zaczerwienione oczy.

Tam, w Londynie, wszyscy skakali wokół niej i jak mogli, starali się dogodzić. Nawet ten kłamczuch Barlow, nie mówiąc już o jego ukochanej pielęgniarce. Mimo to dzielił ich jakiś mur. Istniała granica, której nigdy nie przekroczyli. Nie potrafiłaby nazwać ich

przyjaciółmi, nawet gdyby nie byli zaangażowani w spisek mający na celu zatrzymanie jej na stałe w klinice. Gdy tylko obudziła się ze śpiączki, zorientowała się, że knują za jej plecami. Dlatego nawet nie próbowała się z nimi zaprzyjaźnić.

Kiedyś musiała mieć jakichś przyjaciół. Jakie to miało teraz znaczenie, skoro i tak nie mogła sobie przypomnieć niczego sprzed śpiączki? Potem nie dano jej najmniejszych szans, by mogła kogoś poznać. Znajdowała się pod stałym nadzorem. Nie miała pojęcia, kim jest ani kim była przedtem.

Ta straszliwa samotność przytłaczała ją od pierwszej chwili, kiedy otworzyła oczy w klinice i zobaczyła, że otaczają ją obcy ludzie. Teraz nie mogła liczyć nawet na towarzystwo obcych.

Wkrótce będzie musiała podjąć jakąś decyzję. Powinna wyjść z ukrycia i stawić czoło tym Brandom. Trzeba zadać im wiele pytań dotyczących przeszłości. Czy była jej częścią? Na myśl o tym, że mogłaby napotkać jedynie obojętne twarze, ogarniało ją przerażenie. A jeśli oni nie wiedzą, kim ona jest? Co ma wtedy robić? Co w ogóle może zrobić?

Zaczęła już niemal wierzyć; że ten rosy, jasnowłosy kowboj był jej kiedyś bliższy niż ktokolwiek inny. Jednak koncepcja ta, którą z taką nadzieją rozważała w ciemnościach nocy, nie miała żadnych sensownych podstaw. W końcu, gdyby rzeczywiście byli sobie bliscy, musiałby wiedzieć, co się z nią działo. Czy w takim przypadku nie powinien odwiedzać jej w klinice? A jeśli ją znał i tego nie robił, to znaczy, że nie chciał, że nie obchodził go jej los.

Głośne burczenie w brzuchu przypomniało jej, że powinna wrócić do tego małego miasteczka, które nazywa się Quinn. Ale jak, skoro nie ma już swojego środka lokomocji? Co prawda, to tylko szesnaście kilometrów. Pewnie doszłaby tam i na piechotę, gdyby nie to, że głód skręcał jej kiszkę. Na domiar złego zaczynała ją też boleć głowa. Pytała doktora Barlowa o przyczynę tych nawracających ataków migreny, ale on nie potrafił - albo nie chciał - jej tego wyjaśnić.

Znowu poczuła zapach rozgrzanego tłuszczu. Trudno, trzeba będzie coś zjeść. To pewne wyzwanie, jeśli się jest bez grosza przy duszy, a do tego ma się już na koncie kilka drobnych grzeszków. Ale czy jest jakieś inne wyjście?

Knajpka, z której napływały tak smakowite, choć niezdrowe zapachy, znajdowała się nieopodal, a wielki szyld w witrynie obiecywał wspaniałe jedzenie po okazjnych cenach. Po co powiększać dług? I tak nie będzie go w stanie spłacić. Mimo to ruszyła w stronę drzwi wejściowych, ale gdy mijała sąsiadujący z knajpką sklep z alkoholami, usłyszała głośne przekleństwa i ujadanie psa.

Cofnęła się za róg i zerknęła w alejkę na tyłach. Na bruku leżał przewrócony kubeł na śmieci, a wśród poniewierających się resztek jedzenia stał mały, krzywonogi piesek o baryłkowa-tym korpusie. Szczerzył zęby, a z jego gardła dobywał się tak potężny warkot, że w pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, by tak małe zwierzę mogło

wydawać takie dźwięki. Nawet gdyby jej kazano, nie potrafiłaby określić koloru sierści niemiłosiernie umorusanego pieska.

Natomiast człowiek, który beształ psa za to, że rozsypał śmieci, był wysoki, miał śnieżnobiały fartuch oraz brzuch wielki jak piłka plażowa. Zrobił krok w przód i bez ostrzeżenia wymierzył psu kopniaka. Pies zrobił unik, ale przestał warczeć. Zaczął się trząść, oblizując pysk. Spoglądał to na resztki jedzenia, to na mężczyznę.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę - odezwała się, wchodząc w uliczkę. Mężczyzna zmierzył ją wściekłym wzrokiem. Wytrzymała jego spojrzenie. Ujęła się pod boki i stanęła na szeroko rozstawionych nogach. - Co ty wyprawiasz? Dlaczego kopiesz psa?

Mężczyzna przekrzywił głowę. Pies zrobił to samo. Kiedy zobaczyła jego zmyślną, kwadratową mordkę, poczuła, że mięknie jej serce.

- Nie twój interes - rzucił mężczyzna. Znowu na niego spojrzała.

- Mam podejść i kopnąć cię, tak jak ty tego psa? Potrząsnął głową, mrużąc oczy.

- Dobre sobie! Co to, liga ochrony zwierząt? To bydlę codziennie rozrzuca mi śmieci. Mam już tego dość! Trzeba z tym zrobić porządek! Raz na zawsze!

- Może prościej byłoby go nakarmić?

- Tak? Żeby mi się stąd nigdy nie ruszył?

- Przynajmniej nie rozwlekałby śmieci.

Pies podszedł bliżej i usiadł jej przy nodze, zwrócony pyskiem do swego prześladowcy. Patrząc na tę zuchwałą psinę, z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- To twoja restauracja, tak?

- Tak, do cholery. I nie życzę sobie, żeby jacyś obcy. ludzie wtykali nos...

- Ja nie jestem obca, jestem klientką. - Nagle pomyślała, że to żaden grzech okraść takiego drania bez serca. Ktoś, kto kopie bezbronne zwierzę, sam się prosi o kłopoty. - A przy tym umieram z głodu - dodała.

Pies cicho zaszczekał, jakby chciał powiedzieć: „ja też”. Pochyliła się, żeby go pogłaskać. W odpowiedzi poczuła na dłoni gorący język.

- Na pewno coś ci przyniosę, piesku - szepnęła.

Pies spojrzał na nią okrągłymi, brązowymi oczyma, które wyrażały zrozumienie. Mężczyzna wrócił do restauracji, burcząc coś gniewnie pod jej adresem. Wzruszyła ramionami i cofnęła się na ulicę, żeby wejść od frontu. Pies szedł przy nodze, a kiedy weszła do środka, usiadł przed drzwiami i patrzył na nią przez wielką szybę. Na widok jego zawiedzionej mordki ścisnęło jej się serce. Wybrała stolik tuż przy drzwiach, żeby widział, że nie odeszła daleko.

Boże, jak tu upojnie pachniało. Frytki z cebulką. Słyszała, jak skwierczą w kuchni na zapleczu. Kilka osób spojrzało w jej stronę, ale zaraz zajęło się swoimi sprawami. Chciała zdjąć kapelusz, lecz przy ladzie dostrzegła policjanta nad filiżanką kawy, więc się rozmyśliła.

- Co pani podać? - zapytała kelnerka z tapirowanym kokiem.
- Poproszę hamburgera... - spojrzała na psa - albo nie, dwa hamburgery, podwójne frytki, dużą kawę i... miseczkę z wodą.

- Co takiego?

- Miseczkę z wodą - powtórzyła.

Kelnerka wetknęła ołówek w kok i ujęła się pod boki.

- Nie mamy czegoś takiego.

- Macie miski? - zapytała. Kelnerka skinęła głową. - Wodę chyba też? No to proszę wlać wodę do miski i mi przynieść.

Kelnerka pokręciła z powątpiewaniem głową, ale dopisała to do zamówienia i odeszła, postukując obcasami.

Kilka minut później soczysty hamburger dymił na talerzu. Już miała wbić w niego zęby, kiedy usłyszała ciche skomlenie. Podniosła wzrok i zobaczyła wilgotny psi nos, rozplaszczony na szybie, i brązowe oczy, wbite w jej talerz. Wzięła z uśmiechem drugiego hamburgera i miskę z wodą i wystawiła na ulicę, z dala od szklanych drzwi, tak żeby nikt nie widział, że karmi przybłędę. Podejrzewała, że właściciel restauracji nie byłby zachwycony.

Potem wróciła do stolika. Skończyła swoją porcję, zamówiła na deser szarlotkę, lody i kawę i nawet udało jej się podrzucić psu trochę ciasta.

Kiedy się już najadła do syta, wstała i podeszła do kontuaru, wzięła zapalki z koszyka w sali dla palaczy, po czym udała się do toalety. Jedna kabina była zajęta. Zaczekała, aż korzystająca z niej osoba wyjdzie, a potem stanęła pod czujnikiem przeciwpożarowym i

zapaliła zapalnik, a od zapalnika cały kartonik. Cienka strużka dymu uniosła się w górę i już po chwili rozległ się sygnał alarmowy. Wtedy wrzuciła płonące zapalnik do umywalki i odkręciła kran. Potem spokojnie wyszła i przyłączyła się do klientów, którzy w pośpiechu opuszczali restaurację.

Część ludzi stała już na dworze. Patrzyli na budynek i rozmawiali, gestykułując w podnieceniu. Nie miała zamiaru się do nich przyłączać. Przepchnęła się przez podekscytowany tłum i poszła dalej. Nagle usłyszała za sobą znajomy, dudniący głos:

-Ej, ty!

Rzuciła się do ucieczki, czując na karku sapiący oddech właściciela restauracji. Już myślała, że wpadła, kiedy nagle jak spod ziemi pojawił się pies. Chwycił go za nogawkę i szarpnął, warcząc ostrzegawczo. Mężczyzna runął jak kłoda, a pies popędził dalej i dogonił ją, zanim zdążyła dobiec do następnej przecznicy i skryć się za rogiem.

Przykucnęła i ujęła w dłonie pomarszczony pysk.

- Masz u mnie dług, bracie - powiedziała. Pies zamknął oczy i poliznął ją po ręce.

- Muszę już iść. A ty też idź i poszukaj sobie innego śmietnika. - Wstała i ruszyła przed siebie, ale pies wciąż szedł obok niej.

Zmarszczyła brwi i znowu przykucnęła. - Posłuchaj, nie wiem, jak sobie sama poradzę, a co dopiero z psem. - Mówiąc to, poczuła lekkie ukłucie w sercu, a jakiś wewnętrzny głos podpowiedział jej, że przecież zawsze chciała mieć psa.

Skąd ten głos? Zamrugła oczami i zaczęła sobie masować skronie. Ból głowy narastał. Nie wiedziała, skąd ta nagła pewność, ale czuła, że to prawda. Chciała mieć psa, lecz nigdy go nie miała. Miała za to kota. Niezależnego kota, który świetnie sobie bez niej radził.

Ale to było jeszcze przed... tak, to musiało być przedtem, bo tak naprawdę tego nie pamiętała. Nie potrafiła sobie przypomnieć ani imienia kota, ani tego, jak wyglądał.

Pies cicho zapiszczał.

Serce jej zmiękło.

- Więc ty też nie masz nikogo, piesku? - zapytała, a potem wzruszyła ramionami. - Chyba nic się nie stanie, jeżeli pójdziesz ze mną.

Bрудna łapka uniosła się i spoczęła na jej kolanie.

- No to chodź. Musimy stąd spływać, zanim nas złapią.

- Hau!

Podniosła się i zrobiła krok w przód, ale tylko po to, by zderzyć się z potężnym, męskim tarsem. Kiedy odskoczyła i spojrzała w górę, zaskoczona zobaczyła, że znalazła się twarzą w twarz z tym wielkim, jasnowłosym kowbojem, którego szpiegowała. .. i o którym marzyła.

Ben przyjechał do El Paso w przerwie między porannymi i popołudniowymi treningami. Zamierzał wstąpić do jubilera i wybrać jakiś szczególnie piękny prezent dla brata oraz bratowej na rocznicę ich ślubu. Nawet by mu nie przyszło do głowy, że zobaczy to, co zobaczył.

Kiedy usłyszał gwar i okrzyki, dobiegające od strony restauracji, ruszył w tamtą stronę z czystej ciekawości, a także po to, żeby w razie czego służyć pomocą. Wtedy właśnie, całkiem nieoczekiwanie, zderzył się z jakąś kobietą w olbrzymim kapeluszu. Towarzyszył jej najdziwaczniejszy pies, jakiego w życiu widział. Kobieta cofnęła się i podniosła oczy na Bena. I wtedy serce zamarło mu w piersi.

Penny!

Włosy miała krótsze niż dawniej, ale nadal tak samo ciemne i jedwabiste. Pod jej brązowymi, aksamitnymi oczyma pojawiły się cienie, których przedtem nie było. Wydała mu się równie drobna jak zawsze, tylko jakby szczuplejsza. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

Patrzył na nią w osłupieniu, poruszając bezgłośnie wargami, a potem chwycił ją za ramiona, chyba trochę za mocno, ze strachu, że kiedy jej dotknie, ona rozplynie się w nicość. Czy to zjawą? Czy złudzenie?

- Mój Boże! - zdołał wreszcie wykrztusić.

Spojrzała na niego zaskoczona i przestraszona, a potem szarpnęła się i odskoczyła. Otworzyła, usta, potrząsnęła głową, mruknęła: „przepraszam”, odwróciła się i pomknęła przed siebie jak strzała.

- Penny! Zaczekaj! - Ben pobiegł za nią. Serce waliło mu jak młotem, a mgła przesłaniała wzrok. Niestety, kobieta rozpląnęła się w tłumie, zanim zdążył ją dogonić.

Próbował ją oczywiście odnaleźć. Zaczął się przepychać między ludźmi, rozglądając się na wszystkie strony. Ale ona zniknęła. Znowu.. A on stał samotny pośród tłumu, nie wiedząc, czy to jawa, czy sen.

Przez kilka następnych godzin z obłędem w oczach przemierzał uliczki El Paso, zaglądając ludziom w twarze i wykrzykując imię Penny. Nie udało mu się jednak jej odnaleźć. Serce biło mu, jakby miało wyskoczyć z piersi, brakowało mu tchu i cały spływał potem.

To nie był duch ani żadne złudzenie. To była Penny! Dotykał jej. Wszędzie by ją rozpoznał. Przecież jeszcze nie postradał zmysłów i nie miał przywidzeń.

Teraz wiedział już na pewno, że jego żona żyje, i po raz pierwszy od dwóch długich lat, mimo szoku i niedowierzania, Ben także wreszcie poczuł, że żyje. Nagle zdał sobie sprawę, że ciężko będzie przekonać braci, by mu uwierzyli. Najpierw musi ją odnaleźć. Teraz. Zaraz. Natychmiast.

- Boże mój, Penny, wróć do mnie - wyszeptał, a potem z pierwszego automatu, na jaki się natknął, zadzwonił do biura szeryfa w Quinn i powiedział, że musi się natychmiast skontaktować z bratem.

Czemu z nim nie porozmawiała? Czemu uciekła jak tchórz? Przecież po to właśnie przebyła taki kawał świata, żeby go odnaleźć.

On ją zna. Ten postawny blondyn, którego śledziła. Ten, na którego widok drgnęło jej serce. Patrzył jej prosto w oczy i doskonale wiedział, kim jest. A ona stchórzyła i uciekła. Dała nura w bramę budynku z szyldem „Do wynajęcia”, a tam przytuliła

do piersi brudną psinę i z niewiadomego powodu zalała się łzami. Może dlatego, że sama nie była w stanie zdecydować, czego się bardziej boi - tego, że nigdy się nie dowie, kim jest, czy tego, że dowie się czegoś, czego wolałaby nie wiedzieć.

Pies polizał ją po twarzy, a potem oparł łeb w zagłębieniu jej obojczyka, posapując z zadowoleniem. Mocno go przytuliła.

- Pewnie nawet nie masz imienia, co, piesku? - wyszeptała. Pies cicho zaskowyczał.

- Znam to uczucie. W klinice nazywali mnie Jane, ale ja od początku wiedziałam, że to nie jest moje prawdziwe imię. - Podrapała psa za uszami, a on zamachał ogonem. - Przecież muszę się jakoś nazywać, prawda? I chyba nawet mam już imię. - Zamknęła oczy. W uszach zabrzmiał jej przepelniony bólem głos tamtego mężczyzny, kiedy je wymawiał. - Penny - powiedziała. - Mówił do mnie Penny.

Pies polizał ją po twarzy.

- To takie dziwne uczucie... wiesz...? - Pogłaskała psa po głowie.
- Ty też powinieneś dostać jakieś imię. Co ty na to?

- Mmmufff,

Mimo upału wstrząsały nią dreszcze. Przede wszystkim powinna się uspokoić. Potem spróbuje zebrać myśli. Zastanowi się nad tym zaskakującym spotkaniem i podejmie decyzję, co dalej.

- No więc tak, jesteś psem z Teksasu, dlatego musisz mieć jakieś teksańskie imię. A może... Billy Bob?

Pies spojrzał na nią spode łba.

- Jak nie, to nie. Jimmy Jack?

- Wrrrr...

- Dobrze już, dobrze. Mieszkasz na ulicy i kradniesz, żeby jakoś żyć. Już wiem. Nazwę cię Oliver. No i jak?

Pies lekko przekrzywił łebek.

Penny zmarszczyła brwi i uważnie mu się przyjrzała. Okazało się, że to suczka.

- W tej sytuacji będę cię musiała nazwać Olive. Zdrobniale Ollie -dodała.

- Hau hau - przytaknęła Ollie, szczerząc zęby.

Penny gotowa była przysiąc, że to psi uśmiech. Nagle Ollie odwróciła się, nastawiła uszu i czujnie spojrzała w głąb ulicy. Penny zaczęła nasłuchiwać. Z oddali usłyszała zrozpaczony, męski głos.

- Penny? Penny!

Potem zapadła cisza, a później ten sam głos znowu powtórzył, tym razem z nadzieją:

- Penny?

Wyjrzała na ulicę i zobaczyła tego jasnowłosego Branda. Zaglądał ludziom w twarze i wykrzykiwał imię, które musiało należeć do niej

- Powinam tam pójść - szepnęła psu do ucha. - Wiem, że powinam, ale się boję...

Penny. Za każdym razem gdy słyszała to imię, doznawała dziwnego uczucia. Czegoś w rodzaju déjà vu, kiedy człowiek przychodzi na miejsce, w którym nigdy nie był, a wydaje mu się, że

musiał tam być. Znowu spojrzała na mężczyznę - ruszył w stronę budki telefonicznej. Może zrezygnował.

Odetchnęła z ulgą. Na szczęście poszedł sobie. A więc jest teraz bezpieczna. Musi się nad wszystkim zastanowić.

On ją zna. Co do tego nie miała już żadnych wątpliwości. Ale czego to dowodzi? Wyraz jego twarzy wyraźnie świadczył o tym, że nie spodziewał się jej zobaczyć. Może dlatego, że wiedział, iż utknęła w tej klinice w Anglii. A może nawet wszystko działo się na jego polecenie?

Teraz gdzieś dzwonił. Na policję? Musiała przyznać, że, jak dotąd, dość sprytnie udało jej się uniknąć kontaktu z policją. Może w tamtym życiu, którego nie pamiętała, była kryminalistką? A jeżeli tak, to co? Może on dzwoni na policję, żeby powiedzieć, że ją wytropił?

A jeśli telefonuje do Barlowa, żeby go zawiadomić, gdzie obraca się jego pacjentka? Tak, to możliwe. Czy Barlow przyjedzie tu po nią? Czy znowu zamkną ją w tym małym, białym pokoiku, gdzie nie miała nic do roboty poza oglądaniem seriali w telewizji i czytaniem powieści Agaty Christie?

Nie była całkiem pewna, czy chce wiedzieć, do kogo dzwoni ten kowboj. Mimo to, kiedy odwrócił się plecami, przebiegła szybko na drugą stronę ulicy i schowała się w zagłębieniu muru, na tyle blisko, by móc usłyszeć fragment jego rozmowy.

- Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale ja ją naprawdę widziałem, Garrett.

Garrett... A więc rozmawia z jakimś Garrettem. I jest udręczony. Nie widziała twarzy, ale wystarczyło usłyszeć jego głos.

- Nie. Nie, już podjąłem decyzję. Penny jest w El Paso. Muszę się dowiedzieć, o co tu chodzi. Nie, nie zmienię zdania. Nawet nie próbuj mnie namawiać. Puszczam maszynę w ruch, Garrett. Tak, jeszcze dziś. - Zaczerpnął tchu, a potem wypalił: - Zażądam ekshumacji!

Ekshumacja! Boże, więc uchodziła za zmarłą? Nagle, drżąc jak osika, usłyszała coś jakby podniesiony głos na drugim końcu linii.

A potem telefonujący mężczyzna powiedział:

- Skończyłeś? To dobrze. Skoro już o tym mowa, chcę, żebyś się skontaktował z policją w El Paso. Pokaż im zdjęcie i... Co? Nie wiem. To, które stoi na komodzie. Przefaksuj je i niech się za nią rozejrzą.

Jej zdjęcie? Na jego komodzie?

Poczuła zawrót głowy, przykre ssanie w żołądku i pulsujący ból w skroniach.

- I jeszcze jedno, Garrett. Spróbuj to zrobić, nie mówiąc im ,że postradałem zmysły, dobrze? - Na moment zapadła cisza. - Nie, nie wiem, kiedy wrócę. Nie mogę... - Mężczyzna chrząknął. - Nie wyjadę z El Paso, skoro ona tu jest. - Znowu cisza. - To nie są pobożne życzenia, Garrett. Mówię ci, że to była ona! To Penny i nie ruszę się stąd, póki jej nie znajdę!

- Odwiesił z furją słuchawkę, a potem oparł czoło o szklaną ścianę budki. Wydało jej się, że na jego rzęsach błysnęła łza. Po

chwili odwrócił się i ruszył przed siebie w poszukiwaniu jakiejś kobiety, która już nie istniała. Kobiety, którą mogła kiedyś być

- Penny.

Kobiety, która zmarła i którą pochowano. Nagle zrobiło jej się przeraźliwie zimno.

Ben poprosił siostrę, żeby odwołała popołudniowe zajęcia, i spędził cały dzień, przeszukując El Paso. Niestety, nie miał szczęścia. Garrett i Adam zjawili się dość szybko, ale na ich twarzach nie dopatrzył się aprobaty dla swoich poczynań.

Ciężarówka Garretta zahamowała obok Bena. Z wozu wysiedli obaj jego bracia i podbiegli, zaglądając mu w twarz. Pewnie w poszukiwaniu oznak obłędu.

- Nie musieliście przyjeżdżać.

- Nie, jasne, że nie - powiedział Garrett. - Ale mi napędziłeś stracha, Ben.

- Widziałem ją. Jeżeli pomożecie mi jej szukać, to dobrze. A jeśli nie, zabierajcie się z powrotem.

- Przyjechaliśmy ci pomóc - odparł Adam. - Nie musisz się zaraz obrażać i nie możesz mieć nam za złe, że się o ciebie martwimy. Też byś się martwił, gdyby któryś z nas zachowywał się tak jak ty.

Ben spuścił głowę z westchnieniem. Punkt dla Adama.

- Nie powiodło ci się? - zapytał Garrett.

- Nie. Masz to zdjęcie?

Garrett skinął głową, otworzył drzwi szoferki i wziął z siedzenia fotografię w ramce.

Ben sięgnął po zdjęcie, ale kiedy spojrzał na śliczną buzię żony, łzy napłynęły mu do oczu. Zamrugął gwałtownie i oddał bratu fotografię, nie patrząc na niego.

- W tej sytuacji trzeba zawiadomić policję.

- Chcesz prosić ich o to, żeby szukali kobiety, która już od dwóch lat nie żyje? Obawiam się, że nie potraktują tego poważnie.

- Więc mam się tym nie przejmować?

- Ależ nie. - Adam chwycił go za ramiona i mocno nim potrząsnął. - Garrett chciał tylko, żebyś był na to przygotowany.

- Czy w ogóle ktoś może być przygotowany na coś takiego? - mruknął Ben. Wsiadł do szoferki i przesunął się, żeby zrobić miejsce dla Adama.

Garrett tylko potrząsnął głową i zajął fotel kierowcy. Posterunek straży w El Paso znajdował się niedaleko i kiedy tam przyjechali, nie kazano im czekać. Garrett znał większość ludzi, bo od czasu do czasu z nimi pracował, więc podszedł wprost do biurka jednego z nich.

Wysoki, szczupły strażnik o siwiejących skroniach, podniósł się na widok Garretta i wyciągnął rękę.

- Cieszę się, że cię widzę.

- Cześć, Mart. Poznaj moich braci. To Adam, a to Ben. Matt skinął głową na powitanie.

- Macie chłopcy grobowe miny. Rozumiem, że to nie jest towarzyska wizyta?

- Niestety, nie - przyznał Garrett i wręczył mu fotografię. - Szukamy...

- Skąd to masz? - zdumiał się Matt. - Znasz tę kobietę? Garrett otworzył usta, ale Ben go uprzedził.

- A ty ją znasz?

Matt spojrział na niego, a potem na Garretta.

- Zaufaj mi, Matt. Dobrze? Jeżeli już ją gdzieś widziałeś... powiedz nam, co wiesz. Potem ci wszystko opowiem. Kiedy się zorientujemy, o co chodzi.

- Jeżeli wiesz, kto to jest...

- To sprawa osobista.

Matt spojrział mu w oczy, a potem przeniósł wzrok na Bena.

- Dobrze. Można powiedzieć, że ją widziałem. Weźcie sobie krzesła, chłopaki, i siadajcie. Chcecie kawy?

Ben zamknął oczy, czując, że zaczyna tracić cierpliwość.

- Proszę nam powiedzieć - odezwał się stanowczym głosem.

- Wczoraj miałem telefon z pobliskiego hotelu. Jakaś kobieta zameldowała się, używając skradzionej karty kredytowej. Kiedy pojechaliśmy to sprawdzić, pojawiła się ta kobieta - wskazał na zdjęcie - ale uciekła, zanim zdążyliśmy ją ująć. Potem się okazało, że samochód, którym się poruszała, też był kradziony.

Garrett słuchał tych rewelacji z szeroko otwartymi oczami.

- Jesteś pewny, że to ona? Ta kobieta ze zdjęcia?

- To nie Penny - powiedział Ben. - Ona nigdy by nie ruszyła cudzej własności. - Poczul się głęboko zawiedziony.

- Patrzyłem na nią przez okno wozu. Była bliżej niż ty teraz - upierał się Matt. - Próbowałem ją namówić, żeby otworzyła drzwi i wysiadła.

Garrett nachmurzył się.

- Czemu pozwoliłeś jej uciec? Matt z uśmiechem pokręcił głową.

- Niezły z niej numer. Wcisnęła gaz do dechy i szukaj wiatru w polu. Mogłem tylko strzelać, a nie chciałem. Sam nie wiem... wydała mi się całkiem sympatyczna.

Ben poczuł się tak, jakby ktoś wbił mu nóż w serce.

- Czy coś mówiła? - zapytał, z trudem formułując poszczególne słowa. - Macie jakieś pojęcie, dokąd mogła pojechać... albo... - Zamilkł bezradnie.

- Powiedziała, że wyświadczyła nam przysługę, kradnąc tego grata, bo dealer żądał za niego dwa razy za dużo. Powiedziała też, że zamierza go zwrócić i że zapłaci, jak tylko będzie mogła. A potem uchyliła szybę i wręczyła mi tę skradzioną kartę kredytową, mówiąc, że także zwróci dług. Zapytałem ją, jak się nazywa, a ona powiedziała, że nie ma pojęcia. I wiecie co, chłopaki? Ja jej uwierzyłem.

Adam i Garrett wymienili zaniepokojone spojrzenia. Ben stał w osłupieniu, jakby ktoś wyrznął go pięścią w żołądek. A potem odwrócił się i podszedł do okna. Gdzie ona może teraz być? Co się stało? Czy to możliwe, że Penny żyje? A może to tylko jej sobowtór?

Usłyszał słowa Garretta:

- Mała szansa, że to ta sama kobieta, o którą nam chodzi.

- Zapominasz, że ludzie się zmieniają.

Ben zamknął oczy. „Ludzie się zmieniają”. Może, ale czy aż tak, żeby zmarli zmieniali się w żywych?

- Matt, nie wiem, co się dzieje, ale kobieta, o którą nam chodzi, to najuczciwsza osoba pod słońcem. Tyle tylko, że może teraz mieć kłopoty ze zdrowiem.

- Mówiąc ogólnie - mruknął Adam.

- Powiem o tym chłopakom - zwrócił się Matt do Garretta. - Jeżeli ją znajdziemy, obejdziemy się z nią w białych rękawiczkach. Masz na to moje słowo.

- Jestem ci bardzo zobowiązany.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę, a Adam tymczasem podszedł do Bena.

- Ona gdzieś tam jest - odezwał się Ben. - Wkrótce zrobi się ciemno. A niech to! Chyba jest bez grosza, bo inaczej by nie kradła. Może jest jej zimno. I może jest głodna?

- Znajdziemy ją. Posłuchaj... nie chciałbym być niemiły, ale może to wcale nie jest Penny. Może to ktoś bardzo do niej podobny albo jakaś jej krewna.

- Zdaję sobie z tego sprawę i ciągle to sobie powtarzam. Powiem ci jedno, patrzyłem jej prosto w oczy.

- Penny była umierająca. Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale musisz. Nawet gdyby nie zdarzył się ten tragiczny wypadek, i tak nie byłoby jej już wśród nas. I ty dobrze o tym wiesz.

Ben wbił wzrok w ciągnącą się przed nim ulicę. Z daleka wszyscy przechodnie wydawali mu się podobni do Penny. Dopiero gdy się zbliżali, stwierdzał, że się mylił.

- Ona była taka przerażona - powiedział, czując, że zaraz pęknie mu serce. Po policzku stoczyła mu się łza, a on wcale się tego nie wstydził.

Strażnicy wchodzili i wychodzili. Dzwoniły telefony. Życie toczyło się zwykłym trybem, jakby nic się nie stało, a przecież jego świat wywrócił się do góry nogami.

Garrett podszedł i poklepał go po plecach.

- Idziemy. Chcę jeszcze wpaść do sędziego Reynoldsa. Jestem pewny, że w zaistniałej sytuacji bezzwłocznie wyda pozwolenie na ekshumację. Potem pojedziemy do domu, żeby przygotować rodzinę. Tak na wszelki wypadek.

Ben potrząsnął głową.

- Nie ruszę się stąd. Nie mogę, i już. Garrett westchnął, a Adam powiedział:

- Ben, widziałeś ją w Quinn, a wczorajszej nocy na ranczo. Widać z tego, że ona wie, gdzie nas szukać. Jeżeli ta kobieta to Penny, na pewno wróci do domu. Sam wiesz, że tak.

- A niby skąd mam wiedzieć? Minęły już ponad dwa lata, chłopaki. Nie wydaje wam się, że gdyby moja żona chciała wrócić do domu, dawno by już to zrobiła?

Bracia wymienili spojrzenia. Garrett westchnął.

- Ben, będziesz musiał podpisać wniosek o ekshumację. Zrób to, a potem odpocznij. A do domu przyjedziesz, kiedy zechcesz.

Adam skinął głową.

- Poczujesz się lepiej, gdy się dowiesz, kto naprawdę został pochowany w tym grobie.

Ben westchnął, ale musiał przyznać braciom rację. Poza tym, przez cały dzień szukał Penny w El Paso. Znając ją, wiedział, że jeśli sama nie zechce zostać odnaleziona, to nikt jej nie znajdzie. Naczytała się dość powieści detektywistycznych, żeby potrafić się ukryć. Nabrał przekonania, że ona na pewno do niego wróci. Prędzej czy później, ale wróci. Zwłaszcza że ma jakieś kłopoty. Zawsze pakowała się w tarapaty. Najlepiej, jeżeli będzie na nią czekał tam, gdzie spodziewała się go spotkać.

Powrót do Quinn w stanie Teksas okazał się zadaniem znacznie łatwiejszym, niż przypuszczała. Ta wielka, stara landara, którą przyjechali ci faceci, miała z tyłu plandekę. Tak więc Penny - bo zaczęła już w myślach nazywać się tym imieniem - chwyciła w ramiona swojego pieska i jak tylko tamci trzej weszli do budynku, popędziła w stronę ciężarówki. Wpełzła pod plandekę i czekała. Ollie wydawała się całkiem zadowolona z takiego obrotu rzeczy. Powierciła się chwilę, a potem wyciągnęła się obok niej. Parę minut później chrapała tak głośno, że Penny obawiała się, iż usłyszą ją wychodzący z posterunku mężczyźni.

Wkrótce trzasnęły drzwi i rozległ się warkot silnika. Potem ciężarówka ruszyła. Penny czuła serce głucho łomoczące w piersi.

Przypuszczała, że wracają na to piękne ranczo, które już wcześniej odwiedziła.

Co z nią się stanie, kiedy już tam przyjadą?

RS

ROZDZIAŁ 3

Ciężarówka zatrzymała się już po kilku minutach. Penny ostrożnie uniosła róg plandeki, żeby sprawdzić, co się dzieje. Jasnowłosy kowboj - ten, którego zaczynała już w myślach nazywać „swoim Brandem” - wysiadł i przeszedł tuż obok niej. Zamarła, bojąc się, że jeśli głośniej odetchnie, zauważy jej kryjówkę.

Był wysoki. Wyższy, niż się to wydawało z daleka. Mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt. Mimo tak słusznego wzrostu poruszał się lekko i sprężysto. Ten widok sprawiał jej niekłamaną przyjemność.

Jasnowłosy Brand wyglądał na bardzo zmęczonego. Na jego twarzy malował się smutek. Usta miał surowo zaciśnięte, a szerokie plecy lekko pochylone, jakby dźwigał na nich jakiś ciężar.

Kiedy ją minął, poczuła zapach wyprawionej skóry i wody kolońskiej. Jego zapach... jakże dziwnie znajomy.

Palący ból przeszył jej skronie. Omal nie krzyknęła. Zaciśnęła zęby, zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać. Wreszcie mężczyzna się oddalił, a wraz z nim ulotnił się znajomy zapach. Ból trochę zelżał - przynajmniej na tyle, że mogła znowu otworzyć oczy.

Zobaczyła, jak wsiadał do innej, mniejszej ciężarówki. Powinna się tego domyślić. Przyjechał tu wcześniej, musiał więc mieć swój własny środek lokomocji. Uruchomił silnik, błysnął światłami, a ona szybko dała nura pod plandekę.

Jej ciężarówka także ruszyła. Ta, którą on prowadził, jechała tuż za nimi. Przeraziła się, że jeśli wiatr szarpnie mocniej plandeką, on ją na pewno zobaczy!

Musiały zachowywać się bardzo spokojnie. Powiedziała o tym Ollie i psina okazała się bardzo posłuszna. Leżała przytulona, najwyraźniej absolutnie szczęśliwa. Jazdę ciężarówką na ranczo Penny mogłaby uznać za całkiem przyjemną podróż, gdyby nie to, że podłoga była twarda, a ją od leżenia bez ruchu rozboleły kości. Pod plandeką pachniało sianem. Zapach ten wydał jej się miły i kojący. Wreszcie ciężarówka zaczęła podskakiwać na wybojach, co oznaczało, że zjechali już z asfaltowej autostrady na drogę prowadzącą na ranczo. Odetchnęła z ulgą, choć właściwie powinna się denerwować bardziej niż kiedykolwiek, i mimo niewygód zasnęła.

Kiedy się obudziła, był już ranek. Promienie słońca wpadały pod plandekę, łaskocząc ją w twarz. Wokół słyszała odgłosy porannej krzątania. Jacyś ludzie kręcili się wokół ciężarówki. Wyjrzała i zobaczyła tych Brandów. Boże, aż tylu! Wyprowadzali zwierzęta ze stajni, dosiadali koni i galopowali po pastwisku. Jej blondyna nie było między nimi. Dopiero po dłuższej chwili usłyszała jego głos oraz skrzypienie siatkowych drzwi.

- Muszę przy tym być, Chelsea - mówił, jej Brand". - Chyba sama to rozumiesz.

- Oczywiście - odparła jakaś kobieta. - Dziwi mnie tylko, że robią to tak szybko.

- Twój mąż się o to postarał. W końcu sędzia Reynolds ma wobec niego poważny dług wdzięczności.

- O tak, wielu ludzi zawdzięcza coś Garrettowi - powiedziała kobieta, a potem dodała łagodnym tonem: - Zbieraj się, Ben.

Załatwię opiekunkę dla małego Ethana i wszyscy przyjedziemy na cmentarz, jak tylko się uporamy z porannymi obowiązkami.

Zapadła cisza. A potem jasnowłosy Brand powiedział:

- Chyba wolałbym być sam. Kobieta westchnęła.

- Obawiam się, że żadna siła nie powstrzyma twoich braci, Ben. Zobaczą, co da się zrobić.

- Dzięki - odparł. Potem rozległ się odgłos ciężkich kroków na ganku. - Podziękuj Garrettowi za to, że mi pożycza swoją ciężarówkę. Moją obejrzę po południu. Chyba obluzował się pasek klinowy.

- Na pewno nie chcesz nic zjeść przed wyjazdem?

- Nie przełknąłbym ani kęsa.

Trzasnęły drzwi od szoferki i ciężarówka ruszyła, zabierając Penny na kolejną przejażdżkę, na którą nie miała najmniejszej ochoty. Była bowiem pewną, że celem tej wyprawy jest jej grób. A tego absolutnie nie chciała oglądać. Przytuliła mocniej psa i zaczęła się modlić o to, żeby się myliła.

Ben stał na znajomym miejscu, patrząc na nagrobek z różowego granitu i kwiaty, które zmieniał co tydzień. Z dala dobiegał go warkot nadjeżdżającej koparki, Czuł, że zaraz rozplacze się jak dziecko. Z najwyższym trudem powstrzymywał się od łez.

Nie zaczną kopać, zanim nie przyjedzie Garrett, który, jako szeryf, będzie musiał być przy ekshumacji, czy się to Benowi podoba, czy nie. Przykucnął i sięgnął po kwiaty. A potem wyprostował się, z bukietem w ręku.

- Narcyzy - szepnął. - Zawsze lubiłaś ten zapach. - Zaczął wachać białe płatki, tak jakby ona to zrobiła.

Po raz pierwszy wyraźnie wyczuwał obecność Penny. Co za ironia losu, że akurat w tak okropny dzień jak ten nareszcie poczuł jej bliskość. Ona tu była. To już nie jakaś obca osoba spoczywała w tym grobie, tylko jego żona. Może mu się tylko zdawało, że ją widział. Może bardziej niż tej ekshumacji, potrzebował jakiejś terapii...

Kogo tak naprawdę próbował oszukać? Nie pomoże mu żadna terapia. Nic już mu nie pomoże. Gdyby jednak mógł mieć tę pewność...

- Nie pozwól im kopać - rozległ się drżący głos za jego plecami.

Ben zamarł, uniósł głowę znad bukietu, a jego pięść kurczowo zacisnęła się na delikatnych łądygach. Lekki wiatr rozwiewał mu włosy i poruszał gęstą, szmaragdową trawą u jego stóp.

- Bardzo cię proszę - powiedział ten sam głos. - Nie chcę na to patrzeć.

Odwrócił się bardzo powoli.

Penny stała o pół kroku od niego, ale nie patrzyła na niego, tylko na nagrobek z różowego granitu, a jej szeroko otwarte oczy były pełne łez. Miał przed sobą swoją żonę, wpatrzoną we własny grób.

Powoli wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Omal nie odskoczył, kiedy pod palcami poczuł ciepłe, miękkie ciało. A więc istniała naprawdę! Ujął ją za rękę.

- Penny? - Nagle ich oczy się spotkały. - O Jezu, Penny, czy to naprawdę ty?

Usta jej zadrżały. Zamrugła powiekami, spod których potoczyły się łzy.

- Pewnie mi nie uwierzysz, ale... sama nie wiem - odparła cicho.

Ben spojrzał jej uważnie w twarz i nie miał już cienia wątpliwości. To była Penny. We własnej osobie, nie żaden jej sobowtór ani ktoś z rodziny ładząco podobny. Oczy zaszły mu łzami, a serce tłukło się w piersi jak oszalałe. Odruchowo otoczył ją ramionami, mocno przytulił i już wszystko wiedział. To jego żona. Trzymał ją w objęciach i czuł się jak w niebie. Nagle zaczął obsypywać pocałunkami jej włosy, twarz i szyję.

- Przestań - szepnęła.

- Dobrze już, dobrze, Penny. Wróciłaś i wszystko będzie jak dawniej. - Zanurzył palce w jej miękkich, ciemnych kędziorach, tuląc jej głowę do swego szerokiego torsu. Drżał jak w gorączce i uginały się pod nim nogi. Boże, jak to się stało? Dlaczego? Zresztą, to nieważne. Ważne było tylko to, że znowu mógł trzymać ją ramionach. Już nigdy nie pozwoli jej odejść. Nigdy!

- Puść mnie!

Zamarł i dopiero po chwili uświadomił sobie, że wcale się do niego nie tuli, tylko go odpycha. Zrobiło mu się zimno z przerażenia. Nie tak zachowywała się ta Penny, którą znał.

Powoli rozluźnił uścisk, nie puścił jej jednak z obawy, by mu nie uciekła albo nie rozplynęła się w powietrzu. Cofnął się i zajrzał jej w twarz. Oczy, szeroko otwarte jak u zaszczutego zwierzęcia, a zarazem pełne furii. Nad jej głową wiatr poruszał gałęziami, a słońce rzucało refleksy na twarz.

- Penny, najdroższa, co się stało? Czy coś jest nie tak? Powoli pokręciła głową i chciała oswobodzić ręce, ale on nadal jej nie puszczał. Kiedy to wreszcie zrozumiała, przestała się opierać. Stała zdyszana, patrząc mu w oczy.

- Odezwij się do mnie - wyszeptał. - Jezu, Penny, powiedz coś. Zamknęła oczy i opuściła głowę.

- Nie wiem, co tak naprawdę chciałbyś usłyszeć - szepnęła. - Nie znam cię.

- Żartujesz. Oczywiście, że mnie znasz! Co ty takiego...?

- Nie znam cię! - Szybko uniosła głowę i zmierzyła go płonąącym wzrokiem. - Siebie też nie znam. Wszystko jest tu dla mnie obce. - Jej wzrok spoczął na nagrobku. - Czy... czy ten grób... Czy to jest mój grób?

Wstrząśnięty, skinął głową bez słowa. Opuścił bezwładnie ręce. Penny przeszła obok niego i zatrzymała się przy grobie, a potem nagle osunęła się na kolana.

- Penny Lane - wyszeptała - wodząc palcami po wyrytych w granicie literach. - To nawet zabawne, prawda?

- Twój rodzice uważali, że to piękne - odrzekł. - Mnie też się to podobało.

Jej ręce zatrzymały się na ostatnim wyrazie - nazwisku, które jej dał, ich wspólnym nazwisku.

- Brand? - zapytała, podnosząc na niego wzrok. Milczał, bo nie wiedział, co powiedzieć. Co jej się stało? Jak mogła twierdzić, że go nie zna? Podszedł i przykląkł tuż za nią. Usłyszał, jak czyta cichym, monotonnym głosem, wodząc palcami po nagrobnej płycie.

- „Ukochana żona”. - Odwróciła się i spojrzała na niego. - Czyją byłam ukochaną żoną?

Byłam? Co to miało znaczyć?

- Moją - powiedział z mocą. - I wciąż nią jesteś, Penny. Nie wiem, co się dzieje i jak do tego doszło. Nie rozumiem też, dlaczego udajesz, że mnie nie znasz.

Słuchała jego słów obojętnie, jak jakiegoś suchego sprawozdania.

- A co z tą „ukochaną”?

- Jak możesz mnie o to pytać? - zapytał z oburzeniem. Wstała, opierając się o głaz. Ben usłyszał warkot podjeżdżającej koparki, ale nie to zaprzętało teraz jego uwagę.

- To wcale nie jest takie dziwne pytanie - powiedziała. - Obudziłam się ze śpiączki w jakiejś zagranicznej klinice, gdzie powiedziano mi, że nie mam nikogo, bo moja rodzina postawiła na

mnie krzyżyk. Że nikt ani razu nie zadzwonił ani mnie nie odwiedził i nikt nie wykazywał najmniejszego zainteresowania tym, czy jeszcze żyję. Więc ja pytam, dlaczego? - Pokiwała ze smutkiem głową. - Zresztą, chyba masz rację. To było bardzo głupie pytanie. - Ruszyła przed siebie ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Ben wpadł w panikę. Ona nie może odejść! Nie teraz! Chwytał ją za ramiona i raz jeszcze odwrócił ku sobie.

- Myśleliśmy, że umarłaś! - krzyknął. - Na Boga, przecież cię pochowaliśmy! Nikt z nas nie wiedział, że żyjesz!

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Naprawdę?

Nagle dostrzegł pustkę w jej oczach. Zniknęła gdzieś miłość, którą mógł z nich dawniej wyczytać. Ze ściśniętym sercem patrzył na twarz żony.

- Gdybyś cokolwiek pamiętała, nie zadawałabyś mi takich pytań. Ty chyba rzeczywiście nic nie wiesz. Powiedz mi, Penny...

- Nie pamiętam. - Zaczerpnęła tchu. - Nie znałam nawet mojego imienia, póki go nie usłyszałam z twoich ust.

- Przecież tu przyjechałaś... Odnalazłaś mnie... - Ben nie chciał jej uwierzyć.

- Znalazłam jakiś adres na kawałku koperty, który wpadł pod podszewkę mojego zakietu. To wszystko. Pomyślałam sobie, że jeśli tu przyjadę... może znajdę jakąś wskazówkę... Może się dowiem, kim byłam przedtem. - Odwracając wzrok, dodała: - Ostatnią rzeczą, jakiej

się spodziewałam, był mąż... nie mówiąc już o nagrobku z moim nazwiskiem.

Ben spojrział na grób, a potem na operatora koparki, który ze zdumieniem przyglądał się tej scenie i nie bardzo wiedział, jak ma się zachować.

- Kto tu leży? - zapytała Penny. - Bo jeżeli nie ja, to kto?

- Nie wiem - wyszeptał Ben. - Ktoś, kto zginął w twoim samochodzie.

Zmrużyła oczy. Tyle razy widywał ją, jak patrzyła w ten sposób na innych ludzi. Ta dawna Penny, jeszcze sprzed choroby, a nie ta słaba i zależna. Wtedy nie dowierzała nikomu, póki nie miała dowodów. Nigdy jednak nie patrzyła tak na niego. Do głowy by mu nie przyszło, że coś takiego mogłoby go spotkać.

- Penny... kochanie... samochód spłonął. A ciało... - Urwał i potrząsnął tylko głową, bo w jej oczach pojawiła się trwoga. - Ta osoba miała na palcu to... - Zza koszuli wyciągnął łańcuszek, na którym zawiesił ślubną obrączkę. Nosił ją od dnia jej śmierci.

Dotknęła obrączki. Przesunęła palcem po kryształkach onyksu. Zmarszczyła brwi i spojrzała na niego z ukosa, a potem z całych sił zacisnęła powieki.

- Penny?

Zaczęła masować sobie skronie.

- Zaraz sobie pójdę - powiedziała.

- Powinnaś natychmiast iść do lekarza. Mogę zadzwonić...

- Nie! - Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Cofnęła się o kilka kroków. - Żadnych lekarzy! Nie chcę! Nie próbuj mnie zmuszać, bo już mnie więcej nie zobaczysz.

- Dobrze już, dobrze. Uspokój się - mówił cicho, patrząc w jej strwożone oczy. Pragnął ją uspokoić, tak jak to robił dawniej. - Posłuchaj, nikt cię nie będzie do niczego zmuszał. Obiecuję ci. W porządku?

Patrzyła na niego pełna niepokoju, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

- Chcę, żebyś pojechała ze mną do domu. Na ranczo.

- Nie! - W jej głosie zabrzmiała panika.

Ben zacisnął zęby. Musi się pohamować. Musi pamiętać, jaka była krucha i delikatna.

- Nie bój się - powiedział. - Nie będziemy tam tylko we dwoje. Połowa mojej rodziny nadal tam mieszka, a druga połowa bywa niemal codziennie. To właśnie na ranczo mieszkaliśmy, zanim... zanim odeszłaś. - Penny nie przestawała się cofać i kręcić głową. Boże, chyba się go nie bała? Nie jego. - Kochanie, może jeśli znajdziesz się w znajomym otoczeniu, coś sobie przypomnisz. Przemyśl to, proszę cię. Przecież to twój dom, Penny. Tam jest twoje miejsce.

Plecami dotknęła kamienia nagrobnego. Poczowała się jak w pułapce.

- Ale ja nie mogę udawać, że jestem... tamtą osobą. Bo nie jestem. Nie jestem już twoją żoną. Na Boga! Nawet nie wiem, jak ci na imię!

Odebrał te słowa jak policzek. Krew odpłynęła mu z twarzy. Opuścił głowę i odezwał się z wymuszonym spokojem:

- Ben. Na imię mi Ben. I wiem, że nie możesz tak po prostu wrócić do domu i zacząć wszystko od nowa w tym punkcie, w którym nasze wspólne życie zostało przerwane. - Pomyślał, że nie był to dobry moment w ich życiu, mimo iż bardzo się kochali. Penny wtedy chorowała, bardzo chorowała. Teraz wygląda dobrze, ale i wtedy miewała swoje lepsze dni.

- Wróć do domu, Penny. Dowiesz się wszystkiego o nas, a ja spróbuję się dowiedzieć, co ci się przydarzyło. I... i zaopiekuję się tobą.

- Sama się sobą zajmę.

Wzdrygnął się na te słowa. Doskonale wiedział, jak bardzo go teraz potrzebuje.

- W naszym domu jest dużo miejsca - powiedział. - Dostaniesz swój własny pokój. Będiesz naszym gościem, Penny. Będziesz mogła robić, co ci się podoba.

Zerknął na nią ukradkiem. Przyglądała mu się z uwagą. Chciał wziąć ją w ramiona i pocałować, tulić ją tak długo, aż go sobie przypomni. Nie potrafił uwierzyć, że mogła tak bez reszty zapomnieć o tym, co było między nimi. Dlaczego sprawia wrażenie, jakby się go bała, jakby nie wierzyła w ani jedno jego słowo?

Jeżeli znowu od niego odejdzie, on tego nie przeżyje. Położy się na jej grobie i pozwoli, by pękło mu serce. Gdyby jednak jej to powiedział, pewnie uciekłaby z krzykiem, a on nie chciał jej teraz straszyć. Wiedział, że musi być bardzo ostrożny i przedstawiać racjonalne argumenty. Penny, którą znał, kierowała się rozsądkiem.

- Jaką masz alternatywę? Potrzebujesz mnie... potrzebujesz nas wszystkich. - Wyciągnął rękę, ale zatrzymał się w pół gestu, gdy spod jej stóp rozległo się warczenie. Spojrzał w dół i zobaczył brudnego, pokracznego pieska, który groźnie szczyrzył zęby.

- Ona próbuje ci powiedzieć, że nie potrzebujemy nikogo - odezwała się Penny - że świetnie sobie poradzimy same. Od ciebie chciałabym tylko uzyskać kilka odpowiedzi.

Pies patrzył przez chwilę na swoją panią, a kiedy się upewnił, że nic jej nie grozi, przysiadł i zaczął: obgryzać patyk.

- Posłuchaj mnie. Chyba sama widzisz, że potrzebujesz pomocy i wsparcia. Nie wiesz, kim jesteś, nie masz pieniędzy. Musiałaś, na przykład, kraść. Penny, którą kiedyś znałem, nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, chyba że w ostateczności.

- Może nie jestem tą Penny, którą kiedyś znałeś - odcięła się, ale odwróciła wzrok, a on wiedział, że dręczą ją wyrzuty sumienia.

Wiedział też, że nie miała innego wyjścia.

- Ależ jesteś - powiedział łagodnie. - Nie obchodzi mnie to, co zrobiłaś. Posłuchaj mnie uważnie. To, co mówię, ma sens. Policja cię szuka. Wiesz o tym, prawda?

Nie przytaknęła, ale też nie zaprzeczyła. Patrzyła tylko na niego ciemnymi oczyma, pełnymi wątpliwości.

- Jeżeli teraz odejdiesz, prędzej czy później cię złapią. Na ranczo będziesz bezpieczna. Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi. Zajmę się twoimi sprawami. Czemu nie miałybyś spróbować? Choćby na kilka dni. Jeżeli ci się nie spodoba, możesz w każdej chwili odejść.

- Jeden dzień.

Zamrugnął oczami, nie bardzo rozumiejąc, o co jej chodzi.

- Teraz nie jestem w stanie planować dalej niż na jeden dzień.

Uważam, że nie musisz się troszczyć o moje sprawy. Dowiem się, kim jestem, a potem znajdę sobie jakąś pracę i...

- Co? - Spojrzał na nią z najwyższym zdumieniem. O czym ona mówi? Chce szukać pracy? Przecież była ciężko chora. Lekarze mówili, że ma przed sobą niewiele życia. Właściwie, powinna już nie żyć. Zaraz jednak przypomniał sobie jej przerażone spojrzenie, kiedy próbował ją wypytywać. Zaczerpnął tchu, zacisnął pięści i z wymuszonym spokojem powiedział: - Dobrze. Będzie tak, jak sobie życzysz. Tylko na jeden dzień. W porządku?

Uspokojona, skinęła głową.

- Tak. I oczywiście zabieram ze sobą psa. Ben spojrzał na nieszczęsne zwierzę.

- Pies? Hm... Sam nie wiem...

- Ona jest wszystkim, co mam na tym świecie - wyszeptała Penny.

Ben poczuł w piersi ostry ból, jakby mu ktoś wbił nóż w serce. Masz przecież mnie, pomyślał. Zawsze mnie miałaś... i zawsze będziesz miała.

- W porządku, weź psa. Naszemu Blue przyda się jakieś towarzystwo. - Przykucnął i wyciągnął rękę. - Chcesz się przejechać, grubasku?

Pies także przysiadł i głucho warknął.

- To suczka. Wabi się Ollie - powiedziała Penny, a potem wzięła psa na rękę. Polizał ją po twarzy.

Ben poczuł przypływ irracjonalnej zazdrości, ale stłumił go w zarodku.

- Możesz już wsiadać. A ja powiem Joe, żeby wycofał koparkę i czekał na dalsze dyspozycje.

Skinęła głową i wolno ruszyła w stronę ciężarówki. Patrzył za nią i nagle ogarnęło go przerażenie. Wymówił głośno jej imię. Nie odwróciła się, tylko spojrzała na niego przez ramię.

- Obiecuj mi, że nie uciekniesz. - W jego głosie zabrzmiała rozpacz, choć wcale tego nie chciał. Co będzie, jeżeli Penny nagle zmieni zdanie? Czy znowu zniknie?

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Piesek cicho zaskowyczał.

- Zaczekam na ciebie w ciężarówce - powiedziała w końcu. Ben skinął głową.

- Zaraz wracam.

Jak ktoś może wierzyć, że jego żona nie żyje, skoro wcale nie umarła? Penny wciąż zadawała sobie to pytanie. Jak można zostawić żonę na dwa lata w jakiejś zamorskiej klinice i w ogóle nie zainteresować się jej losem? Przecież ktoś musiał to wszystko załatwić. Ktoś musiał płacić rachunki. Może istniały jakieś przyczyny, dla których chcieli jej się pozbyć? Dlaczego świat miał być przekonany o jej śmierci, podczas gdy ona tkwiła w klinice doktora Barlowa? Może jednak ten człowiek, który upiera się, że był jej mężem, miał po temu jakieś ważne powody?

Ale jeśli tak, Ben Brand nie dawał tego poznać po sobie.

Nigdy w życiu nie bała się bardziej. Choć to nie Ben budził w niej lęk. Jeżeli już - bała się siebie i tych dziwnych uczuć, które wyzwalała jego bliskość. Przecież to chyba nie jest normalne, że siedzi teraz obok zupełnie obcego mężczyzny i wyobraża sobie, jak by to było się z nim całować, czuć uścisk jego ramion i bicie serca tuż przy swoim sercu. To przecież takie osobiste, intymne odczucie. Podobno był kiedyś jej mężem. Jeśli tak, to musiał wiedzieć o niej rzeczy, których sama o sobie nie wiedziała.

Nie wiedziała też, czy mu zaufać.

A niech to! Musiała przyznać, że chętnie by mu uwierzyła. Nigdy nie widziała tak szczerych, błękitnych oczu. Ale nie mogła sobie na to pozwolić. Zbyt dużo pytań domagało się odpowiedzi. I to odpowiedzi, które musi zweryfikować.

Ten „jej Brand” jest przystojnym, postawnym mężczyzną. Emanowała z niego siła fizyczna i tłumione emocje, a jednak czuła, że

nigdy by jej nie skrzywdził. A przynajmniej nie fizycznie. Prawdę mówiąc, skakał koło niej jak koło małego dziecka. Pomógł jej wsiąść do szoferki, zapiał pasy i ciągle się dopytywał, czy nie jest jej za zimno albo za ciepło. Wydawało jej się, że każde jej słowo, każdy gest, ma dla niego jakieś szczególne znaczenie; że to on jest tą wrażliwszą stroną, która potrzebuje pomocy; że życie tego potężnego mężczyzny spoczywa w jej rękach.

Bała się także spotkania z jego rodziną. Domu pełnego obcych ludzi, którzy muszą ją znać równie dobrze jak on. Chyba już wolałaby zostać z nim sam na sam.

Podniosła na niego oczy i pomyślała o chwili, w której namiętnie tulił ją do piersi. Nie. Jednak bezpieczniej będzie zamieszkać z nimi wszystkimi.

W czasie jazdy Ben pokazywał jej różne charakterystyczne miejsca. Za każdym razem czuła na sobie jego badawczy wzrok, w którym tliła się nadzieja. Jakby oczekiwał, że w końcu coś sobie przypomni. Knajpka, do której zaprosił ją na pierwszą randkę. Szkoła, do której nosił za nią książki. Rozległe pastwisko pełne krów, na którym tak często się spotykali przed piętnastu laty. Minęli inną ciężarówkę, a w niej mężczyzn, którzy byli z Benem w El Paso. Na widok Penny kierowca osłupiał i omal nie wjechał do rowu. Ben dał znak, żeby zawrócili i pojechali za nimi. Olbrzymia ciężarówka powoli zakreśliła, wznosząc tumany kurzu.

Jeszcze więcej ludzi! Jak sobie z tym poradzi? Ci wszyscy obcy, którzy tyle o niej wiedzieli, podczas gdy ona w ogóle ich nie знаła i

nie potrafiła im zaufać. Miała wrażenie, że stoi naga przed tłumem. A niech to! Co za okropne uczucie!

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił łagodnie Ben. - Oni cię kochają. Wszyscy. Przecież to twoja rodzina, Penny.

- Kochali - powiedziała. - Czas przeszedł. I nie mnie, tylko tamtą kobietę, którą kiedyś byłam. - Opuściła głowę. - Jak mogą mnie znać, skoro ja sama siebie nie znam?

Obrzucił ją dziwnym wzrokiem. Pewnie jej nie rozumiał. Zresztą, czy mogła tego od niego wymagać? Ollie wskoczyła Penny na kolana i oparła pysk na jej ramieniu. O, tak, Ollie rozumiała. Przytuliła się do psa, by jego brudna sierść wchłonęła jej łzy. Po co miałby je widzieć ten obcy mężczyzna, zajmujący sąsiedni fotel?

ROZDZIAŁ 4

Ben przejechał pod łukowatą bramą i zatrzymał się przed domem. Druga ciężarówka zaparkowała tuż za nimi. Stało tam już kilka samochodów. Penny podniosła na moment oczy, a potem znowu ukryła twarz w sierści Ollie. Boże, ile ludzi!

- Boisz się, prawda? - zapytał Ben.

Pokręciła głową, czując przy policzku ciepły bok zwierzęcia. Słyszała trzask ażurowych drzwi i wiedziała już, że Brandowie gromadzą się na ganku, patrząc wyczekująco na oba pojazdy. Potem huknęły drzwi od tamtej ciężarówki. Poczowała na sobie badawczy wzrok jej pasażerów. Miała ochotę schować się do mysiej dziury i poczekać, aż wszyscy sobie pójdą.

- Wcale się nie boję - skłamała.

- Możemy jeszcze zawrócić i odjechać - powiedział Ben. - Mogę ich też poprosić, żeby sobie poszli. Jak sobie życzysz, Penny. Powiedz mi tylko, czego chcesz.

Uniosła głowę i spojrzała w piwne oczy Ollie.

- Ty byś nie uciekła, prawda? - zapytała. - Wyskoczyłabyś pierwsza i zaraz byś sobie znalazła smakowitą kość.

Westchnęła, zacisnęła zęby i pomyślała, że nie ma lepszego sposobu na to, żeby się dowiedzieć czegoś o swojej przeszłości, jak stanąć oko w oko z całą tą gromadą.

- No cóż, lepiej już mieć to za sobą - stwierdziła, a Ollie warknęła z aprobatą.

Ben patrzył na nią z lekkim wyrzutem. Może miał żal, że rozmawia z psem, a na niego nie zwraca najmniejszej uwagi? Może chciał jej w jakiś sposób pomóc? Ale jak? Przecież nawet jej nie znał.

Szarpnęła za klamkę, otworzyła drzwi i wysiadła. Ollie wyskoczyła tuż za nią. Obeszły ciężarówkę i ruszyły na spotkanie ludzi zgromadzonych na ganku. Ben siedł u jej boku i choć był to obcy człowiek, poczuła się znacznie lepiej, gdy jego potężna dłoń zamknęła się wokół jej dłoni.

- Penny? - rozległ się drżący, damski głos. - O mój Boże! - Szczupła, młoda kobieta o krótko obciętych kasztanowych włosach zbiegła po schodkach i zanim Penny zdążyła się zorientować, już znalazła się w jej objęciach. Dziewczyna tuliła ją, płacząc i obsypując pocałunkami jej twarz. Potem nagle odsunęła się i zaczęła gładzić Penny po głowie, a z jej zapłakanych oczu wyzierała bezgraniczna radość. - Nie mogę w to uwierzyć! Wróciłaś do domu! Nareszcie wróciłaś! - Usta jej drżały.

Penny zwiesiła głowę i wyszeptała:

- Przykro mi. - Nie potrafiła podzielać jej radości. Mogła tylko sprawić zawód tej miłej, ładnej dziewczynie. Jej, a także im wszystkim.

Teraz tłoczyli się wokół, krzycząc bezładnie i zasypując gradem pytań. Stała, oszołomiona, chowając głowę w ramionach.

Nagle Ben uniósł rękę. Gwar ucichł.

- Posłuchajcie - odezwał się z powagą - wydarzyło się coś, o czym nie wiecie. - Dotknął ramienia zapłakanej dziewczyny. -Daj jej spokój.

Jessi, zmieszana, podniosła na niego pytający wzrok.

- Ale przecież...

- Ona nic nie pamięta - powiedział Ben. Zapadła grobowa cisza.

Wszystkie oczy zwróciły się na Penny. - Nie wie, co się jej przytrafiło. Pamięta tylko, że obudziła się w jakimś szpitalu, opuszczona i przerażona. Nie ma pojęcia, co było przedtem. -

Opiekuńczym gestem otoczył Penny ramieniem, jakby chciał ją odgradzić od tych ludzi... i od całego świata.

Czuła, że powinna zaprotestować. W końcu nie potrzebowała niczyjej opieki, ale wewnętrzny głos podpowiedział jej, że on postąpił słusznie.

- Jak to się stało? - dopytywała się Jessi, spoglądając na żonę Bena szeroko otwartymi oczyma. W jej wzroku błysnęło współczucie. - To prawda, Penny? Nie pamiętasz nas? O Boże, moja kochana... - Głos jej drżał i widać było, że zaraz znowu się rozplacze.

Penny omiotła wzrokiem resztę twarzy. Wszyscy mieli grobowe miny, kiwali głowami i współczująco wzdychali, popatrując na Bena.

- No to zaczniemy wszystko od nowa - odezwała się rześkim głosem druga młoda kobieta. Była drobna, nie wyższa niż Penny. Wysunęła się do przodu, potrząsając długimi, złotorudy-mi lokami. - Nie zdążyłaś mnie poznać - powiedziała. - Weszłam do rodziny kiedy... kiedy cię nie było. Jestem Chelsea Brand. - Wyciągnęła rękę.

Penny z wahaniem ujęła wyciągniętą dłoń. Co za ulga spotkać kogoś, kto jej nie znał.

- Mój mąż, Garrett, to ten wielki facet z odznaką. - Chelsea uśmiechnęła się promiennie do męża. - Jest starszym bratem Bena i szeryfem w naszym mieście. A ten chłopczyk, który bawi się z twoim psem, to nasz synek, Ethan. Chłopaki nazywają go Bubba.

Penny nawet nie zauważyła, że Ollie od niej odeszła. Teraz spojrzała w bok i zobaczyła, że pies liże po twarzy jakieś małe dziecko. Poczowała irracjonalną zazdrość, ale zaraz przeniosła wzrok na Garretta. Ten olbrzym z odznaką szeryfa mógł jej przysporzyć kłopotów, gdyby chciał.

- Na pewno od razu wszystkiego nie zapamiętasz - mówiła dalej Chelsea, wzięła Penny za rękę i pociągnęła za sobą - ale się tym nie przejmuj. Na wszystko przyjdzie czas.

Penny zerknęła na Bena. Skinął potakująco głową. Poszła więc za młodą kobietą. Ben podążył za nimi.

Chelsea zatrzymała się przed piękną parą o lekko indiańskich rysach, czarnych włosach i czarnych oczach.

- To jest brat Bena, Wes, a to jego żona, Taylor. Hodują konie na ranczo, tu, niedaleko, a Taylor wykłada na uniwersytecie.

Wes bez uśmiechu przywitał się z Penny, patrząc na nią badawczym wzrokiem. Za to uścisk Taylor był przyjazny, a jej wzrok życzliwy.

- Mnie też nie zdążyłaś poznać - odezwała się Taylor - ale cieszę się, że teraz mam tę szansę.

- Miło mi - bąknęła Penny. No cóż, skoro Chelsea i ta ciemnowłosa piękność poślubiły Brandów, kiedy jej już tu nie było, stawiało je to poza wszelkimi podejrzeniami. Za to Wes wcale nie ucieszył się na jej widok.

Chelsea podeszła teraz do chudego młodzieńca o falistej, rudawej czuprynie.

- To Elliot, najmłodszy brat Bena. Mieszka z nami na ranczo, pomaga braciom i czasami robi straszny zamęt.

Elliot ostrożnie uściskał Penny.

- Jessi i ja często chodziliśmy za wami. Ben zawsze próbował się nas pozbyć, kiedy miał z tobą randkę, ale ty nas nie przeganiałaś. Witaj w domu.

Poczuła bolesne pulsowanie w skroniach. Zaciśnęła powieki, jakby chciała się odciąć od bólu. Elliot... Zanotowała w pamięci jego imię. On i Jessi okazali niekłamana radość na jej widok. Z drugiej strony, gdyby mieli coś na sumieniu, staraliby się to ukryć. Serdeczne powitanie to jeden z najlepszych sposobów na odwrócenie od siebie podejrzeń.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoił się Ben. Nachylił się i zajrzał jej w twarz. Spoglądał na nią czule i troskliwie. Jeżeli udawał, musiał być wyśmienitym aktorem.

Skinęła głową.

- Dobrze.

- Ja jestem Adam - odezwał się głęboki baryton i kolejna potężna dłoń zacisnęła się wokół jej dłoni. - Jeszcze jeden brat Bena. Bardzo chcę wam obojgu pomóc. Możesz na mnie liczyć.

- Adam przyjechał tu na jakiś czas - wyjaśniła Chelsea. -A tak w ogóle mieszka teraz na wschodnim wybrzeżu.

- Może zostanę dłużej, niż planowałem - powiedział miękko Adam.

Penny spojrzała na niego przez zmrużone powieki. Co chciał przez to powiedzieć?

Chelsea ścisnęła ją za rękę.

- To już prawie wszyscy. Zaczekaj chwilę. - Podprowadziła ją do przystojnego, piwnookiego mężczyzny, który stał z boku, trzymając na ręku małą dziewczynkę.

- Jestem Lash Monroe, mąż Jessi - przedstawił się z uśmiechem. - A to nasz mały aniołek, Maria-Michele.

Małutka uśmiechnęła się i zaczęła gaworzyć, ale Penny nie potrafiła zmusić się do uśmiechu. Ten młody mężczyzna także miał odznakę. Jak Garrett. I pewnie obaj już wiedzieli, że była na bakier z prawem. Ramię Bena objęło ją mocniej.

Czemu się nie broniła?

Czemu miała ochotę mocniej się przytulić?

- Lash jest zastępcą Garretta - wyjaśniła Chelsea. - Jessi jest weterynarzem. Mieszkają w Quinn, tuż obok jej kliniki.

Penny z westchnieniem skinęła głową.

- Jestem trochę przytłoczona nadmiarem informacji - powiedziała.

- A także trochę przestraszona - dodał Ben, patrząc na nią z dobrotliwym uśmiechem. - Nie przejmuj się. Ja i Garrett załatwimy twoją sprawę ze strażnikami w El Paso.

- Zaraz się za to wezmę - obiecał Garrett. - Oboje zdajecie sobie sprawę, że cała masa pytań domaga się odpowiedzi. Po pierwsze, kogo właściwie pochowaliśmy, a także, jak to się stało, że ta osoba jechała waszym samochodem i miała na palcu obrączkę Penny?

Spojrzał na Penny, jakby mogła mu to wyjaśnić, choć doskonale wiedział, że to niemożliwe.

- Gdybym potrafiła odpowiedzieć, chętnie bym to zrobiła, szeryfie Brand, ale...

Zbliżył się i delikatnie dotknął jej policzka.

- Na imię mi Garrett, kochanie. I jestem nie tylko bratem Bena, ale i twoim. Pamiętaj o tym. Wszystko sprawdzimy, dotrzemy do sedna i wyjaśnimy do końca.

Zmarszczyła brwi, zdezorientowana. Czy oni rzeczywiście myślą, że da się na to nabrać?

- Tak - potwierdził Adam. - Poza tym mam już pomysł, od kogo zacząć. - Oczy zgromadzonych zwróciły się na niego, a on z gniewem potrząsnął głową. - Zaczniemy od Kirsten.

Jessi wzniosła oczy do góry.

- Powinam się domyślić, że będziesz ją obwiniać. To, że uciekła od ciebie w dniu ślubu, wcale jeszcze nie znaczy, że jest odpowiedzialna za całe zło tego świata.

- Adam ma rację - powiedział cicho Ben i spojrzał na Penny. - Kirsten była twoją najlepszą przyjaciółką - wyjaśnił. - Jeżeli ktoś może mieć jakieś pojęcie, co wydarzyło się w dniu wypadku, to na pewno ona.

- Zadzwoń do niej - ponuro oświadczył Adam.

- Może lepiej niech zrobi to ktoś inny - wtrąciła się Jessi, patrząc znacząco na brata.

- A tak na marginesie - rozległ się łagodny głos Chelsea - jak się czujesz, Penny? Czy nie za dużo wrażeń jak na pierwszy dzień?

Penny musiała przyznać, że od pierwszego wejrzenia polubiła tę miłą dziewczynę, która tak się o nią troszczyła. A przecież nawet jej nie znała. Może właśnie dlatego Chelsea tak jej się spodobała. Jako nowy członek rodziny nie miała okazji wziąć udziału w ewentualnym spisku przeciwko Penny. Niczego się po niej nie spodziewała. Nie usiłowała porównać jej z kobietą, która zniknęła przed dwoma laty. Inaczej niż Ben, który wciąż z nadzieją zaglądał jej w oczy.

- Wszystko w porządku. Jestem tylko dość zmęczona... i boli mnie głowa.

Chelsea i Ben wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Ben zwrócił się do Penny:

- Rzeczywiście, to zbyt wiele jak na jeden raz. Zwłaszcza że jesteś chora. Dziwię się nawet, że w twoim stanie udało ci się

wytrzymać aż tak długo. Wejdźmy do środka, a ty idź i połóż się na chwilę.

Penny spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Nie jestem chora - powiedziała. - Śpiączka, w jaką zapadłam, nie zostawiła po sobie żadnych ubocznych skutków poza amnezją i tymi cholernymi bólami głowy.

Ben spojrzał na nią skonsternowany.

- Penny... czy wiesz, dlaczego zapadłaś w śpiączkę? Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Mówiłeś coś o wypadku samochodowym.

Ben zamknął z westchnieniem oczy. A kiedy je otworzył, były wilgotne od łez.

- Więc to nie tak? - zapytała zdławionym głosem. - Myślałam, że zostałam ranna w wypadku i dlatego wysłaliście mnie... dlatego musiałam iść do szpitala.

- Kochanie, nikt cię nigdzie nie wysyłał. Zabiłbym każdego, kto by spróbował. - Wziął ją w ramiona, przytulił i pocałował w czoło. - Ale to teraz bez znaczenia - powiedział. - Jesteś w domu, wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek, i nic poza tym się nie liczy. - Urwał, bo poczuł, że nie odwzajemnia jego uścisku. Powoli opuścił ręce. - Przepraszam - westchnął.

Był taki przejęty i rozżalony, a zarazem jakby uszczęśliwiony. Wydał jej się w tym wszystkim wzruszający, choć próbowała się bronić przed tym uczuciem.

- O nie. To ma wielkie znaczenie - powiedziała. - Dlaczego twierdzisz, że jestem chora? Czemu nie powinnam wyglądać tak dobrze, jak wyglądam? - Spojrzała mu w oczy, a potem prześlizgnęła się wzrokiem po innych twarzach. - Czy jest coś, co przede mną ukrywacie?

Ben westchnął, otworzył usta, a potem potrząsnął głową i spojrzał na Adama.

- Nie mogę...

- Posłuchaj, Penny - Adam zbliżył się do niej - wygląda na to, że kiedy zdarzył się wypadek, ciebie nie było w samochodzie. Ale chorowałaś.

- Chorowałam?

Adam zwiesił głowę.

- Tak, bardzo poważnie.

Co to za jakieś kolejne oszustwo? Przecież doktor Barlow ani razu nie wspomniał, żeby kiedykolwiek była chora. Natomiast utrzymywał ją w przekonaniu, że odniosła jakieś obrażenia, na skutek których zapadła w śpiączkę. Pomyślała, że musi to z czasem wyjaśnić.

- Rozumiem. Nie pamiętam choroby. Zresztą, to nie ma znaczenia, bo teraz jestem zdrowa.

Kątem oka spostrzegła, że Ben szybko odwrócił wzrok. O co chodzi tym ludziom? Co się z nimi dzieje?

- Mówię prawdę - powiedziała. - Poza dość częstymi bólami głowy nic mi nie dolega.

- Wyglądasz doskonale - zapewniła Chelsea. - Chodź, tak czy owak powinnaś trochę odpocząć. Miałaś ciężki dzień. Poza tym, chcę ci pokazać, gdzie jesteś.

- Przecież wiem, gdzie jestem - powiedziała Penny, kiedy Chelsea wzięła ją za rękę. - W Teksasie.

- Nie, kochanie. Jesteś w domu.

Z jakichś niewiadomych przyczyn słowa Chelsea sprawiły, że łzy napłynęły jej do oczu. Ruszyła w stronę ganku i nagle spostrzegła, że Ollie gdzieś zniknęła. Rozejrzała się w panice i zobaczyła, że piesek nadal bawi się z dzieckiem.

- Przyprowadzę ją za chwilę - zaproponowała Jessi.

- Dobrze. - To głupio z jej strony, że tak się niepokoi o psa. A w ogóle, jak można się tak bardzo przywiązać do zwierzęcia w tak krótkim czasie? Tylko że Ollie stanowiła jej jedyny punkt odniesienia, a tym samym dawała pewne poczucie bezpieczeństwa.

Weszła po schodach na ganek i zatrzymała się na widok huśtawki. Na moment zobaczyła siebie na tej huśtawce... Siedziała obok Bena, z głową na jego ramieniu. Kołysali się łagodnie... Serce zaczęło jej głucho łomotać w piersi, a obraz się rozplynął. A potem wraz z Chelsea przekroczyły próg i ażurowe drzwi zatrzęsły się za nimi.

Ben trzymał się jakoś, póki Penny stała obok. Gdy zniknęła w głębi domu, zgarbił się i zwiesił głowę, czując pod powiekami palące łzy. W jednej chwili otoczyli go bracia - Adam, Garrett, Wes i Elliot. Słyszał, że Jessi zabiera tego okropnego psa i małego Bubbę, po czym

odchodzą z Lashem i Taylor. Bracia za to wcale nie zamierzali zostawić go w spokoju. Elliot chwycił Bena za rękę, Adam poklepywał go po plecach, a Garrett wciąż pytał, czy dobrze się czuje. Wes stał obok z zatroskaną miną i nad czymś się zastanawiał. Otoczyli go kołem, a Ben pomyślał, że gdyby nie oni, pewnie nie ustałby na własnych nogach.

- To musi być dla ciebie straszne - odezwał się Adam. - Mój Boże, sam nie wiem, co powiedzieć.

Ben skinął głową i spojrzał bratu w oczy.

- Co tu mówić? Moja żona wróciła z zaświatów. Jakimś dziwnym sposobem... Chyba powinienem być szczęśliwy, prawda? Powinienem dziękować Bogu na klęczkach za to, że mogę spędzić z nią jeszcze trochę czasu. Tymczasem ja nie potrafię myśleć o niczym innym jak tylko o tym, że mam ją znowu utracić. Na domiar złego ona nie zdaje sobie sprawy ze swojej choroby.

- No cóż, będziesz jej musiał o tym powiedzieć - stwierdził z westchnieniem Adam. - Chyba sam to rozumiesz.

- Ale jak? Nie wiem, czy zdołam po raz drugi przekazać jej tę okropną wiadomość. Przecież ją widziałeś. Wygląda jak okaz zdrowia.

Adam pokiwał ponuro głową.

- Tak. Jest taka jak przedtem... jak przed chorobą.

- No właśnie. - Ben spojrzał w stronę domu. Gdyby te ściany mogły mówić! Przypomniawszy sobie, jak siadywali z Penny na huśtawce, ramię przy ramieniu, usta przy ustach... - Kiedy się dowiedziała, że

jest nieuleczalnie chora, kompletnie się załamała. Skąd mam wziąć siły, by przejść przez to po raz drugi? Mam znowu patrzeć, jak znika światło z jej oczu?

- Tak, to bardzo trudne - przyznał z westchnieniem Garrett. - Musisz jednak to zrobić. Przecież ona ma prawo wiedzieć.

- Zaraz, zaraz - wtrącił się Elliot. Odstąpił o krok i zdjął kapelusz. - Wydaje mi się, że coś przeoczyliście.

Wes, który opierał się o błyszczącą karoserię ciężarówki, teraz się wyprostował.

- Co takiego, braciszku? Elliot rozłożył ręce.

- Czy, waszym zdaniem, ona wygląda na chorą? Według mnie, sprawia wrażenie najzdrowszej osoby pod słońcem. Nie mam racji?

Zapadła cisza. Ben omiół wzrokiem twarz braci, ale tylko w oczach Elliota zobaczył nadzieję.

- Lekarz był absolutnie pewny swojej diagnozy - zwrócił się cicho do najmłodszego brata. - A symptomy choroby stawały się coraz bardziej widoczne. Nie ulegało wątpliwości, że to HWS.

- O to mi właśnie chodzi! - Elliot klepnął się po udach, po czym znowu włożył kapelusz. - Przecież Syndrom Hillmana-Waite'a to choroba postępująca. Stan chorego stopniowo się pogarsza. Nie ma żadnej remisji, żadnych przypadków cudownego wyzdrowienia. Doktor ci to wszystko wyjaśnił, kiedy po raz pierwszy postawił diagnozę. Jak to możliwe, że przed wypadkiem była taka chora, a teraz wygląda kwitnąco?

Ben patrzył jeszcze przez chwilę na Elliota, a potem odwrócił się do Garretta.

- Muszę przyznać, że to niegłupie pytanie.

- Trzeba wezwać naszego doktora. Niech ją zbada - zaproponował Adam. - Może zaszło coś, o czym nie wiemy. Może wynaleźli jakieś nowe lekarstwo i...

- Nie mów takich rzeczy, Adam! - Ben uniósł rękę, a potem odwrócił się plecami do braci i ukrył twarz w dłoniach. - Nawet o tym nie myśl.

- Może jednak jest jakaś nadzieja - nie ustępował Adam.

- Nadzieja potrafi być okrutna - powiedział z naciskiem Wes. - Może cię wynieść do nieba, a potem strącić na samo dno piekła. Myślę, że należy realnie oceniać sytuację.

Ben milczał. Czuł na sobie badawczy wzrok braci i miał wrażenie, że go dotykają, mimo iż trzymali ręce przy sobie.

- Tak, to chyba najlepsze wyjście - stwierdził Garrett, przybierając ojcowski ton. - Bądźmy realistami i nie wpadajmy w pułapkę pobożnych życzeń. Po co robić sobie złudne nadzieje? Ale, oczywiście, można się modlić o to, żeby Penny była zdrowa. Rozumiem też, jak bardzo cierpisz, Ben, że twoja żona nie może sobie niczego przypomnieć.

Wielkie, pomarańczowoczerwone słońce płonęło nad teksańską równiną. Mimo upału Benowi zrobiło się zimno.

- Moje cierpienie się nie liczy. To Penny przeżywa prawdziwe katusze. Potrafisz sobie wyobrazić, jak czuje się ktoś, kto budzi się

pewnego ranka i stwierdza, że utracił całe swoje dotychczasowe życie? Całą przeszłość? Wszystko! - Uniósł wyzywająco głowę. Oczy miał zaczerwienione. -A na domiar złego mówią ci, że nie pożyjesz na tyle długo, żeby zgromadzić nowe wspomnienia w miejsce tych utraconych.

Elliot zacisnął pięści.

- Zobaczysz, że ona odzyska pamięć! Jestem tego pewny!

- Skąd ta pewność?

- Ona musi sobie ciebie przypomnieć! Przecież cię kocha!

Ben odwrócił się do najmłodszego brata. Pomyślał, że cudownie jest być pełnym zapału i optymizmu i wierzyć w szczęśliwe zakończenie.

- Kochała mnie, Elliot... kochała - podkreślił z naciskiem.

- A teraz nawet mnie nie pamięta. - Głos mu się załamał.

Wes położył rękę na ramieniu brata.

- Jeżeli jest coś, co możemy zrobić dla ciebie... - zaczął dziwnie schrypniętym głosem.

- Nie zapominaj, że możesz na nas liczyć - odezwał się Garrett. - Jesteśmy przecież rodziną.

- Tak. - Ben spojrzał po kolei na braci. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - dewiza Brandów. Byli ze sobą bardzo zżyci i Ben miał nadzieję, że to się nigdy nie zmieni.

- Wiem.

- Dobrze się czujesz? Bo jeżeli tak, to czeka nas urwanie głowy.

A im prędzej zaczniemy, tym lepiej.

Ben wziął głęboki oddech, wyprostował się i powiedział:

- No to zaczynajmy. Co mamy robić, Garrett?

- Najpierw trzeba będzie przeprowadzić ekshumację. Musimy się dowiedzieć, kogo pochowaliśmy w tym grobie. Może ta osoba ma jakąś rodzinę? Ja się tym zajmę. Jest też kilka drobnych spraw do załatwienia. Chodzi mi o długi Penny.

- Zapłacę dealerowi za wypożyczenie samochodu. Mogę go nawet kupić. Dam mu, ile zechce - stwierdził Ben.

- Pewnie to ukoi jego rozpacz po poniesionej stracie. Myślę też, że hotel w El Paso wycofa skargę, jeżeli wyjaśnimy, w czym rzecz, i uregulujemy rachunek. Jest jednak pewien problem. Ta skradziona karta kredytowa... - Garrett pokiwał głową. - Widzisz, jest jeszcze coś. Okazało się, że właścicielka tej karty zniknęła.

- Jak to? - zaniepokoił się Ben.

- To pielęgniarza - powiedział Garrett. - Mieszka w Anglii. Na szczęście policja już wie, że Penny przyjechała do Stanów, zanim zgłoszono zaginięcie tej kobiety. Z drugiej strony, mogą jednak zakładać, że Penny wie coś na ten temat.

- To znaczy, że będą chcieli ją przesłuchać, a ja się na to nigdy nie zgodzę. Przecież ona jest chora.

- Zrobię, co się da, żeby to odwlec.

- Boże, co ta twoja kobieta narozrabiwała? - zainteresował się Wes.

Dopiero w tym momencie Ben uświadomił sobie, że Wes nic nie wie o „przestępstwach”, jakich dopuściła się Penny.

- To długa historia i sam nie wiem wszystkiego.

- Kirsten może okazać się najlepiej poinformowana - wtrącił się Adam i nagle spochmurniał, jak zawsze, gdy była mowa o Kirsten. - Najwyższa pora, żeby ją tu wezwać i zadać jej kilka pytań.

Garrett położył rękę na jego ramieniu.

- Ja do niej zadzwonię. Jutro, bo dziś już i tak mamy za dużo spraw na głowie. Ben, nie uważasz, że powinniśmy sprowadzić naszego doktora, żeby zbadał Penny? W końcu twoja żona ma za sobą ciężkie przejścia... a w jej stanie...

- Nie! - Ben zdecydowanie pokręcił głową. - Nawet nie chce o tym słyszeć. Zagroziła mi, że jeśli będę nalegał, natychmiast stąd wyjedzie. A skoro już o mowa o jej chorobie, ciekaw jestem, co to za klinika w Anglii. Co oni jej tam zrobili, że jest taka, jaka jest? Mówię ci, Garrett, na pierwszą wzmiankę o lekarzu zrobiła się biała jak kreda. Była przerażona. Oczywiście próbowała to ukryć - jak zwykle - ale mnie nie oszuka.

Garrett zamyślił się.

- Musisz postępować z nią bardzo ostrożnie - powiedział w końcu. - Jeżeli uda ci się dowiedzieć od niej czegoś o tym szpitalu, natychmiast każę to sprawdzić. - Spojrzał na brata pełnym współczucia, zatroskanym wzrokiem. - Ta sprawa zostanie dogłębnie zbadana. Mogę ci to obiecać.

- Tak, tak - przytaknął Wes. - Może za kilka dni, kiedy już trochę dojdzie do siebie, zgodzi się na wizytę naszego doktora. Przecież on asystował przy jej narodzinach. Ben pokiwał głową.

- Był też przy śmierci jej rodziców... To straszne, że Penny nawet ich nie pamięta. Ani mnie... - Wziął głęboki oddech i ciągnął: - Spróbuję ją namówić, żeby się zgodziła na wizytę doktora. Chyba nie ma innego wyjścia.

- Musisz jej też powiedzieć wszystko o... o chorobie - dodał z naciskiem Garrett.

- Nic jej nie powiem, póki doktor jej nie obejrzy i nie potwierdzi diagnozy. Zrozum mnie, nie mogę jej tego zrobić. Jeszcze nie. Niech ma tych kilka dni spokoju, zanim znowu świat się jej zawali.

Garrett uniósł rękę.

- Dobrze już, dobrze, poddaję się. Będziemy milczeć i czekać na twoją decyzję, ale nie zwlekaj zbyt długo. Ona ma prawo znać prawdę o swoim stanie.

- To takie trudne - westchnął Ben. - Chciałbym ją objąć... przytulić... a ciągle muszę sobie przypominać, że w tej chwili jestem dla niej obcym człowiekiem.

Bracia ponuro pokiwali głowami. Ben pomyślał, że Garrett i Wes na pewno go rozumieli. W końcu obaj mieli żony, które uwielbiali.

- Niby wróciła - dorzucił cicho - ale sam już nie wiem, czy potrafię się z tego cieszyć.

- Nie spiesz się, bracie. Cierpliwości. W razie czego, zawsze możesz na nas liczyć - odezwał się Adam.

O tak, zawsze mógł liczyć na swoją rodzinę. Wiedział, że bracia będą go wspierać aż do końca.

- Pojadę teraz do biura - oznajmił Garrett. - Zajmę się jej nie zapłaconymi rachunkami i załatwię nowy termin ekshumacji. Dam ci znać, jak tylko będę coś wiedział.

- Dzięki, Garrett.

- Jeżeli chcesz, możemy z Elliotem poprowadzić dziś za ciebie treningi - odezwał się Adam. - Co prawda, nie mamy pojęcia o walkach Wschodu, ale...

- O Boże! - Ben złapał się za głowę. - Zupełnie zapomniałem o tych dzieciakach. - Spojrzał na zegarek. - Dzisiaj mam trzy grupy. Starsze dzieci mają zajęcia od dziesiątej do dwunastej, średniaki po lunchu, od pierwszej do trzeciej, a maluchy od trzeciej do piątej.

- Jakoś to załatwimy - powiedział Elliot. - Każemy im powtórzyć ćwiczenia z poprzednich zajęć. - Także zerknął na zegarek. - Zbieraj się, Adam, mamy akurat tyle czasu, żeby tam dojechać.

Adam poklepał Bena po plecach i skierował się w stronę swojego czarnego, sportowego wozu, który wyglądał dziwnie nie na miejscu na ranczo. Każdy z członków rodziny miał swoją teorię dotyczącą powodu, dla którego Adam przyjechał samochodem, zamiast przylecieć samolotem z Nowego Jorku. A każda z tych teorii uwzględniała Kirsten i jej bogatego męża.

- My z Taylor weźmiemy na siebie obowiązki domowe - odezwał się Wes. - Nie spiesz się, Garrett. Załatw wszystko, co trzeba, a my zajmiemy się ranczem.

- Dobrze się czujesz, Ben?

- Nie, ale dam sobie radę. - Spojrzał w stronę domu. Pragnął jak najprędzej znaleźć się w środku, a zarazem strasznie się tego bał.

- Świetnie cię rozumiem - powiedział Wes. - Pamiętam, jak mówiłeś mi, że dałbyś sobie uciąć rękę, byle móc znowu być z Penny. Więc masz tę swoją Penny, choćby tylko na krótko. Mało komu przytrafia się taki cud.

Chcąc nie chcąc, musiał przyznać bratu rację. Czekąco go trudne zadanie. Najpierw musi sprawić, żeby Penny przypomniała sobie to, co ich kiedyś łączyło. Gdy to nastąpi, zamierza wykorzystać każdą minutę, jaka im pozostała. Nie miał innego wyjścia.

ROZDZIAŁ 5

Chelsea oprowadziła ją po domu, w którym każde pomieszczenie zdawało się oferować miłą gościnę. Zajrzała do przestronnej kuchni i jadalni, ale najbardziej spodobał jej się salon - olbrzymi, z wielkimi oknami, za którymi rozciągały się bezkresne pola i pastwiska. Kamienny kominek zajmował jedną trzecią ściany, a meble były miękkie i wygodne. Podłogę pokrywała szorstka mata. Leżał na niej duży pies, którego skudlona sierść prosiła się o grzebień. Kiedy go mijały, otworzył senne oko.

- Mam nadzieję, że nie zrobi krzywdy Ollie? - zapytała z lękiem. Chelsea roześmiała się.

- Jemu ledwo starcza sił, żeby coś zjeść. Twoja pupilka jest absolutnie bezpieczna. Poczciwy, stary Blue nie skrzywdziłby nawet muchy.

Podprowadziła Penny do starych, stromych schodów i zaczęła wchodzić na górę.

- Na dole zostało jeszcze parę miejsc do obejrzenia - powiedziała. - Piwnica, gabinet oraz łazienka, ale zaprowadzę cię teraz na górę. Nie ma tam nikogo i będziesz mogła trochę odpocząć.

- Bardzo chętnie - odparła z westchnieniem Penny. Chelsea poprowadziła ją do sypialni na końcu korytarza.

Kiedy otworzyła drzwi, Penny znalazła się w różowym pokoju. Różowe tapety, różowe firanki, nawet łóżko przykryte było różową kapą.

- Ten pokój zajmowała Jessi, zanim wyszła za Lasha i przeprowadziła się do miasta. Nie znosi różowego koloru, ale nie miała serca powiedzieć o tym braciom.

- To oni urządzili jej pokój? Chelsea skinęła głową.

- Wszyscy chcą uchodzić za twardzieli, ale mają złote serca. Naprawdę.

Penny pomyślała, że nie będzie się z nią dzielić swoimi podejrzeniami. Jak na razie, ci Brandowie rzeczywiście sprawiali bardzo sympatyczne wrażenie. Podeszła do okna, które wychodziło na podwórko. Bracia zgromadzili się wokół ciężarówki. Ben spojrzał w górę właśnie wtedy, gdy ona popatrzyła w dół. Ich oczy się spotkały. Poczowała lekki dreszcz i szybko odwróciła wzrok.

- Wolę różowy pokój niż biały - powiedziała, podejmując przerwany wątek. - W klinice dominowała sterylna biel.

Chelsea delikatnie dotknęła jej ramienia.

- Wyobrażam sobie, jakie to straszne przeżycie.

- Nie byłam tam na tyle długo, żeby odbierać to jak koszmar - powiedziała, po czym przypomniała sobie, że przecież Chelsea nie należy do podejrzanych. Nie mogła brać udziału w spisku, który tak drastycznie zmienił jej życie. - Czy oni często o mnie rozmawiali?

Chelsea zawahała się, a potem przysiadła na brzegu łóżka i gestem zaprosiła Penny, żeby zajęła miejsce obok niej.

- Wszyscy cię tu kochali - zaczęła. - Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Zawsze mówili o tobie z czułym uśmiechem. To znaczy wszyscy, oprócz Bena.

- Czy Ben o mnie nie rozmawiał?

- Ben nigdy się nie uśmiechał. To chyba najsmutniejszy człowiek, jakiego znam. Nigdy się nie pogodził z tym, że cię utracił.

Penny poczuła, że mimo woli ściska jej się serce. Chelsea chwyciła ją za rękę.

- Ale wróciłaś.

- To niezupełnie tak. To znaczy... fizycznie wróciłam, ale nie jestem już tą samą osobą, którą wszyscy oplakują od dwóch lat. - Zamknęła oczy i zadała sobie pytanie, czemu nagle zrobiło jej się przykro, jakby nie mogła czegoś odzłować albo jakby chciała choćby na moment stać się tamtą kobietą, którą Ben tak bardzo kochał. A potem pomyślała, że to głupia zachcianka, bo przecież ten człowiek musiał maczać palce w jej zniknięciu. - Chciałabym zostać na chwilę sama.

- Oczywiście. - Chelsea ścisnęła ją za rękę. - Gdybyś później miała ochotę porozmawiać, jestem do twojej dyspozycji. Świetnie rozumiem, że chcesz być sama. Zapowiem, żeby cię nikt nie niepokoił.

Penny spojrzała na nią z wdzięcznością.

- Przyniosę ci jeszcze herbatę. Gdybyś czegoś potrzebowała, daj mi znać.

Kiedy Chelsea wyszła z pokoju, Penny znowu zbliżyła się do okna. Rozsunęła koronkowe firanki i raz jeszcze spojrzała na stojących na dworze mężczyzn. Wszyscy bracia Brandowie zgromadzili się wokół Bena. Była pewna, że rozmawiają o niej. Sama

nie wiedziała, co ją tak poruszyło. Może uderzył ją kontrast - taki wielki, postawny mężczyzna, a tak wrażliwy. Szczerze mu współczuła. Jeżeli to prawda, że kiedyś ją kochał... musi mu być teraz bardzo ciężko, gdy widzi, jak się zmieniała. Bo przecież nie jest już tą samą osobą, którą zapamiętał. A jeśli i ona go kochała...

Jak było naprawdę? Czy patrzyła na niego tak, jak Chelsea patrzy na Garretta? Czy sypiała wtulona w jego ramiona? Czy często się z nim kochała?

Poczuła dziwny skurcz żołądka. Ból głowy zaczął się nasilać. Jak to było, kochać się z tak wspaniałym mężczyzną? Czy byli sobie bardzo bliscy?

Ben miał długie włosy koloru dojrzałej pszenicy, a oczy błękitne i przepastne jak morska toń. I takie smutne...

Musiała się odwrócić, bo patrzenie na niego sprawiało jej ból. Jak mogła zapomnieć? Przecież kogoś tak urodziwego raczej się nie zapomina.

Opadła na łóżko z głębokim westchnieniem i leżała przez dłuższą chwilę, czekając, aż minie bolesne pulsowanie w skroniach.

Ktoś zapukał cicho do drzwi. Odwróciła się przekonana, że to Chelsea z tacą. Tymczasem na progu stała Ollie, i to niewiarygodnie czysta! Sierść miała teraz białą, z brązową łatą na grzbiecie, której Penny przedtem nie zauważyła. Podniosła się, a Ollie rzuciła się w jej stronę. Przykucnęła i chwyciła mokrego psa w objęcia. Kiedy zaczął ją lizać po twarzy, od progu rozległ się głośny śmiech. To Ben. Był szczerze rozbawiony, ale zaraz podszedł i wziął z jej rąk psa.

- Nie powinnaś jej nosić. Jest dla ciebie za ciężka.

- Nie bądź głupi. - Penny odebrała mu Ollie i mocno ją przytuliła. - Wyglądasz jak nowo narodzona - powiedziała, a Ollie znowu ją polizała.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Jessi pomyślała, że kąpiel dobrze zrobi twojej pupilce. A Bubba strasznie chciał pomagać. Kiedy ich wreszcie znalazłem, byli przemoczeni do suchej nitki.

- Wszystko w porządku. I tak miałam ją wykapać.

- Przy okazji kąpieli Jessi odkryła jeszcze coś. - Ben wszedł do pokoju i zrobił gest, jakby chciał zamknąć za sobą drzwi, ale potem się rozmyślił.

- To znaczy, co?

- Nie trzymaj jej, Penny, proszę cię. Doprowadzasz mnie do rozpacz.

Niechętnie postawiła psa na podłodze. Ollie zdawała się nie mieć nic przeciwko temu. Natychmiast zaczęła obwąchiwać dywan, sapiąc przy tym jak stary odkurzacz.

- No, dobrze. - Nie podobało jej się to, że Ben traktuje ją jak kalekę. - Co takiego Jessi odkryła?

- Twoja suka jest szczenna.

- Co? Ollie będzie miała małe?

- O ile pamiętasz, moja siostra jest weterynarzem. Suka już teraz waży jakieś dwadzieścia pięć kilo, a za kilka tygodni będzie jeszcze cięższa.

Penny przyklęła tak, by jej oczy znalazły się na poziomie oczu psa.

- Coś podobnego! Spójrz tylko na nią. Raczej nie wygląda na kwitnącą przyszlą mamę. - Ollie przekrzywiła łebek, jakby uważnie słuchała jej słów. - Ollie, będziesz miała małe! Będziesz mamą!

Ben chrząknął wymownie. Trudno było Penny uwierzyć, że próbuje walczyć o jej względy z psem, ale takie właśnie odniosła wrażenie. Wstała i zatarła ręce.

- Całkiem niezły pies.

- Jessi też tak uważa. Mówi, że to czystej krwi buldog angielski. Skąd ją masz?

Ollie zaszczekała, jakby chciała okazać zadowolenie, że ktoś wreszcie docenił jej wartość. Penny uśmiechnęła się do swojej pupilki.

- Znalazłam ją przed knajpą w El Paso. Właściciel próbował ją kopnąć, więc mu zagroziłam, że ja go kopnę. No i od tej pory Ollie i ja jesteśmy razem.

Ben spojrział z niedowierzaniem.

- Groziłaś dorosłemu mężczyźnie, że go kopniesz?

- To było coś więcej niż groźba. Jeszcze chwila, a byłabym to zrobiła. Ten typ mówił, że pies przychodził tam od kilku tygodni, a ponieważ nie miał obroży, uznałam, że jest równie samotny jak ja.

Ben zachnął się, a Penny pożałowała bezmyślnie wypowiedzianych słów.

- Przykro mi, że kiedykolwiek byłaś samotna. Gdybym wiedział że żyjesz, żadna siła pod słońcem nie powstrzymałaby mnie od przyjazdu po ciebie. Uwierz mi, Penny.

Powiedział to z taką mocą, że nagle zabrakło jej tchu. Czy mogła to być prawda?

Nie wiedziała, jak zareagować.

Ben także sprawiał wrażenie, jakby zaskoczyły go jego własne słowa - jakby wyrwały mu się wbrew woli. Odwrócił wzrok.

- Myślałem, że chciałaś się położyć?

- Poleżałam chwilę i już mi lepiej.

- Mimo wszystko...

- Wezmę teraz prysznic, a potem... potem chciałabym obejrzeć ranczo, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł.

- Czemu nie? Jest piękna pogoda, a ja... ja chcę obejrzeć miejsce, które powinnam tak dobrze znać. Jestem bardzo ciekawa.

- Powinnaś odpocząć.

- Po śmierci sobie odpocznę - odparła, a potem umilkła, bo twarz Bena zrobiła się kredowobiała. Wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. Bez namysłu podbiegła, jedną ręką chwyciła go za ramię, a drugą złapała za szyję.

- Nic ci nie jest? Czy powiedziałam coś nie tak?

- Nie... - odparł ledwo słyszalnym szeptem. Spojrzał jej w oczy.

Wciąż go podtrzymywała, czuła jednak, że pragnął czegoś więcej.

Chciał wziąć ją w ramiona. Chciał ją całować. - Jeżeli jesteś pewna, że dobrze się czujesz, przejdziemy się po ranczo dziś popołudniu.

- To świetnie. Nie wiem tylko, czy ty jesteś w odpowiedniej formie? - zapytała.

Ben spojrzał na nią z góry.

- Ja? Oczywiście, że tak! Ale... gdybyś się nagle źle poczuła. .. albo coś w tym rodzaju. Powiesz mi, prawda?

- A niby czemu miałabym się źle poczuć?

Patrzył na nią uważnie przez chwilę, a potem skinął głową.

- Dobrze już - powiedział. - W porządku.

- No to teraz chciałabym się wykapać. Spojrzał w stronę łazienki.

- Napełnię ci wannę...

- Jezus Maria, Ben! Czy ja byłam przedtem kompletną kaleką, czy co?

- Przecież ja tylko... - Urwał, nie mogąc znaleźć stosownych słów. - Przepraszam, lepiej już sobie pójdę. - W progu jeszcze raz się odwrócił. - Jessi twierdzi, że buldogi mogą mieć w ciąży komplikacje. To znaczy na razie nie ma najmniejszego powodu do obaw, ale kiedy się poczujesz lepiej, powinniśmy ją zawieźć do kliniki na badanie.

- Kiedy się poczuję lepiej? - powtórzyła.

- No tak. - Ben wzruszył ramionami.

- Dobrze, na pewno to zrobię.

Skinął głową i wyszedł. Penny położyła się na łóżku. Z bolącą głową i oczyma pełnymi łez rozpaczliwie usiłowała sobie

przypomnieć przeszłość, którą utraciła. Dlaczego jej mąż uważał, że nie będzie miała dość sił, by pojechać do miasta i zawieźć psa do weterynarza? Czemu był taki zaszokowany, kiedy mu powiedziała, że chciałyby obejrzeć ranczo?

Musi z nim poważnie porozmawiać i wyciągnąć z niego całą prawdę. A tak właściwie, czemu jeszcze tego nie zrobiła?

Szczerze mówiąc, doskonale wiedziała, dlaczego. Instynktownie przeczuwała, że może usłyszeć coś, czego wolałyby nie wiedzieć.

Ollie oparła się przednimi łapami o brzeg łóżka i tak długo szczekała, aż Penny wciągnęła ją na materac. Pies skulił się obok niej i już po chwili usłyszała donośne chrapanie.

- Damy tak nie chrapią - mruknęła Penny i pogładziła mokry bok Ollie.

Suczka zamruczała przez sen i zwinęła się w kłębek. Penny tymczasem sięgnęła po notes i ołówek i zaczęła sporządzać listę nowych krewnych. Przy każdym imieniu wypisywała powody, dla których tak trudno uwierzyć w udział danego członka rodziny w spisku mającym na celu pozbycie się jej osoby.

Strażnik wciąż świdrował wzrokiem doktora Barlowa, co wcale mu się nie podobało.

- Więc jak się pan nazywa?

- Jenkins - skłamał Barlow. - Niech mnie pan posłucha. Wiem, że moja żona tu była. Jeżeli jest pan poinformowany, gdzie jej szukać, niech mi pan powie. Bardzo pana proszę. Ona jest poważnie chora i...

- Według mnie, wcale nie wyglądała na chorą. Barlow zmrużył oczy.

- Więc jednak pan ją widział?

Strażnik skinął głową, zaciskając wargi, co miało pewnie oznaczać, że swoje już powiedział.

- Owszem, widziałem tę kobietę z fotografii – stwierdził obojętnie. - Nie mam pojęcia, co to za jedna i gdzie się teraz podziewa.

- Gdzie ją pan widział?

- W samochodzie.

- W jakim kierunku jechała?

- Nie jechała, tylko siedziała. - Strażnik sięgnął po ołówek i niecierpliwie zabębnił w biurko. - Chce pan zgłosić zaginięcie? Trzeba wypełnić formularz. Okaże pan jakiś dowód tożsamości, a potem poda mi jej imię i nazwisko i...

- Nie, nie. To chyba nie będzie konieczne. - Barlow nie miał najmniejszego zamiaru okazywać dokumentów, a tym bardziej podawać prawdziwego nazwiska Penny. Na wypadek gdyby ona jeszcze nie zdążyła odkryć swojej tożsamości, im mniej ludzi zna jej nazwisko, tym lepiej. Na myśl o tym, gdzie będzie musiał jej teraz szukać, poczuł przykry skurcz żołądka.

- Mam propozycję - odezwał się strażnik z życzliwym uśmiechem. - Proszę powiedzieć, gdzie się pan zatrzymał, a ja zadzwonię, gdyby się pokazała w miasteczku.

- Dziękuję uprzejmie - odparł Barlow, naśladowując rozlewny akcent strażnika - ale to raczej ja zadzwonię. Tak będzie prościej, bo ciągle jestem w drodze.

- Jak pan chce. - Strażnik po raz kolejny spojrzął na telefon na swoim biurku.

Wewnętrzny głos podpowiadał Barlowowi, że mężczyzna nie może się już doczekać jego wyjścia, bo chce jak najprędzej zatelefonować, i to z pewnością w jego sprawie. Najpewniej wydał mu się podejrzany, bo interesował się Penny Brand. Całe szczęście, że podał fałszywe nazwisko. Choć pewnie nie na wiele się to zda, bo Penny już i tak zostanie ostrzeżona. I będzie miała dość czasu, żeby się przed nim ukryć.

Ben wyszedł na dwór, żeby pomóc braciom przy porannych obrządkach. Tego dnia każdy z czymś nie nadażał. Kiedy wrócił po kilku godzinach, nie zastał Penny na dole. Tylko w kuchni leżała porzucona poranna gazeta i stało kilka brudnych kubków po kawie. Szybko posprzątał ze stołu, mruczając coś pod nosem i potrząsając głową. Penny nie znosiła bałaganu. Była pedantką.

Wreszcie pojawiła się Chelsea, zwabiona brzękiem naczyń.

- Jak się czujesz, Ben? Wzruszył ramionami.

- Gdzie Penny? - zapytał.

- Na górze, w pokoju Jessi.

- Wiedziałem. - Ben od razu się zdenerwował. - Widocznie wcale nie czuła się tak dobrze, ale nie chciała nas niepokoić. Jeżeli

ciągle jeszcze jest w łóżku, to pewnie... - Nie dokończył, tylko trzasnął drzwiami zmywarki i rzucił się do drzwi.

- Nie sędzę, żeby ona nadal leżała w łóżku. A poza tym, może chce pobyć sama przez jakiś czas.

Zachnął się, jakby dostał w twarz.

- Miała całe dwa lata, żeby być sama... - Urwał i zacisnął wargi.

- Przepraszam cię, Chelsea.

- Widzę, że jesteś bardzo przygnębiony. To całkiem zrozumiałe.

- Dużo o tym myślałem. Nie pozostaje mi nic innego, jak okazać maksymalną cierpliwość. Jeśli pobędzie tu dłużej, na pewno sobie wszystko przypomni.

Chelsea spojrzała mu w oczy.

- A jeśli nie? - zapytała z westchnieniem.

- Wiem, że tak.

Chelsea sięgnęła po kubek i naląła sobie kawy. Dolała świeżej śmietanki i postawiła kubek na stole.

- Zostań ze mną, Ben. Daj jej jeszcze trochę czasu. Muszę z tobą porozmawiać.

Nie chciał zostawać. Nie podobało mu się jej spojrzenie. Miał wrażenie, że zamierza pozbawić go złudzeń. W końcu usiadł, ale tylko dlatego, że nie wiedział, co ma powiedzieć Penny, kiedy pójdzie do niej na górę. Może zdoła coś wymyślić w ciągu tych kilku minut. Nie chciał z nią rozmawiać o jej chorobie. Jeszcze nie. Wolał udawać, że ten problem nie istnieje. Zresztą, nie będzie to wcale trudne. Penny

wygląda jak okaz zdrowia. To dobrze, ale nie wolno mu wiązać z tym złudnych nadziei.

- Co mi się tak przyglądasz, jakbyś była łowcą głów? - zwrócił się do Chelsea, która powoli popijała kawę, nie spuszczając z niego wzroku. Byli w domu sami. Przez kuchenne okno Ben widział Wesa, który właśnie wyruszał konno na objazd rancza. Przed sobą, w siodle, posadził małego Bubbę. Za nimi jechała Taylor, a jej długie, czarne włosy powiewały na wietrze. Reszta rodziny także rozeszła się do swoich zajęć.

- Wiesz, że chodzi mi tylko o twoje dobro - zaczęła Chelsea. - Mam też nadzieję, że Penny odzyska pamięć. Musisz jednak wziąć pod uwagę również i taką możliwość, że do tego nie dojdzie.

Spuścił wzrok i zapatrzył się w kremową barwę kawy. Chelsea zawsze podawała znakomitą kawę ze śmietanką.

- Tak naprawdę nie wiemy, co spowodowało amnezję - mówiła dalej Chelsea. - I nie będziemy wiedzieli, dopóki lekarz nie zbada Penny albo póki nie zapoznamy się z historią jej choroby. Nawet wtedy nie sposób określić, czy wróci jej pamięć. Prawdopodobnie trzeba będzie po prostu poczekać.

- Zobaczysz, że ona sobie wszystko przypomni - upierał się Ben.

- Może i tak. - Chelsea ujęła go za rękę, którymi rozpaczliwie ścisnął swój kubek. - Gdyby jednak tak się nie stało, musisz być gotowy na to, by zaakceptować taki stan rzeczy. Na początek spróbuj się dowiedzieć, kim ona jest teraz, zamiast oczekiwać, że będzie taka sama jak dawniej.

Ben odstawił kawę i odchylił się w krzesło.

- Kim ona jest? - zapytał cicho. - To kobieta, która mnie nie zna, a gdyby nawet mnie znała, wcale nie wiem, czy by mnie lubiła. A kim była? Kobieta, która mnie kochała. Gdybyś to ty była w mojej skórze, Chelsea, jakiej Penny szukałabyś w głębi tych ciemnych oczu, co?

- To nie ma znaczenia, którą z nich wolałbyś odnaleźć. Przecież ona nie potrafi być osobą, której nie pamięta. Choćbyś nie wiem jak bardzo tego chciał.

- Ona sobie przypomni - powiedział, wstając. Chelsea westchnęła i także wstała.

- Mam nadzieję - przytaknęła, ale bez przekonania. - A tak przy okazji, mamy z Penny podobny wzrost i figurę. Odłożyłam dla niej trochę ubrań. Są w moim pokoju, w koszyku.

Ben poczuł wyrzuty sumienia, że tak ostro potraktował Chelsea. Przecież ta kobieta to uosobienie słodczy, a w jej sercu jest dość miłości, by obdarzyć nią nie tylko wszystkich Brandów, ale i każde boże stworzenie na tej ziemi.

- To miło z twojej strony, dzięki.

- Drobiazg. - Chelsea uśmiechnęła się. - W różowym pokoju są jeszcze jakieś ubrania Jessi, ale podejrzewam, że mogłaby się w nich utopić. My, małe kobietki, musimy się trzymać razem. - Mrugnęła znacząco.

Ben przeciął salon i poszedł na górę. Po drodze wstąpił do pokoju Garretta i Chelsea, który był kiedyś sypialnią jego rodziców. Koszyk stał tuż przy drzwiach. Leżały w nim starannie poskładane

spodnie, bluzki i różne inne rzeczy. Wziął kosz i poszedł długim korytarzem aż do końca. Pokój sąsiadujący z jego pokojem należał kiedyś do jego małej siostrzyczki. Teraz miała w nim mieszkać jego żona. Zza zamkniętych drzwi dobiegały dźwięki muzyki. Chyba radio. Coś, żeby wypełnić ciszę. Sam dobrze znał tę potrzebę zagłuszenia uczucia samotności. Towarzyszyło mu od czasu wypadku Penny. Zapukał cicho do drzwi.

- Proszę - usłyszał głos Penny.

Otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Tuż za progiem stanął jak wryty. Muzyka była przeraźliwie głośna i rytmiczna, a słowa dość nieprzyzwoite - to znaczy, kiedy je rozumiał, bo udawało mu się wyłowić tylko niektóre. Przez otwarte drzwi do łazienki widział stos mokrych ręczników i kałużę na podłodze. Ubranie Penny leżało bezładnie rzucone na krześle. Na stoliku przy łóżku stała pusta filiżanka po herbacie. A kapa na łóżku była tak zmięta, jakby przed chwilą rozegrano na niej zapasy.

Penny miała na sobie stary szlafrok Jessi. Przykucnęła na piętach, w rękach trzymała budzik i ciągnęła go z całej siły. Z budzika wystawał sznurek i Ben podszedł bliżej, żeby zobaczyć, co było na jego drugim końcu, choć właściwie nie musiał nawet zgadywać.

To ten nieszczęsny buldog trzymał linkę w zębach i szarpał nią, głośno warcząc.

Ben uznał, że dość tego dobrego!

Postawił koszyk na łóżku, a potem sięgnął, żeby zgasić radio. Zapadła błoga cisza.

- Nie potrzebujesz pomocy? - zapytał. - Ten twój pies zaraz ci odgryzie rękę.

- Ollie nie zrobi mi krzywdy. Ona tylko nie chce oddać tego budzika i obawiam się, że już go popsowała. - Pociągnęła za sznurek. Ollie szarpnęła jeszcze mocniej.

Czuł, że musi natychmiast podnieść Penny z podłogi, zanim ona zrobi sobie jakąś krzywdę, ale nie śmiał. Wiedział już, że bardzo by ją to zirytowało. Teraz. Bo dawniej, podczas choroby, lubiła, kiedy się nią zajmował.

- Spróbuj odstawić budzik - powiedział.

Penny przestała szarpać za sznurek, odwróciła się i spojrzała na niego, marszcząc czoło. Miękkie, ciemne kędziory opadły jej przy tym na oczy. Rozpaczliwie zapragnął ją pocałować, ale także się nie odważył.

Penny skinęła głową.

- Może warto spróbować. Masz, Ollie; poddaję się. - Postawiła zegarek na podłodze.

Suczka natychmiast puściła sznurek i usiadła, patrząc z ukosa na Penny, jakby się nie mogła nadziwić, czemu jej pani zrezygnowała.

Penny znowu sięgnęła po budzik. Ollie chwyciła sznurek i zaczęła nim szarpać, warcząc głucho.

- Przecież to zabawa - odezwał się Ben. - Ona chce się z tobą bawić.

Kiedy Penny raz jeszcze odstawiła budzik, Ollie, wyraźnie rozczarowana; puściła sznurek.

- To najbardziej zwariowany pies, jakiego znam - stwierdziła Penny.

- Raczej jedyny, jakiego kiedykolwiek miałaś - poprawił ją Ben. Penny odwróciła się i spojrzała na niego, unosząc brwi. - Wolałaś koty - dodał. - Tolerowałaś starego Blue, ale mówiłaś, że to tylko dlatego, że żyje na tym świecie dłużej niż ty.

- Naprawdę? - zainteresowała się Penny. - Kiedy ją znalazłam, wydało mi się, że zawsze chciałam mieć psa.

Miała rację. Odmówiła, kiedy zaproponował, że podaruje jej szczeniaka. Już wtedy wiedziała, że musi umrzeć, i nie chciała zwierzątka, które przywiązałoby się do niej albo od niej uzależniło. Dlatego zadowolila się na wpeł oswojonymi kotami, które kręciły się przy niej przez miesiąc czy dwa, a potem „wybierały wolność”.

- Co było, minęło - ciągnęła - teraz wolę psa.

- Rozumiem. - Pomyślał, że kiedy Penny się dowie... gdy powie jej, może zmieni zdanie w sprawie tego paskudnego psa. Ale potem Penny spojrzała na Ollie, a w jej oczach pojawiło się tyle szczerego uczucia, że aż zapiekło go pod powiekami.

Wstała i odwróciła się, żeby się przejrzeć w lustrze.

- Jestem inna, prawda? - zapytała.

Spojrzał na mokre ręczniki i kałużę na podłodze w łazience. Kiedyś nie znosiła takiej niedbałości. Jak widać, to się zmieniło. Podobnie jak jej gusta muzyczne. Dawniej lubiła muzykę country, cichą i spokojną.

Kiedyś mnie kochała, pomyślał. A potem szybko odpędził natrętne wspomnienia. Po co się dręczyć rozpamiętywaniem przeszłości.

- Jak na razie przebywaliśmy ze sobą zbyt krótko, żebym mógł ci odpowiedzieć na to pytanie. Może rzeczywiście trochę się zmieniłaś.

- Nie trochę, tylko bardzo. - Odwróciła się do niego i oparła plecami o lustro. - To musi być dla ciebie przykre, prawda?

- Najważniejsze, że żyjesz, Penny. Jak mógłbym uważać, że to przykre?

- Skoro tak, to czemu masz taką grobową minę? Co się dzieje, Ben? Czy coś jest nie tak?

Owszem, to, że stoję przed moją żoną i rozmawiam z nią jak z obcym człowiekiem, pomyślał.

- Nic, nic - odparł. - Przyniosłem ci trochę ubrań. - Skinął w stronę koszyka. - Chelsea przejrzała swoje szafy. - Wsunął ręce do kieszeni, bo zaczęło go kusić, żeby dotknąć Penny.

- To miło z jej strony. - Penny podeszła do łóżka i wybrała kilka ciuszków z kosza. - Jessi mówiła, że mogę nosić jej rzeczy, ale wszystko jest na mnie o wiele za duże.

- Jessi jest znacznie wyższa od ciebie, moja mała. Przecież zawsze nosiłaś szóstkę.

Spojrzała na niego, a w jej oczach błysnęło zdumienie.

- To dziwne, że tyle o mnie wiesz.

- Kiedyś wiedziałem. Teraz dziwi mnie co innego: jak mało, w gruncie rzeczy, o tobie wiem.

Odwróciła się i usiadła na brzegu łóżka.

- Musi ci być bardzo ciężko. Podeszedł bliżej i wziął ją za rękę.

- Przedtem było mi znacznie ciężiej, więc jakoś sobie poradzę.

Zdaję też sobie sprawę, że tobie jest jeszcze gorzej.

- Tego nie wiem. - Ben spodziewał się, że będzie chciała uwolnić rękę z jego uścisku, jednak tego nie zrobiła, tylko zaczęła się uważnie przyglądać ich złączonym dłoniom. - Przyjeżdżając tu, niczego nie oczekiwałam. A tymczasem serdeczność twojej rodziny jest nadzwyczajna. Ja za to musiałam sprawić wam wszystkim wielki zawód. - Zwiesiła głowę. - Może powinnam trzymać się od was z daleka.

Ben przysunął się bliżej, ujął w dłonie jej twarz i uniósł ku sobie. Tak bardzo chciał ją pocałować. Słodki smak jej ust śnił mu się po nocach. Wiedział jednak, że nie wolno mu tego zrobić. Nie teraz... Jeszcze nie... Opuścił rękę.

- Nie mów tak. Twoje miejsce jest tutaj. Przecież to twój dom, a my wszyscy jesteśmy twoją rodziną.

- Może kiedyś tak było - powiedziała, rozglądając się wokoło. - Teraz... nie wiem. - Spojrzała mu w oczy. - Ben... czy oni wszyscy zawsze mnie tak lubili, jak mi to teraz dają odczuć?

- Nie jestem pewny, czy dobrze cię zrozumiałem. Odwróciła wzrok, a jemu wydało się, że coś przed nim ukrywa. Może tylko nie mówiła wszystkiego, co myśli.

- Chodzi mi o to, że nie byłam przecież ideałem. Nikt nim nie jest. Wszyscy są dla mnie wyjątkowo mili, ale zastanawiałam się, czy... czy z nikim nie popadłam w jakiś konflikt?

Ben zmarszczył brwi. Zachowywała się zupełnie jak wtedy, gdy miała szesnaście lat, podczas tych swoich detektywistycznych eskapad. Odniósł wrażenie, że usiłuje przycisnąć go do muru, żeby wyciągnąć z niego jakieś zeznania na poparcie swoich teorii spiskowych.

Dotknął jej policzka, zaledwie czubkiem palców, i odwrócił ku sobie jej twarz, tak by móc znowu spojrzeć w jej oczy. Jednak półprzymknięte powieki nie pozwoliły mu dostrzec, co się w tych oczach kryje.

- Nigdy nie miałaś żadnych zatargów z mieszkańcami tego domu. No, chyba że z Wesem, kiedy zostawiał podniesioną deskę w toalecie, albo z Jessi, gdy wzięła twoją ulubioną szminkę. Wszyscy kochali cię tak samo jak ja... - Ben przygryzł wargi i odwrócił wzrok.
- Oni cię kochają, Penny.

- Kochali mnie - powiedziała cicho, a kiedy na niego spojrzała, dostrzegł w jej wzroku coś jakby tęsknotę. Poczuł, że ściska mu się serce.

- Dajmy sobie wszyscy trochę czasu. Poczujesz się znacznie lepiej, kiedy zaczniesz odzyskiwać pamięć. Jestem pewny, że tak będzie.

- Może... Mam tylko nadzieję, że nie zmienię się z powrotem w jakąś ofiarę losu.

- Skąd ten pomysł? - zapytał pospiesznie. Czyżby wymknęło mu się jakieś nieopatrzne słowo?

Penny wzruszyła ramionami.

- Bo wszyscy tak koło mnie skaczą, jakbym była niedołączna - odparła. - Zwłaszcza ty, Ben. Dlaczego?

- Zawsze lubiłem się troszczyć o ciebie. Dawniej ci to nie przeszkadzało - dodał.

Na jej czole ukazały się zmarszczki, a on zaczął się zastanawiać, czy znowu powiedział coś niestosownego.

- No więc, kiedy pójdziemy na spacer? - zapytała. Pomyślał, że pewnie chce zmienić temat.

- Po lunchu, jeżeli...

- Jeżeli będę się czuła dobrze, tak?

Musi się pilnować, żeby tak do niej nie mówić, bo za każdym razem sprawiała wrażenie lekko urażonej.

- Po lunchu, jeżeli możesz jeszcze trochę zaczekać.

- To zależy. O której jest lunch?

- Jak tylko się ubierzesz i zejdziesz na dół.

Spojrzała na podłogę. Ollie czekała cierpliwie obok poszarpanego sznurka, patrząc wyczekująco na nich oboje. Widocznie miała ochotę na dalszą zabawę.

- Czy Ollie też może pójść z nami?

- Nie wiesz, jak ona reaguje na bydło? - zapytał.

- Nie mam pojęcia. - Penny wzruszyła ramionami.

To śmieszne... Czemu tak przerażała ją myśl, że choć na chwilę znajdzie się z daleka od tego cudacznego psa. Mógł to wyczytać w jej oczach. Jak to się stało, że tak bardzo się przywiązała do tego zwierzęcia?

Może dlatego, że nie miała nikogo innego.

- Możemy wziąć ją na smycz.

- W porządku. - Penny pokiwała głową.

Postał jeszcze przez chwilę, bo nie mógł zdobyć się na to, żeby wyjść. Chciał ją objąć, przytulić, pocałować, powiedzieć, jak się cieszy z jej powrotu... Chciał po prostu jak najlepiej wykorzystać ten czas, który im jeszcze pozostał.

A poza tym, miał tyle pytań... Pytań, które pozostawały bez odpowiedzi. Jeszcze nie czas, żeby je zadać. Penny nie potrafi mu jeszcze na nie odpowiedzieć.

Na moment zatrzymała spojrzenie na jego ustach. Czy to możliwe, że pragnęła w tej chwili tego samego co on? Nagle zrobiło mu się gorąco. Ostatkiem woli zmusił się, by wyjść z pokoju.

Słumione szczeknięcie sprawiło, że się odwrócił. Ollie siedziała u jego stóp. W pysku trzymała budzik. Nachylił się i udał, że chce jej go wyrwać, a ona natychmiast zaczęła warczeć i potrząsać łbem - ewidentne zaproszenie do zabawy. Ben roześmiał się.

- Ten twój pies jest sto razy bardziej zabawny niż całe stado kotów - powiedział.

- Cieszę się, że to mówisz. Zwłaszcza że Ollie ma się wkrótce rozmnożyć.

Ben spojrział na Penny, unosząc brwi, a potem z westchnieniem opuścił wzrok na psa.

- Chyba trzeba kupić więcej budzików.

RS

ROZDZIAŁ 6

Ben najpierw oprowadził Penny po domu, a gdy wyszli na dwór, pokazał jej stajnię i stodołę, a także rozległą łąkę, na której pasły się konie. Rancho zwiedzała z zachwytem. Było tu tak pięknie. Gdyby nie ten ćmiący ból głowy...

Kiedy już oprowadził ją po całym obejściu, wrócili na ganek. Ben usadowił Penny na huśtawce. Sam również usiadł.

- Tego też nie pamiętasz? - zapytał.

Pytanie to powtarzał już chyba po raz dziesiąty i powoli zaczynało jej to działać na nerwy.

- Nie! - odparła, jak za każdym razem. Dobrze wiedziała, co teraz nastąpi. Ben będzie jej tłumaczył, dlaczego powinna zapamiętać to miejsce. Ten mężczyzna zachowywał się denerwująco. Z drugiej strony, czy mogła mieć do niego pretensję o to, że żywił nadzieję?

- Przesiadaliśmy tu po powrocie ze spacerów. Całymi godzinami huśtaliśmy się, układając plany na przyszłość. Trochę się też całowaliśmy, póki Garrett nas nie podpatrzył i nie zapalił światła.

Spojrzał na nią, jakby oczekiwał, że pstryknie palcami i powie: „Ach, rzeczywiście! Doskonale pamiętam!” Poczula się podle - jak ktoś, kto mówi dziecku, że Święty Mikołaj nie istnieje. Nie chciała wciąż od nowa ranić tego jasnowłosego kowboja.

Chociaż gdy po raz pierwszy zobaczyła tę huśtawkę, coś jakby drgnęło w jej pamięci. Czy to mogło być wspomnienie... czy może tylko gra wyobraźni? Tego nie wiedziała. Bo i skąd miałyby

wiedzieć? Spojrzała Benowi w oczy i pomyślała, że byłoby z jej strony okrucieństwem stwarzać mu fałszywe nadzieje.

- Przykro mi, ale nie pamiętam - powiedziała z westchnieniem.

- Nie szkodzi - odparł z oczyma pełnymi bólu. - Z czasem sobie przypomnisz. - Mówił tak za każdym razem.

Powoli zaczynała wątpić w jego udział w spisku mającym na celu pozbycie się jej osoby. Sprawiał raczej wrażenie, jakby sam też był jego ofiarą.

Ollie położyła się obok huśtawki, nie spuszczać oka ze swojej pani. Wreszcie Ben wstał.

- Każę osiodłać konie. Ty możesz tu poczekać.

- Dobrze. - Patrząc w ślad za nim, pomyślała, że nie jest pewna, czy ma dość sił, żeby odpowiadać na kolejne pytania w rodzaju „A pamiętasz...”? Może jednak musiał się przekonać, że ona naprawdę nic nie pamięta i nic sobie nie przypomni. Wciągnęła Ollie na huśtawkę i pogłaskała.

Po chwili Ben wyszedł ze stajni, prowadząc dwa identyczne konie. Przed gankiem zatrzymał się i wyciągnął rękę zapraszającym gestem.

- Nie jestem pewna, czy tego chcę - powiedziała Penny. - Po pierwsze, nie mam pojęcia o jeździe konnej.

Ben w pierwszej chwili osłupiał, a potem ze smutkiem rzekł:

- Jesteś najlepszym jeźdźcem, jakiego znam. - Odwrócił się z westchnieniem i pogłaskał klacz po pysku. - To Agata. Sama

wybrałaś jej imię. Byłaś przy jej narodzinach i od razu uznałaś ją za swoją własność.

Penny zamrugła ze zdumienia, zeszła po schodkach i stanęła przed klaczą. Spojrzała w olbrzymie, ciemnobrązowe oczy zwierzęcia i zanurzyła palce w gęstej, niemal czarnej grzywie.

- Czy to na cześć Agaty Christie? - zapytała.

- Więc jednak pamiętasz? - Ben aż się zająknął z wrażenia.

- Nie, nie. - Szybko odwróciła wzrok. - Tak tylko przypuszczałam - dodała, a kiedy opuścił głowę, wiedziona impulsem dotknęła jego policzka. - Przepraszam... nie chciałam, żebyś sobie pomyślał, że...

- Nie przepraszaj. - Ujął ją za rękę i pocałował.

Dotyk jego ust sprawił, że nagle zabrakło jej tchu. Westchnęła. Ben puścił jej rękę. To dziwne, ale tym razem wcale tego nie chciała. Pomyślała, że powinna stąd wyjechać, zanim bezpowrotnie złamie temu człowiekowi serce.

Obeszła klacz i stanęła przy jej boku, chwytając za łęk siodła. Ben pomógł jej dosiąść konia, wsunął jej stopy w strzemiona i podał cugle. Jak dotąd, niczego nie mogła sobie przypomnieć, a jednak, siedząc w siodle, wcale nie czuła się nieswojo. Tylko ból głowy wciąż się nasilał.

- To bliźniaki, wiesz? - powiedział Ben, wskazując wzrokiem na konie. - Mój to Brutus.

- Mają równie okropne imiona jak Ollie - zauważyła, chcąc wprowadzić lżejszy ton do ich rozmowy. - Ach, byłabym o niej zapomniała! - Sięgnęła do kieszeni po linkę, która zastępowała smycz.

Ben wziął z jej rąk linkę i z niepokojem spojrział na psa. Ollie zdawała się niczego nie zauważać. Stała na szczycie schodów i patrzyła na konie, nastawiwszy uszu.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby zabierać ją na przejażdżkę. Na tych swoich krzywych nogach nie wytrzyma dłużej niż dziesięć minut. Gotowa dostać ataku serca. Penny spojrzała na swoją tłuściutką pupilkę.

- Masz rację. Poza tym, skoro wkrótce ma zostać mamą, nie powinna się przemęczać.

- Chyba tak. Myślę, że Jessi też byłaby tego zdania. Zaprowadzę ją do domu. - Zawiązał cugle wokół drewnianego filara ganku i ruszył ku schodom. Gdy tylko wyciągnął ręce po psa, Ollie, jakby czytając w jego myślach, przemknęła mu między nogami i rzuciła się w stronę konia, na którym siedziała Penny.

Klacz się spłoszyła, co jeszcze bardziej podnieciło Ollie. Zaczęła obkakiwać Agatę, głośno ujadając, co miało stanowić zaproszenie do zabawy.

Nagle klacz odwróciła się.

- Nie! - krzyknęła Penny i szarpnęła za wodze. Koń stanął dęba, a potem opadł na przednie kopyta, omal nie miażdżąc nimi Ollie. Pies zaszczekał, przekonany, że to świetna zabawa, a wtedy nagle klacz

zarżała, zadarła ogon i popędziła przed siebie, unosząc Penny na grzbiecie.

Klacz pognała w stronę pastwiska, a Ollie rzuciła się za nią z głośnym ujadaniem. Ben w ostatniej chwili zdołał ją pochwycić. Przekazał psa Chelsea, która wybiegła na ganek, zwabiona hałasem. Sam wskoczył na siodło, spiął konia i pognał za Penny. Widział, jak niezdarnie trzyma się w siodle, jak twardo nań opada za każdym razem, kiedy kopyta Agaty dotykają ziemi. Przechylała się to na jedną, to na drugą stronę, jakby nigdy w życiu nie jechała konno, a zwisające bezwładnie nogi uderzały o końskie boki, pobudzając klacz do jeszcze szybszego tempa.

Ben pochylił się nad grzbietem Brutusa, zmuszając go do galopu. Dystans między nim a Penny zaczął się zmniejszać, ale wciąż zbyt powoli. A niech to! Dwa lata temu Penny potrafiła ujeżdżać nawet dzikie rumaki, a teraz... ?

Zbliżały się do ogrodzenia. Klacz nawet nie zwolniła. Na pewno nie zdąży zatrzymać się w porę. Jeśli w ostatniej chwili będzie próbowała skrócić, Penny wyleci z siodła i skręci sobie kark. Serce podeszło mu do gardła. Chciał krzyknąć, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Miał wrażenie, że zaraz utraci Penny po raz drugi.

Nagle stało się coś dziwnego. W jednej sekundzie Penny wyprostowała się w siodle. Przestała przypominać wiotką, szmacianą lalkę. Jej nogi same trafiły w strzemiona, które ubodły koński bok. Klacz pędziła wprost na ogrodzenie. Pochylając się nad łękiem, Penny uniosła się w strzemionach, i jak para doskonale zgranych tancerzy

przefrunęły wraz z klaczą ponad przeszkodą, by bezpiecznie wylądować po drugiej stronie.

Ben skoczył za nimi, nie wierząc własnym oczom. Klacz wciąż biegła, ale już wolniej, a Penny, rozluźniona, poklepywała ją po spoconej szyi, szepcząc coś do ucha. Dogonił je w kilka sekund, ale wtedy Agata przeszła już w trucht, a w końcu zatrzymała się na środku łąki.

Ben ściągnął cugle, zeskoczył z konia i podbiegł do Penny. Wychyliła się w siodle, drżąc i blada, obejmując głowę rękami. Bez namysłu chwycił ją w pasie i zszedł z konia, ale nie postawił na ziemi, tylko trzymał na rękach jak dziecko, badając wzrokiem jej twarz.

Brwi miała ściągnięte i półprzymknięte oczy. Nie protestowała jednak, tylko położyła mu głowę na ramieniu.

- Nic ci się nie stało?

- Nie. - Przycisnęła palce do czoła. - O mój Boże, co za ból!

Głowa mi pęka!

- Dobrze już, dobrze, Penny. - Przytulił żonę mocniej i jedną ręką zaczął masować jej kark. Rytmicznie i delikatnie. - Już wszystko dobrze.

- Co za ulga.

- Chcesz, to cię jeszcze trochę pomasuję?

Zaniósł ją nad strumień, który kryształowo błękitną wstęgą przecinał łąkę, by potem płynąć dalej, przez rozległe tereny należące do Wesa. Usiadł na murawie i ułożył Penny tak, że wspierała się o

jego tors, po czym obiema rękami zaczął jej masować głowę. Koniuszki jego palców zakreślały delikatne kręgi na skroniach, a kciuki uciskały podstawę czaszki. Masował wolno i wytrwale, dziwiąc się, że nie próbowała protestować. Musiała bardzo cierpieć, skoro pozwalała mu się w ten sposób dotykać. Nie chciał, żeby tak cierpiała, a z drugiej strony, pragnął jak najdłużej trzymać ją ramionach.

- No i jak? Trochę lepiej?

- Trochę.

Nachylił się i zajrzał jej w twarz.

- Zamknij oczy - powiedział. - Rozluźnij mięśnie, bo zaczynasz przypominać twójgo psa.

- No, no!

- O, już lepiej. Przestałaś patrzeć spode łba. Zawsze miałaś zabójcze spojrzenie.

- Naprawdę?

Wzdrygnęła się, jakby chwycił ją nowy atak bólu.

- Nie mówmy już o tym. Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła. Musisz spróbować.

- Przecież nie przestaję próbować - zaprotestowała, a Ben poczuł, że mięśnie jej karku znowu stały się napięte. - Próbuję i próbuję, ale nie mogę sobie nic przypomnieć.

Westchnął cicho i potrząsnął głową.

- Właśnie to zrobiłaś, kochanie. Świadomie czy nie, ale przypomniałaś sobie, jak się jeździ konno. Bo gdybyś sobie tego nie

przypomniała, nie udałoby ci się wziąć tej przeszkody. W najlepszym wypadku skończyłoby się na paru złamaniach.

Penny powoli odetchnęła.

- Ja sobie tego nie przypomniałam. Chyba nie. Tylko robiłam to, co wydawało mi się najbardziej właściwe,

Ben tylko pokiwał głową. Wiedział swoje i w jego sercu nagle zrodziła się iskierka nadziei. Umiejętności jeździeckie ujawniły się pod wpływem silnego stresu. Może i z resztą przeszłości będzie podobnie? Kto wie? Może Penny odtworzy sobie wszystko, krok po kroku, niemal niepostrzeżenie? A wtedy on odzyska ją całą, choćby nawet na krótko.

- Nieważne, nie o to chodzi. Nie miałem zamiaru prosić cię, żebyś próbowała wrócić pamięcią do przeszłości. Chodziło mi o coś innego.

Spojrzała na niego z przerażeniem w oczach.

- Odpręż się i posłuchaj. - Delikatnie odwrócił jej głowę do poprzedniego położenia i znowu podjął masaż. - Powiedz mi, słyszysz strumyk?

Zmarszczyła brwi.

- Tak. To brzmi jak... cichy śmiech.

Nagle zapragnął ją pocałować, ale znowu musiał sobie odmówić tej przyjemności. Skoro Penny przypomniała sobie, jak się jeździ konno, jak się bierze przeszkodę i jak należy uspokoić konia, resztę także sobie przypomni. Musi jej tylko dać trochę czasu.

Natrętny wewnętrzny głos podpowiedział, że czasu zostało im bardzo mało, ale Ben go zignorował.

- Wsłuchaj się w szum strumienia - powiedział. - Nie myśl o niczym, tylko słuchaj.

Wciąż masował jej głowę, dotykając lekko, a jego zwinne palce błędziły wśród ciemnych loków. Oddech Penny zwolnił się i pogłębił. Poczul, że jej ciało się rozluźnia. Siedzieli tak przez dłuższą chwilę. Zaczął żałować, że sam nie może ukoić się w taki sposób, jak robił to z Penny. Jak mógł się odprężyć, trzymając ją w ramionach? Tak bardzo jej pragnął, ale wiedział, że musi się powstrzymać.

W końcu Penny zamrugła oczami i wyszeptała:

- To nie do wiary.

- Co takiego?

- Przeszedł mi ból głowy. - Wyprostowała się i spojrzała mu w twarz, a w jej ciemnych oczach malowało się zdumienie.

Wcale nie chciał, żeby usiadła. Wolał trzymać ją w objęciach.

- Cieszę się - powiedział wbrew sobie.

- Moje migreny trwają zazwyczaj znacznie dłużej. Pokiwał głową, ale się zaniepokoił. Bóle głowy nie należały do licznych dolegliwości, które ją dawniej trapiły.

- Kiedy zaczęły się te bóle, Penny? Zmarszczyła w skupieniu brwi.

- Tuż przed tym, nim opuściłam klinikę. Znacznie nasiliły się po moim przyjeździe do Teksasu. Pierwszego tak silnego ataku dostałam tej nocy, kiedy po raz pierwszy przejeżdżałam obok waszego rancza. -

Spojrzała mu w oczy i ciągnęła dalej - To chyba stres. Za wszelką cenę usiłowałam sobie coś przypomnieć, ale mi się nie udawało. Na moim miejscu każdego by rozboleła głowa.

- Może w tym tkwi przyczyna - przyznał. Wziął głęboki oddech i zaczął się modlić w duchu, żeby tym, co zamierzał teraz powiedzieć, nie przysporzyć jej nowego bólu. - Ale może i nie. Byłaś taka chora... Sama mówisz, że przeżyłaś w śpiączce dwa lata. Nie uważasz, że dobrze byłoby sprawdzić, czy te bóle głowy nie są objawem czegoś bardziej poważnego?

Odwróciła wzrok, przygryzając wargi. Otoczył dłońmi jej twarz.

- Nie zamierzam cię popędzać, Penny. Decyzję zostawiam tobie. Martwię się o ciebie.

Skinęła głową.

- Wiem. - Westchnęła głęboko, zapatrzyła się w niebo i zaczęła mówić cichym, jednostajnym tonem: - Miesiąc temu obudziłam się w szpitalnym łóżku. Pielęgniarka - na imię miała

Michele - wyglądała, jakby miała zemdleć z wrażenia, kiedy otworzyłam oczy i odezwałam się do niej. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi. Byłam zbyt przytłoczona i przerażona tym, że nie wiem, kim jestem ani skąd się tam wzięłam. Dopiero po kilku tygodniach dotarło do mnie, że... że coś jest nie tak.

- W jakim sensie? Fizycznym? Potrząsnęła głową.

- Nie. Fizycznie z dnia na dzień czułam się coraz lepiej i stawałam się coraz silniejsza. Mam na myśli ich zachowanie. - Mówiąc to, uważnie patrzyła mu w twarz. - Nie zrozum mnie źle.

Traktowali mnie tam jak księżniczkę, ale ciągle mi powtarzali, że nie mam nikogo - żadnej rodziny, przyjaciół czy znajomych. Więc nie warto spieszyć się z wyjazdem. A mnie się to nie podobało. Nabrałam przekonania, że próbują coś przede mną ukryć. Koniec końców zrobiłam się bardzo podejrzliwa.

Ben uśmiechnął się, bo w oczach Penny dostrzegł znajome błyski.

-Nancy Drew-mruknął.

- Co?

- Nic, nic. - Potrząsnął głową. - Mów dalej. Chcę wiedzieć o wszystkim.

Penny wyciągnęła się wygodniej na trawie i podjęła przerwana opowieść:

- W którymś momencie uświadomiłam sobie, że nigdy nie widziałam żadnego innego pacjenta w tej klinice. Doktor Barlow powiedział mi, że miałam wypadek, po którym przeleżałam w śpiączce dwa lata. Powiedział mi też, że jego klinika zajmuje się wyłącznie leczeniem pacjentów z tego samego rodzaju obrażeniami. Kiedy jednak poprosiłam, żeby mnie do nich zaprowadził, bo chciałabym z nimi porozmawiać, stał się... dziwny. To znaczy za wszelką cenę próbował mnie zniechęcić.

Ben pokiwał głową, próbując sobie wyobrazić, jak jego dawna Penny zareagowałaby na wymijające odpowiedzi lekarza. A tak w ogóle, co to za jakiś dziwny lekarz. Barlow, powtórzył w myślach, starając się zapamiętać jego nazwisko.

- I co w końcu zrobiłaś?

- Go noc dawali mi środki nasenne, Któregoś wieczora po prostu ich nie połknęłam. Po wyjściu pielęgniarki wypłułam pastylkę do umywalki, a potem czekałam, aż zrobi się zupełnie cicho. Wtedy wymknęłam się z pokoju i poszłam rozejrzeć się po klinice. - Usiadła i z niepokojem spojrzała mu w oczy. -Owszem, napotkałam innych pacjentów. W każdym pokoju, do którego zajrzałam. Ale wszyscy byli nieprzytomni, podłączeni do kroplówek i monitorów. Może w swoich przypuszczeniach posuwam się za daleko, Ben?

Omal się nie uśmiechnął. Oto ma ją znowu przy sobie, a ona mówi mu, że posuwa się w swoich przypuszczeniach za daleko. To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Dawniej często używała tego sformułowania.

- Mów, mów - zachęcił.

- Odniosłam wrażenie, że w tej klinice byłam jedyną pacjentką, która wyszła ze śpiączki.

Ben wyprostował się.

- Jesteś tego pewna?

- Nie. To znaczy nie udało mi się przeszukać całego szpitala. Na biurku pielęgniarki odkryłam papier firmowy z nagłówkiem „Hospicjum Barlowa”. - Zwilżyła wargi, przymknęła oczy i mówiła dalej: - Hospicjum to takie miejsce, gdzie idzie się po to, żeby umrzeć, a nie po to, żeby wyzdrowieć. Wtedy też przypomniałam sobie ich zdumienie, kiedy się ocknęłam. I to, że nazwali mnie Jane, że wmawiali mi, iż nie mają żadnych moich danych. Twierdzili, że tuż

po przyjęciu do kliniki, zanim zapadłam w śpiączkę, powiedziałam, jakobym nie miała żadnej bliskiej osoby. Nagle zrozumiałam, że nie wierzę w ani jedno ich słowo.

- Myślisz, że cię okłamywali?

- Działy się tam jakieś podejrzone rzeczy, tego jestem pewna. W jej oczach pojawił się strach. Ben zadrżał.

- Nie próbowałaś z nimi porozmawiać otwarcie?

- A ty byś tak zrobił? Jeśli się nie myliłam, to gdybym odkryła swoje karty, nigdy by mnie stamtąd nie wypuścili.

- Więc uciekłaś?

- Nie tak od razu. Najpierw udało mi się ich namówić, żeby mnie codziennie wypuszczali na spacer. Przy tej okazji dokładnie poznałam rozkład kliniki. Potem pozwalali mi już wychodzić na dziedziniec. A w końcu oddali mi moje własne ubranie, w którym trafiłam do kliniki. Kiedy pod podszewką znalazłam strzępek koperty z adresem, wiedziałam już, że mam dokąd wracać. To była moja jedyna nadzieja, iż wreszcie dowiem się prawdy.

Pogładził ją po głowie. I znowu nie zaprotestowała, więc ponowił delikatną pieśczętę.

- To musiało być bardzo trudne... Wypuściłaś się w tak daleką drogę, nie wiedząc nawet, co znajdziesz na końcu tej podróży.

Wzruszyła ramionami.

- Weszłam do pokoju Michele i ukradłam kartę kredytową oraz ten jej cudaczny kapelusz i ciemne okulary. Niestety, przyłapała mnie na gorącym uczynku...

- A niech to! - zaklął Ben.

Oczy Penny zaślniły. Zamilkł, bo rozpoznał to spojrzenie, którego nie widział już na długo przed tamtym wypadkiem i jej domniemaną śmiercią. Nie widział go, odkąd mieli po kilkanaście lat.

- Musiałam ją związać i zamknąć w komórce. To brzydko z mojej strony, ale nie miałam wyjścia.

Ben ze zdumieniem pokręcił głową.

- Może jednak ta dawna Penny nie do końca zniknęła - powiedział łagodnym tonem.

- Czemu tak sądzisz?

- Bo ta dawna Penny tak właśnie by postąpiła.

- Naprawdę?

Skinął głową, patrząc jej w twarz. Chciał ją zapytać, czy ta nowa Penny czuje coś do niego, ale się powstrzymał. Może dlatego, że bał się usłyszeć odpowiedź. Zamiast tego spytał:

- Więc odniosłaś wrażenie, że jesteś ich więźniem, tak?

- Sama nie wiem. Może. Nie zamierzałam czekać tak długo, aż się o tym przekonam.

- To dlatego tak się boisz lekarzy?

Skinęła głową.

- Oni zawsze trzymali się razem. Boję się, że jeśli pójdę teraz do lekarza, mogą mnie znowu odesłać do tej kliniki.

- O nie! - oburzył się Ben. - Myślisz, że bym na to pozwolił?

Popatrzyła na niego bez słowa.

- Gdyby ktoś chciał cię stąd zabrać, miałby ze mną do czynienia
- mówił dalej Ben - a za mną stoi jeszcze cała rodzina. Jesteś wśród nas bezpieczna. Nikt cię nie skrzywdzi, bo tu jest twój dom. - Ben poczuł, że wewnętrzny opór Penny słabnie. -A gdybym ci powiedział, że doktor, o którym myślę, był przy twoim urodzeniu? A także później, przy śmierci twojego taty i twojej mamy?

Penny nagle zamknęła oczy.

- Więc moi rodzice nie żyją - stwierdziła głucho. Ben jęknął i chwycił się za głowę.

- Wybacz mi. Nie chciałem mówić ci o tym w taki sposób, Penny. Myślałem tylko...

- Czy... czy to się stało, kiedy... kiedy mnie nie było? - wyszeptała.

Ben zamknął w rękach jej drobne dłonie.

- Nie, kochanie. Byłaś przy nich. Twój tato przez wiele lat dzielnie walczył z rakiem. Zmarł, gdy studiowałaś w college'u. Mama zmarła parę tygodni później, na atak serca. Wyglądało to tak, jakby nie potrafiła bez twego ojca żyć.

Po policzku Penny potoczyła się łza.

- Może tak właśnie było - szepnęła. Ben pokiwał głową.

- Kto jak kto, ale ja doskonale wiem, co przeżywała. Zatrzymała na moment spojrzenie na jego ustach. Ben nagle stracił rachubę czasu. Nachylił się i musnął ustami jej wargi. Ten przelotny pocałunek był zbyt krótki, zbyt delikatny, ale jej usta miały nadal ten sam słodki smak.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, a potem opuściła powieki i sama dotknęła wargami jego ust. Ben przygarnął ją i pocałował. Ten pocałunek trwał tak długo, póki nie zabrakło im tchu, dopóki Penny nie cofnęła się, przytykając palce do skroni.

- Penny?

- Trzeba już wracać-powiedziała, wstając.

Nie powinien tego robić. A niech to! Posuwał się do przodu zbyt szybko!

- Przepraszam... ja wcale nie chciałem...

- Nie przepraszaj - przerwała mu zniecierpliwionym tonem - wszystko w porządku.

Domyślił się, że znowu rozboleła ją głowa. Dostrzegł jednak coś więcej - delikatny rumieniec na jej policzkach.

- Zgadzam się na wizytę tego twojego doktora, jeżeli uważasz, że tak trzeba. Ale tylko jeżeli... - Zwiesiła głowę, zaciskając usta.

- Jeśli co?

- Tylko jeżeli ty będziesz wtedy przy mnie.

Czy nie wiedziała, że jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, on będzie z nią przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu?

- Oczywiście, że będę przy tobie - obiecał. Ujął ją za rękę i wolnym krokiem ruszyli w stronę pasących się koni.

Co się z nią działo? Kiedy koń spłoszył się, była przerażona, a gdy zobaczyła ten płot, omal nie umarła ze strachu. A potem nagle coś

się z nią stało. Coś dziwnego i niepojętego. Jakby ktoś inny wszedł w jej ciało i duszę. Poczowała się we władzy jakiejś obcej osoby.

Nagle pojęła, co ma robić. Jej ciało zachowywało się świadomie, wiedziała, jak należy siedzieć w siodle, jak przewidzieć każdy kolejny krok konia, a nawet jak go pospieszyć czy zmusić do skoku. A kiedy koń szybował nad przeszkodą, wydało jej się to najnaturalniejsze pod słońcem. Każdą cząsteczką swojego jestestwa czuła, że już musiała to robić. Wszystko to już kiedyś przeżywała - wiatr na twarzy i zapach końskiego potu, stukot kopyt na ubitej ziemi, lot w powietrzu, a potem twardy impet lądowania. Jej ciało знаło już to wszystko, potrafiło to rozpoznać. Ale nie jej umysł. Bo niczego z tych rzeczy nie pamiętała. Pozostało wspomnienie zmysłowych doznań.

Po raz drugi zdarzyło jej się to, kiedy wargi Bena dotknęły jej ust. Nagle ożyło jej ciało. Ono znało dotyk jego ust, nawet jeśli jej umysł wciąż tkwił w odrętwieniu. Znowu doznała uczucia, że jest już bardzo blisko Czegoś... ale sama nie wiedziała, czego. To było trochę tak jak z tym koniem. I podobnie jak wtedy, poczuła silne pulsowanie w skroniach. Miała wrażenie, że lada moment ból rozsadzi jej czaszkę.

Czy miało to znaczyć, że zaczyna jej wracać pamięć? Czy będzie się to powtarzać? Czy w ogóle tego chce, skoro każda próba przypomnienia sobie czegokolwiek powoduje tak straszliwą migrenę?

O tak, chce tego. Gotowa jest zapłacić każdą cenę, byle tylko móc odzyskać swoją tożsamość. A poza tym nie ma wyboru. Postanowiła jednak nie wyjawiać swoich doznań Benowi. Mogła sobie wyobrazić, jak zaświeciłyby mu się oczy, gdyby dała mu choćby

cień nadziei. I jak boleśnie byłby zawiedziony, gdyby się okazało, że nic z tego nie wyszło. A ona ma przecież wystarczające powody, by przypuszczać, że tak się to skończy.

Może jednak się myli?

Ben pomógł jej dosiąść konia. Patrzył na nią przez chwilę, a potem powiedział:

- To jak umiejętność jazdy na rowerze. Jak się człowiek raz nauczy, zapamięta na zawsze.

- Wcale nie jestem tego taka pewna - stwierdziła Penny. - Czytałam o ludziach z amnezją, którzy musieli się uczyć od nowa chodzić i czytać. Obawiam się, że to samo dotyczyło jazdy na rowerze.

- Jak widać, w twoim przypadku jest inaczej - zaproponował. Wskoczył na konia, ściągnął wodze i choć nie zwierzyła mu się ze swoich przypuszczeń, nie przestawał patrzeć na nią z nadzieją. - Zobaczysz, że wszystko sobie przypomnisz, Penny. Wiem, że tak będzie.

- A jeśli nie?

Konie ruszyły powolnym truchtem, bok w bok. Słońce mocno przygrzewało. Penny pomyślała, że dawno nie czuła się tak dobrze jak w tej chwili. Całą swoją istotą chłoneła znajome zjawiska - słoneczne ciepło, łagodny powiew wiatru, skrzypienie siodła i zapach skóry.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Ben.

- Jestem teraz inna - odparła.

- To nie ma znaczenia.

- A w czym się zmieniłam? - Tak naprawdę, nie o to chciała go zapytać. Chciała się raczej dowiedzieć, czy potrafi ją znowu polubić? Czy zaakceptuje ją taką, jaka jest teraz? Czy przestanie doszukiwać się w niej kobiety, którą już nie jest? Bo może ta nowa Penny to wszystko, na co ją stać. A ta, za którą tak tęsknił, przestała już istnieć, jakby rzeczywiście spoczywała w grobie.

A może nie? Kiedy była z Benem, tak jak w tej chwili, czuła się wspaniale i miała wrażenie, że jest na swoim miejscu.

Ben zastanawiał się przez chwilę.

- Dawniej nigdy nie rzucałaś ręczników na podłogę w łazience.

Zarumieniła się i odparła urażonym tonem:

- Byłabym je później podniosła.

- Dawniej wyszorowałambyś wannę, wytarła podłogę i starannie poskładała wszystkie rzeczy.

A więc stała się niechlujna! Spojrzała na niego, pełna niepokoju, i zobaczyła, że się uśmiechał.

- Wściekałaś się, kiedy rzucałem ubranie na podłogę przed wejściem pod prysznic. Twoja pedanteria doprowadzała mnie do szału.

Zamrugnęła ze zdumienia.

- To ci nie przeszkadza, że nie jestem już taka porządna?

- Czy mi to nie przeszkadza? - Spojrzał na nią z wyrzutem. - A gdyby mi przeszkadzało, czy byłoby ci choć trochę przykro?

Penny szybko odwróciła wzrok. Tak, byłoby jej przykro, choć nie potrafiła powiedzieć, dlaczego. Na szczęście Ben nie czekał na odpowiedź.

- Choćbyś nie wiem jak bałaganiła, Penny, nic by mi to nie przeszkadzało.

Uśmiechnęła się mimo woli. Ben miał taki ciepły, głęboki głos.

- W czym jeszcze się zmieniłam? Wzruszył ramionami.

- Dawniej nie miałaś psa. Zresztą, już ci to mówiłem. No i jeszcze ta muzyka.

- Muzyka?

- Tak. - Skinął głową. - Kiedy wszedłem rano do twojego pokoju, słuchałaś rocka.

- A przedtem tego nie robiłam?

- Nigdy. Lubiałaś tylko muzykę country. Znałaś na pamięć słowa wszystkich piosenek Reby.

Zmarszczyła brwi.

- Co to za Reba? - zapytała i zaraz pożałowała pytania, bo w oczach Bena ujrzała smutek. Ale tylko przez ułamek sekundy.

- No... a poza tym, ścięłaś włosy.

- Za to ty zapuściłaś - odparła bez zastanowienia. Ben szarpnął za wodze. Koń stanął w miejscu.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co powiedziałaś? - zapytał, wbijając w nią rozogniony wzrok.

Penny pokręciła głową.

- Tak mi się po prostu wyrwało - odparła. - Naprawdę nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. - Poczowała przykry ucisk w skroniach.

Zamknęła oczy.

- Nie - zaprzeczył łagodnym tonem i położył dłoń na bolącym miejscu na skroni.

Ból ustąpił. Pomyślała, że dotyk Bena musi chyba mieć jakieś magiczne właściwości.

- Nie forsuj się - mówił dalej półgłosem. - Zachowuj się, jakby się nic nie stało. Odnoszę wrażenie, że przypominasz sobie coś właśnie wtedy, kiedy nie próbujesz tego robić. Nic na siłę.

- Nie rób sobie zbyt wielu nadziei, Ben. Bardzo cię proszę. To nie było wspomnienie. Sama nie wiem, co to było. Po prostu coś -i już.

Pokiwał w milczeniu głową, cmoknął i oba konie znowu ruszyły stępą. Miarowy tętent ich kopyt na miękkiej trawie wydał się Penny dziwnie kojący. Kiedy zza drzew wyłoniła się sylwetka domu, poczuła lekkie ukłucie żalu, że ich wspólna przejażdżka dobiegła końca.

- A wracając do tych włosów - odezwał się Ben - uważasz, że powinienem je znowu ściąć na krótko?

Uśmiechnęła się, ale serce podskoczyło w jej piersi, gdy spojrzała na jego ciemnozłote kędziory, związane przepaską. Jak by to było, zanurzyć w nie palce?

- Mnie się podoba tak, jak jest - mruknęła, czując, że oblewa się rumieńcem.

- Ja też lubię twoją nową fryzurę.

- Bardziej niż dawną?

Spojrzał na nią bez uśmiechu. W jego wzroku malowała się powaga.

- Podobałaś mi się z długimi włosami i z krótkimi też mi się podobasz. Podobałabyś mi się nawet wtedy, gdybyś całkiem wyłysiała. Nie chodzi tu o włosy, tylko o kobietę, która jest częścią mnie. I zawsze była.

Penny poczuła nagle, że żołądek ma ściśnięty jak pięść.

- Kobieta, która jest częścią ciebie... - wyszeptała, zastanawiając się, czemu jego słowa sprawiły jej taki ból. Nagle to zrozumiała - tej kobiety, którą dawniej znał, już nie ma. Ta, która teraz istniała, nadal nie potrafiła powiedzieć, kim jest i gdzie jest jej miejsce.

ROZDZIAŁ 7

Siedzieli na ganku, popijając mrożoną herbatę. Ben wpatrywał się w Penny, szukając w jej twarzy oznak zmęczenia, ale - ku swemu zdumieniu - nie znalazł ich.

- Co będziemy teraz robić? - zapytała z ożywieniem.

- Już chyba miałaś dziś dość atrakcji - odparł.

Po powrocie z konnej przejażdżki Penny uparła się, że własnoręcznie wyszczotkuje swoją klacz. Według jego rachuby powinna być już całkiem wyczerpana, tymczasem odniósł wrażenie, że wciąż rozsadzają energią.

- Wcale nie jestem zmęczona - obruszyła się, a potem podniosła na niego oczy. - Ty za to masz jeszcze dziś sporo obowiązków. Co z twoją szkółką?

- Elliot i Adam prowadzą za mnie zajęcia. Obrzuciła go podejrzliwym wzrokiem.

- To oni też znają się na walkach Wschodu? Ben roześmiał się.

- Nie mają o tym zielonego pojęcia, ale jakoś sobie poradzą.

Prawdę mówiąc, dziś została już tylko jedna grupa. - Zerknął na zegarek. - Przedszkolaki powinny się stawić na trening za pół godziny, a potem moi bracia będą wolni.

Nagle Penny się wyprostowała.

- Dajmy im już teraz wolne. Ben zmarszczył brwi.

- Mam poprowadzić te zajęcia? Pokiwała z uśmiechem głową.

- Ja też chciałabym z tobą pojechać. Oczywiście... o ile nie wyrażasz sprzeciwu.

- Na pewno masz na to ochotę? - Nie mógł się wprost nadziwić jej niewiarygodnej kondycji. Spodziewał się, że o tej porze będzie już ledwo żywa.

- Nie jestem ani trochę zmęczona. I bardzo chciałabym zobaczyć tę twoją szkółkę... od środka.

Ben musnął delikatnie jej policzek. Po części dlatego, że nie mógł sobie odmówić nawet tak krótkotrwałej przyjemności, a po części dlatego, żeby sprawdzić, czy nie ma gorączki. Nie była rozgrzana. Skórę miała ciepłą i gładką.

- Dobrze. Skoro tak ci na tym zależy, pojedziemy na trening. Razem. - Prawdę mówiąc, zawsze żałował, że nie mógł pokazać swojej żonie, co wyczarował w miejscu, które było kiedyś magazynem zbożowym. Był bardzo dumny z tej szkółki, jednak świadomość, że nie może dzielić z Penny tego uczucia, pozbawiała go połowy radości.

Przyjechali na miejsce w niespełna dwadzieścia minut. Penny z uznaniem spojrzała na wielkiego, czerwonego smoka, wymalowanego na drzwiach. Weszli do olbrzymiej hali, wyłożonej matami, i zatrzymali się pośrodku.

Na drugim końcu sali Elliot wykonał właśnie niezdarny obrót, zakończony kopniakiem. Adam, który stał obok, pokiwał głową i powiedział:

- Nie, nie tak. Widziałem, jak Ben to robił.

- Nieprawda - oburzył się Elliot. - Umiem to robić.

- To dlaczego wyglądasz przy tym, jakbyś się poślizgnął na skórcie od banana?

Ben głośno się roześmiał.

- Jeżeli naprawdę chcecie się tego nauczyć, powinniście się zapisać do mojej szkółki.

Obaj bracia jak na komendę odwrócili się w jego stronę. Na twarzy Elliota odmalowało się zdumienie. Adam spojrzał z troską na Penny.

- Co wy tu robicie?

- Zwalniamy was. Możecie iść do domu, my poprowadzimy zajęcia z ostatnią grupą.

Kiedy do nich podeszli, Adam spytał:

- Naprawdę masz jeszcze dość sił, Penny? Spojrzała na niego uważnie.

- Może mi wreszcie powiecie, czemu wszyscy mnie ciągle o to pytają?

- Może rzeczywiście jesteśmy trochę nadopiekuńczy w stosunku do naszych sióstr. Zapytaj Jessi. Ona coś wie na ten temat. - Z jego wzroku przebijała szczerą troską. Ben domyślił się, że brat usiłuje wypatrzeć na twarzy Penny oznak zmęczenia.

- Po co pytać Jessi - odezwał się Elliot. - Lepiej zapytaj Lasha.

Penny spojrzała na Bena.

- Noo... parę razy nie byliśmy dla niego zbyt... mili... -mruknął.

- Biedny Lash - westchnęła Penny.

- Och, nic mu się nie stało. - Ben spojrzał w stronę drzwi, które właśnie się otworzyły. Do sali wbiegła rozkrzyczana grupka pięciolatek. - Pójdę się przebrać. Zaraz wracam. - Ruszył w stronę szatni. Mijając Elliota, skinął znacząco głową. Brat ruszył za nim, a kiedy odeszli wystarczająco daleko, żeby Penny nie mogła ich usłyszeć, powiedział: - W drodze do domu wstąp do biura Garretta i powiedz mu, że ta klinika nazywa się Hospicjum Barlowa, a nazwisko ordynatora również brzmi Barlow. Może uda mu się czegoś dowiedzieć. Elliot pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że tak.

Ben także miał tę nadzieję, ale pochwycił właśnie zaintrygowane spojrzenie Penny, a nie chciał jej niepokoić, więc klepnął tylko Elliota po ramieniu i poprosił:

- Zaczekajcie, póki nie wrócę, dobrze?

- Jasne.

Ben ruszył w stronę szatni, zostawiając Penny pod opieką braci. Elliot zajął się dziećmi, a Adam odciągnął Penny na bok.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Oczywiście. A nie powinnam? - Właściwie należałoby przycisnąć go teraz do muru, ale pewnie i tak nic by jej nie powiedział. Może uda jej się wyciągnąć coś z Bena. Musi się za niego zabrać. I to jak najszybciej.

- Znalazłaś dziś jakieś odpowiedzi na swoje pytania, Penny? - zapytał Adam. - Wiesz już może coś na temat tego, co wydarzyło się dwa lata temu?

Pokręciła z westchnieniem głową.

- Nic ponad to, co wiedziałam, kiedy tu przyjechałam. - Spojrzała mu w twarz, jakby chciała z niej wyczytać powód takiego zainteresowania. Nie dostrzegła w niej nic prócz życzliwej troski.

- Powoli dojdiesz do wszystkiego - pocieszył ją. - Tylko się odpręż i spróbuj się nie martwić. Już ja się wszystkim zajmę. Dobrze?

- Adam, czy wiesz coś, czego mi nie mówisz?

- Znam kogoś, kto mógłby coś wiedzieć. Jak już mówiłem, sam się tym zajmę. - Potem uściskał ją w szczególnie miły, spontaniczny sposób, a ona także go uściskała.

Doszła do wniosku, że jeżeli nawet Adam coś przed nią ukrywa, to na pewno nie swój udział w jakimkolwiek spisku przeciwko niej. Nie byłby zdolny do czegoś takiego. Jego życzliwość i troska płynęły z głębi serca.

- Dziękuję ci - powiedziała, cofając się.

- Ejże, co to ma znaczyć? Wystarczy, że się odwrócę, a już mój brat podrywa moją żonę.

- To kara za to, że zostawiasz żonę z tak przystojnym facetem jak ja - odciął się Adam. - Chodź, Elliot. Spływamy stąd, zanim on zechce zademonstrować na mnie te swoje piruety, zakończone kopniakiem.

Po ich wyjściu Penny znalazła sobie wolną matę w rogu sali i usiadła, żeby móc w spokoju obserwować Bena przy pracy. W białym kimonie z czarnym pasem prezentował się imponująco. Dzieci, ubrane w białe kimona, ustawiły się przed nim ze złożonymi rękoma i

ukłoniły się, on zrobił to samo. Kiedy objaśniał im proste ćwiczenia, oczy mu lśniły, a dzieci słuchały go z uwagą. Gdy się myliły, cierpliwie pomagał im prawidłowo wykonać każdy ruch. Dzieci zwracały się do niego per „Sensei”, w ich oczach malowało się uwielbienie.

Pomyślała, że Ben kocha te dzieci, a one odpłacają mu podobnym uczuciem. Nietrudno pokochać człowieka takiego jak Ben Brand.

Po skończonym treningu zjawiły się matki, które przyjechały po swoje pociechy. Ben czekał, aż ostatnie dziecko zostanie odebrane. Potem pogasił światła, raz jeszcze sprawdził, czy wszystko w porządku i wreszcie poszli z Penny do samochodu.

Kiedy już siedzieli w środku, Penny spytała:

- Gdzie mam się zapisać?
- Jak to zapisać? - zaniepokoił się Ben. - Na co?
- Na te twoje treningi - odparła. - To takie piękne, co robisz.

Chcę się tego nauczyć.

Jego uśmiech był czuły, ale przepojony smutkiem. Pogłaskał ją po włosach. Spodziewała się, że ją zapyta, czy jest pewna, że chce się zapisać na te lekcje, ale tego nie zrobił. Ciekawe, dlaczego...

- Czy to także jedna z tych rzeczy, które przedtem umiałam, ale zapomniałam? - zapytała.

- Nie. Walkami Wschodu zainteresowałem się po... po twoim odejściu. Pomyślałem sobie, że może uda mi się w ten sposób odzyskać... spokój.

- I co, odnalazłeś go?

- Nie, dopóki do mnie nie wróciłaś, Penny.

Opuściła głowę w poczuciu winy - w jego wzroku było tyle miłości.

- Myślę, że po moim powrocie musi ci być jeszcze ciężiej.

- Nic nie może być dla mnie gorsze niż życie bez ciebie.

Czemu nagle poczuła pod powiekami łzy? Przysunęła się bliżej, a Ben objął ją ramieniem.

- Penny... nie zawsze pamiętam, że to wszystko to dla ciebie nowość. Jeżeli czujesz, że jestem zbyt... natarczywy... że posuwam się za daleko... wystarczy, że mi powiesz, dobrze?

Był taki delikatny i troskliwy.

- Oczywiście - zapewniła i oparła mu głowę na ramieniu, a on cicho westchnął.

W drodze do domu zatrzymali się na chwilę. Do domu? Mój Boże, czyżby już zaczynała uważać Texas Brand za swój dom?

Ben wszedł do małego sklepiku, a ona czekała w szoferce. Po chwili wybiegł z szarą, papierową torbą, którą jej wręczył.

Zajrzała do torby, marszcząc brwi. W środku były przysmaki dla psa, nowa smycz i biała gumowa kość z czerwoną kokardką. Ogarnęło ją wzruszenie.

- Ben, wcale nie musiałeś... - odezwała się z uśmiechem.

- Ależ musiałem, musiałem. Ollie także należy teraz do rodziny.

A poza tym, jeżeli dostanie kość, może zostawi w spokoju zegarki.

Czuła, że wcale nie chodziło mu o zegarki, tylko o nią, bo wiedział, jak bardzo pokochała psa. Czy wobec tego była to próba zdobycia jej względów?

Jeżeli tak, to całkiem niepotrzebna, bo już i tak ją bez reszty oczarował.

Po kolacji Penny poszła do swojego pokoju. Ben już po paru minutach zaczął: za nią tęsknić, w przeciwieństwie do starego, poczciwego Blue, który z ulgą pozbył się hałaśliwego towarzystwa Ollie. Energiczna suczka przez cały wieczór nie dawała mu spokoju, próbując wciągnąć go do zabawy. Jedyłą odpowiedzią Blue było ziewanie, po którym mościł się jeszcze wygodniej na owalnej macie, a jego wielkie, łagodne oczy z wyrozumiałą życzliwością śledziły poczynania Ollie. Penny za to obrzuciła Bena urażonym wzrokiem, kiedy nazwał jej pupilkę tłuszczoszką, ale gdy dał suczce gumową kość, ciemne oczy Penny zaśniły. Sądząc po uśmiechu, jakim go obdarzyła, można by pomyśleć, że był to co najmniej pierścionek z brylantem.

Najwyraźniej uwielbiała tę swoją krępą suczkę o śmiesznym, kwadratowym pysku. Co więcej, nawet Ben zaczynał dochodzić do wniosku, że nie sposób nie polubić psa o tak wybitnej indywidualności jak Ollie.

Siedział teraz przed kominkiem, na którym dawno już wygasł ogień, łamiąc sobie głowę nad tym, jak powinien dalej postępować.

Z niewesołych rozmyślań wyrwały go w końcu podniesione głosy dobiegające z ganku.

Jakiś kobiecy głos, którego początkowo nie rozpoznał, zapytał:

- Czemu nie chcesz mi powiedzieć, o co chodzi?

Na co Adam odburknął:

- Zaraz się dowiesz.

Trzasnęły ażurowe drzwi i rozmawiający weszli do domu. Adam oraz kobieta, która przed pięciu laty porzuciła go, łamiąc mu serce. Kirsten Armstrong. Była równie piękna jak zawsze, z burzą jasnobrązowych włosów, opadających na ramiona. Dawniej nosiła sprane dzinsy i kolorowe podkoszulki, teraz miała na sobie kosztowny, nieco pretensjonalny strój oraz szpilki na niebotycznych obcasach, dobrane kolorem do maleńkiej torebeczki. Mocny makijaż i paznokcie pokryte lakierem o tym samym odcieniu karminu co szminka do ust dopełniały obrazu nowej Kirsten - kobiety niewątpliwie bogatej. Ben pomyślał, że mimo wszystko wolał tamtą dawną dziewczynę. Była znacznie bardziej autentyczna.

Adam udawał rozgniewanego, ale Ben dostrzegł w jego oczach ból.

- Po co twój brat wydzwaniał do naszej posiadłości przez cały dzień? Po co ciągniesz mnie tu taki kawał drogi?

Adam wzniosł oczy do góry.

- Posiadłość! Proszę, proszę, co to z człowieka robią pieniądze. Wystarczy bogato wyjść za mąż, a już zadziera się nosa..

- Uspokój się, Adam! - Spojrzała na niego z gniewem, ale w jej wzroku Ben dostrzegł cień bólu.

- Czy ten twój stary bażant jest już jedną nogą w grobie? Chyba nie kazał ci podpisać żadnej umowy przedślubnej? To byłoby straszne, gdyby twoja ofiara miała pójść na marne.

- Zamknij się! - krzyknęła i rzuciła się do drzwi, ale Adam chwycił ją za rękę i stali przez chwilę, wpatrując się w siebie płonącymi oczami.

Ben chrząknął. Jak na komendę spojrzeli na niego.

- Adam! Tu nie chodzi o was. Odłóżcie sobie wasze porachunki na inną okazję.

Adam zaczerpnął tchu i puścił Kirsten.

- Zaczekaj tutaj. - Minał Bena i poszedł na górę, po Penny. Tę Penny, która wciąż nie miała pojęcia o swojej śmiertelnej chorobie. Ben poczuł, że serce zaczyna mu głucho łomotać w piersi.

Kirsten z ciężkim westchnieniem weszła do pokoju, rzuciła torebkę na stolik i patrzyła w stronę schodów, na których zniknął Adam. Potem odwróciła się do Bena, a jej twarz lekko się rozchmurzyła.

- Cześć, Kirsten - powiedział. - Dawno się nie widzieliśmy. Skinęła głową, nie patrząc mu w oczy.

- Nieraz chciałam wstąpić, ale wydawało mi się, że nie wypada.

- Dobrze ci się zdawało.

- Twój brat omal mnie nie zabił wzrokiem.

- Nie możesz go o to winić.

- Nie da się zmienić przeszłości. Czemu nie potrafisz zapomnieć?

- Tak jak ty?

Westchnęła, wciąż unikając jego spojrzenia.

- Wielu rzeczy żałuję, Ben.

- A tego, że nie przyszedłeś na własny ślub?

- Tego nie powiedziałam. - Podeszła do schodów, spojrzała w górę, a potem znowu wróciła. - Wiesz, o co tu chodzi?

- Wiem. - Tyle tylko powiedział. Widać było, że Kirsten jest bardzo zdenerwowana. Może po części dlatego, że jej dawny narzeczony ściągnął ją, nie podając przyczyny.

- Powiesz mi?

- I tak byś mi nie uwierzyła. Poczekaj chwilę, sama się dowiesz.

Ostrzegam cię, Kirsten, musisz uważać na każde swoje słowo.

Zmrużyła oczy i prychnęła z irytacją.

- To śmieszne! Wychodzę.

- Poczekaj! Jeszcze moment.

- Powiedz Adamowi, że może do mnie zadzwonić, kiedy wreszcie zacznie się zachowywać jak dorosły, o ile taki dzień w ogóle nadejdzie. - Chwyciła torebkę i ruszyła ku drzwiom. -A póki co...

- Chwileczkę, Kirsten - rozległ się głos Adama, a potem usłyszeli kroki na schodach. - Mogłaś zostawić przyszłego męża, ale chyba nie zrobisz tego swojej najlepszej przyjaciółce?

Adam i Penny zaczęli wolno schodzić po schodach, ręka w rękę. Twarz Adama płonęła gniewem, natomiast Penny wyglądała na zmieszaną.

Kirsten była zwrócona do nich plecami, bo właśnie zmierzała w stronę drzwi. Penny zapytała:

- Co się dzieje? Kto to jest?

W pół kroku Kirsten zamarła niczym żona Lota. Torebka wypadła jej z rąk, ale ona nawet tego nie zauważyła. Po chwili wolno odwróciła się, a gdy jej wzrok padł na Penny, zbladła jak ściana. Poruszyła wargami, lecz z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Kiedy się zachwiała, Ben poderwał się i podskoczył w jej stronę, ale Kirsten nie zemdląła, tylko kurczowo chwyciła się oparcia krzesła. Stała, mrugając oczami i patrzyła na Penny, jakby zobaczyła ducha.

- P-Penny...?

Ben przeniósł wzrok z osłupiałej Kirsten na Penny, która lekko skinęła głową. Wtedy Kirsten chwiejnym krokiem przeszła przez pokój, z wyrazem niebotycznego zdumienia na twarzy. Ben modlił się w duchu o to, żeby jego brat miał na tyle rozumu, aby uprzedzić Kirsten, by nie wspominała Penny o jej chorobie... ale obawiał się, że Adam o tym zapomniał. Zachowanie Kirsten wyraźnie świadczyło o jej kompletnym zaskoczeniu.

Kiedy dotarła do Penny, dotknęła jej, jakby nie mogła uwierzyć, że ma przed sobą istotę z krwi i kości. A potem objęła Penny w taki sam sposób, jak on to zrobił, gdy ją po raz pierwszy zobaczył, i wybuchnęła płaczem. Kołysała Penny w ramionach, zalewając się łzami.

- To niemożliwe! Mówili, że zapadłaś w śpiączkę, że nie przeżyjesz następnego miesiąca... Ja nie... - Urwała i cofnęła się ze zwieszoną głową.

Ben stał jak ogłuszony, wciąż nie do końca pojmując to, co przed chwilą usłyszał. I to nie on przemówił pierwszy, tylko Adam:

- Wiedziałaś o wszystkim! Wiedziałaś, że to nie Penny zginęła w tym wypadku!

Kirsten drżała, wstrząsana szlochem, ale milczała.

- Odezwij się, do jasnej cholery!

- Dosyć tego, Adam! - Ben uciszył brata, kładąc mu rękę na ramieniu. - Kirsten, jesteś nam winna wyjaśnienie. Penny, to jest Kirsten Armstrong. Była twoją najlepszą przyjaciółką już od przedszkolnych czasów. Pomyśleliśmy sobie, że może ona coś wie...

- Co ty wygadujesz? - przerwała mu Kirsten. - Po co jej mówisz, kim jestem? - Spojrzała Penny w twarz. - Przecież mnie znasz, prawda?

- Przykro mi, ale cię nie znam.

- Ona wyszła niedawno ze śpiączki. Pamięta tylko to, co się wydarzyło od chwili, gdy się obudziła w klinice. Mam wrażenie, że ty jesteś jedyną osobą, która może nam wyjaśnić, w jaki sposób się tam znalazła.

- O mój Boże - wyjąkała Kirsten. Przycisnęła dłonie do policzków Penny. - Spójrzcie tylko na nią. Wygląda tak... tak zdrowo!

- Kirsten! - W głosie Bena zabrzmiały ostrzegawcze tony.

- Wszyscy ciągle to mówią - odezwała się Penny, rzucając Benowi pytające spojrzenie. - Czy przed tym... wypadkiem byłam aż taka chora?

Kirsten spojrzała na Bena, marszcząc brwi.

- To ona nic nie wie?
- Kirsten!- powtórzył raz jeszcze.
- Czego nie wiem? - Penny zwróciła na Bena szeroko otwarte oczy. - Czego mi nie powiedziałeś?
- Nic, nic. To może poczekać. Ja...
- Ale ja nie chcę czekać. Chcę wiedzieć teraz.
- O Boże! - jęknęła Kirsten. - Spojrzała na Adama. - Trzeba mi było powiedzieć.

Adam zwiesił głowę. Wreszcie zrozumiał, że, zaślepiiony gniewem, popełnił straszny błąd.

- Postąpiłem bezmyślnie. - Spojrzał przeproszającym wzrokiem na Bena.

- Tam, gdzie w grę wchodzi Kirsten, okazujesz wyjątkowy brak rozumu.

- Czy ktoś mi wreszcie powie, o co tu chodzi? - nie ustępowała Penny.

Ben westchnął. Tak bardzo pragnął zaoszczędzić jej dodatkowego stresu. Nie chciał raz jeszcze oglądać, jak światło gaśnie w jej oczach.

Kirsten wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła policzka Penny, a potem uśmiechnęła się przez łzy.

- To, co się stało, stało się z miłości. Mojej do ciebie i twojej do Bena. Modliłam się za ciebie, nawet nie wiesz, ile razy... Ale po co o tym mówić, skoro ty i tak nic nie pamiętasz. Mnie także nie pamiętasz, prawda?

Penny pokręciła przecząco głową i łagodnie odsunęła dłoń Kirsten.

- Musiałyśmy być sobie bardzo bliskie.

- Bliższe nawet, niż gdybyśmy były siostrami. Och, Penny, jak mi cię brakowało.

- To mi pomóż. Jeżeli wiesz, co tu wszyscy przede mną ukrywają, powiedz mi. Proszę cię. Ja muszę to wiedzieć.

Kirsten cofnęła się o kilka kroków i osunęła na najbliższe krzesło, jakby nagle opadła z sił. Nie ulegało wątpliwości, że jest wstrząśnięta. Jej oczy miały taki sam wyraz jak oczy zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Nagle zmieniła się w tę samą nieśmiałą i niepewną siebie dziewczynę, jaką była przed laty.

- Czy ktoś mi wreszcie powie, na co chorowałam?! - po raz kolejny powtórzyła Penny.

- Ja ci powiem - odezwał się cicho Ben. - Niech mi Bóg wybaczy, ale chciałem ci tego oszczędzić. Chciałem, żeby cię najpierw obejrzał nasz doktor, bo... bo wyglądasz tak zdrowo, a ja miałem nadzieję, że...

- Ben, to niemożliwe, i ty dobrze o tym wiesz. Po co się łudzić. - Adam stanął koło brata i położył mu dłoń na ramieniu.

- Zostawcie nas samych, dobrze?

Adam skinął głową i zwrócił się do Kirsten:

- To jeszcze nie znaczy, że ci się upiekło. Ja nadal domagam się odpowiedzi na pewne pytania.

- Ale ich nie dostaniesz - odparła, spoglądając w przerażone oczy Penny. - Posłuchaj, kochanie, kiedy będziesz gotowa, wszystko ci opowiem. Tylko tobie. Nikomu innemu.

- Więc jednak wiesz, co się wydarzyło - rzucił oskarżycielskim tonem Adam.

Spojrzała na niego, a potem spuściła wzrok, sięgnęła po torebkę i zaczęła w niej czegoś szukać. Wreszcie wyjęła mały kartonik i położyła go na stoliku.

- Masz tu mój numer - zwróciła się do Penny. - Zadzwoń do mnie, jak będziesz miała ochotę porozmawiać.

Penny skinęła głową bez słowa, a Kirsten ruszyła do drzwi. Adam zaklął pod nosem, a potem poderwał się i wyszedł za nią, mrużąc gniewnie, że odwiezie ją do jej „posiadłości”.

Po ich wyjściu Penny spojrzała na Bena.

- A więc Kirsten wiedziała, że to nie ja zginęłam w tym wypadku - stwierdziła cichym głosem.

- Na to wygląda. Jednego nie pojmuję. Czemu to przed nami ukrywała? Przecież byliśmy ze sobą zżyci jak rodzina. - Zamknął oczy. - Udusiłbym ją za to gołymi rękami!

- Może miała po temu jakieś ważne powody. Mimo to mój widok kompletnie ją zaskoczył.

- Tak, to prawda.

- Ale dlaczego?

Podszedł do niej i zanurzył palce w jej jedwabistych włosach.

- Bardzo długo chorowałaś, Penny. Byłaś naprawdę poważnie chora. Dowiedzieliśmy się o tym jeszcze przed naszym ślubem.

Cofnęła się o krok i spojrzała mu w twarz.

- Co to za choroba? Ben ujął ją za rękę.

- Zespół Hillmana-Waite'a, choroba przewlekła i postępująca.

- Postępująca? - powtórzyła z namysłem, a potem szybko spojrzała mu w oczy. - Ale uleczalna?

Ben poczuł się, jakby mu ktoś zacisnął obręcz na gardle.

- Nie. Stan chorego stopniowo się pogarsza, powodując jego coraz większą niewydolność, a w końcu chory zapada w śpiączkę, z której już się nie budzi.

Penny zbladła.

- Czy to znaczy, Ben, że byłam umierająca? - zapytała drżącym głosem. Wyrwała mu się i chwyciła się za głowę. – Jeżeli nie ma na to lekarstwa... jeżeli nie da się nic zrobić... o Boże, Boże!

Wyciągnął rękę, żeby ją przytulić i ukoić jej ból, choć wiedział, że to niemożliwe. Powstrzymała go gestem.

- Przecież wyszłam ze śpiączki, przyjechałam aż tutaj. I wszystko po to, żeby się dowiedzieć, że... - Zamknęła oczy i przytknęła dłoń do czoła. - Nie, to nieprawda! To nie może być prawda!

- Gdyby to było możliwe, wolałbym być na twoim miejscu, Penny. Wziąłbym wszystko na siebie, byle ci oszczędzić cierpień.

Spojrzała na niego z trwogą w oczach. A potem osunęła się na podłogę, z twarzą zalaną łzami. Ukryła twarz w dłoniach, a jej ciałem wstrząsał szloch.

Ben znalazł się przy niej w ułamku sekundy. Chwycił ją w ramiona i mocno do siebie przytulił. Tym razem mu się nie opierała, tylko przywarła do niego jak strwożone dziecko, a jej łzy moczyły mu koszulę.

- Przepraszam cię, moja najdroższa. - Wziął ją na ręce i zaniósł na górę, do jej pokoju. Nie położył Penny, tylko sam usiadł na łóżku, trzymając ją na kolanach i całując jej włosy.

Uniosła ku niemu twarz, a potem dotknęła jego policzka.

- Boże, Ben, ty płaczesz! Zacisnął usta i skinął głową.

- Musiałeś mnie naprawdę kochać - wyszeptała.

- Nadal cię Kocham.

- Chcę to sobie przypomnieć, Ben - powiedziała, a szloch przerywał jej słowa. A potem przytknęła wargi do jego ust.

Ben poczuł, że sam drży. Zaczął ją całować. Powoli i delikatnie. W jego sercu radość mieszała się ze smutkiem. Ze wzruszenia brakowało mu tchu.

Kiedy wreszcie oderwała usta od jego ust, spojrzała mu w oczy i wyszeptała:

- Kochaj się ze mną, Ben. Chcę, żeby było jak dawniej.

Myślał dotąd, że nie może już być większego cierpienia niż to, przez które przeszedł, ale teraz pojął, że się mylił.

ROZDZIAŁ 8

Kiedy Penny zarzuciła mu ręce na szyję, poczuł się zarazem jak w niebie i w piekle. Tuliła go tak mocno, jakby nigdy nie chciała go puścić, i całowała tak, jak nikt go nie całował od dnia, w którym odeszła. O takiej chwili marzył od przeszło dwóch lat.

Położył ją ostrożnie na łóżku i wzrokiem zapytał, czy jest już gotowa, a ona odpowiedziała mu bez słów. Drżącymi palcami zaczęła rozpinąć mu koszulę. Gdy rozsunęła jej poły i dotknęła obnażonego torsu, zamknął oczy, napawając się tą chwilą.

Ukląkł nad Penny, zdjął jej bluzkę, którą rzucił na podłogę, a chwilę potem obok bluzki wyładował stanik. Spojrzał na żonę z czułością. Leżała przed nim w samych tylko dżinsach. Piersi miała drobne i krągłe. Właśnie takie zapamiętał.

Tak bardzo jej pragnął. Wyciągnął się na łóżku i znowu pocałował ją w usta, a potem, zsuwając się coraz niżej, zaczął okrywać pocałunkami całe ciało. Piersi były miękkie i ciepłe, a ich koniuszki twardniały pod pieśczętą jego ust.

Dotknął płaskiego brzucha Penny, a potem wsunął dłoń pod pasek spodni.

- Pragnę cię - wyszeptał. - Tyle razy o tym śniłem...

- Ja też... tylko że... nie mogłam sobie tego przypomnieć po obudzeniu. Ale bardzo chcę sobie przypomnieć, Ben.

Ich pieśczęty stawały się coraz bardziej intymne i gorączkowe. Wreszcie, kiedy nie byli już w stanie dłużej czekać, wszedł w nią

powoli i delikatnie, z uczuciem, jakby wracał do domu po długiej wędrówce. Otoczyła go smukłymi udami i wczepiła palce w jego włosy, patrząc mu w oczy. W jej wzroku płonęła miłość. I wtedy, na ten krótki, cudowny moment, zmieniła się w jego dawną Penny, a kiedy osiągała szczyt, wykrzyknęła jego imię tym samym, urywanym głosem jak dawniej. Wtedy i on zatracił się w ekstazie.

Potem długo tulił ją w objęciach i okrywał pocałunkami jej twarz, szepcząc, że wszystko będzie dobrze.

Nie potrafiła powiedzieć, czemu zareagowała tak, a nie inaczej. Pewnie po części ze strachu. A także dlatego, że rozpaczliwie zapragnęła korzystać z życia, póki czas. Bo przecież nie wiadomo, ile jeszcze go ma przed sobą.

Jednego była już całkiem pewna - że tego nie żałuje. Ben sprawił, że czuła się tak wspaniale jak nigdy dotąd. Jak więc mogłaby czegokolwiek żałować, mimo iż w jej sercu panował straszliwy zamęt. Rozpacz i niedowierzanie mieszały się z uczuciem ekstatycznego szczęścia i nadzieją. Czuła się jak nowo narodzona, a z drugiej strony, miała wrażenie, że swoje obecne uczucia czerpie z dobrze znanych źródeł, choć nie jest ich sobie w stanie przypomnieć.

Było jeszcze coś - przeświadczenie, że w chwili, gdy spadł na nią tak straszny cios, powinna się zwrócić właśnie do Bena Branda.

Głowa pękała jej od natłoku myśli. Wciąż zadawała sobie pytanie, jak to możliwe, że kiedykolwiek mogła podejrzewać Bena o to, iż chciał się jej pozbyć? Teraz zyskała pewność, że nigdy by tego

nie zrobił. Po pierwsze, nie miał powodu, bo przecież wiedział, że jego żona musi wkrótce umrzeć. A po drugie - bardzo ją kochał.

Teraz także jej mówi, że ją kocha i że nigdy nie przestał kochać.

Zamknęła oczy i wtuliła się w niego, a on objął ją ramionami.

Jak to możliwe, że nadal ją kocha, skoro teraz nawet jej nie zna?

- To dziwne - odezwała się - ale naprawdę czuję się doskonale.

Właściwie, gdyby nie te bóle głowy... Nic nie rozumiem. Wydaje mi się, że nigdy nie byłam taka zdrowa jak teraz... a słyszę, że powinnam wkrótce... - Umrzeć. Nie potrafiła wymówić tego słowa. Uniosła się i spojrzała na Bena. W jej oczach nie było już łez, bo je wszystkie scałował, poza tym nie chciała tracić czasu na płacz.

- Jaki był mój stan przed tym wypadkiem? Mam na myśli stan fizyczny?

Ben zamknął oczy.

- Bardzo ciężki - powiedział. - Nie mogłaś już nawet chodzić sama po domu, bo kręciło ci się w głowie i traciłaś oddech. Nie mogłaś jeździć konno. Przestałaś w ogóle wychodzić, a w ciągu dnia musiałaś kłaść się kilka razy, żeby się zdrzemnąć. - Otworzył oczy i spojrzał na Penny. Twarz mu się rozchmurzyła. - Nie to, co teraz.

- Czy miałam bóle? Ben wzdrygnął się.

- O tak. Nasz doktor dawał ci środki znieczulające, ale powodowały one jeszcze większą senność.

Skinęła głową, usiłując to sobie przypomnieć, ale na próżno.

- Teraz w ogóle nie czuję żadnego zmęczenia i nie mam żadnych bólów. - Przechyliła głowę. - Mówiłeś, że mój stan powinien się systematycznie pogarszać.

- Tak. Tak twierdzili lekarze, a śpiączka miała być ostatnim stadium choroby.

- Czy... czy mogła to być prawda?

Przyjrzał jej się, starając się nie wzbudzać w sobie niepotrzebnych nadziei.

- Doktor powiedział, że to choroba nieuleczalna, Penny.

Zaczerpnęła tchu, a potem zrobiła głęboki wydech, zamknęła oczy i znowu się położyła.

- To znaczy, że nadal noszę w sobie tę chorobę.

- Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy sądzili inaczej - powiedział cicho. - Przekonajmy się jednak, co stwierdzi doktor. - Ben przewrócił się na bok i ujął w dłonie twarz żony. - Bez względu na to, ile jeszcze zostało nam czasu, spędzimy go razem. I postaramy się go jak najlepiej wykorzystać. Chcę ci dać wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłaś, zabrać cię wszędzie tam, gdzie chciałaś pojechać...

- Ależ Ben - przerwała mu - ja nie chcę nigdzie jechać. Chcę sobie tylko przypomnieć.

- Wiem - wyszeptał. - Wiem. - Przysunął się bliżej i musnął ustami jej wargi.

W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi. Penny zamarła, ale Ben nawet nie drgnął. Zawołał tylko „chwileczkę”, po czym wyskoczył z łóżka i włożył spodnie. Potem spojrzał na Penny, opatulił

ją kocem i otworzył drzwi. Usłyszała głos Garretta. Mówił tak cicho, że musiała z całych sił wyteżać słuch.

- Muszę natychmiast z tobą pomówić, Ben - powiedział z powagą. -I to sam na sam.

Ben spojrzał na Penny, a potem wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Co to ma znaczyć? Znowu jakieś sekrety? Boże, co za tajemnicza rodzina! Penny wyskoczyła z łóżka i narzuciła szlafrok, który wisiał na oparciu krzesła. Potem podeszła na palcach do drzwi i zaczęła podsłuchiwać, przytykając ucho do drewna, ale słyszała tylko stłumione dźwięki. Ach, ci cholerni rzemieślnicy z tą ich solidną robotą! Rozejrzała się wokoło i wypatrzyła szklankę z wodą na nocnym stoliku. Opróżniła ją jednym haustem, potem przyłożyła szklankę do drzwi, a następnie ucho do szklanki.

O tak, teraz słyszała znacznie lepiej.

- Po co jej całodobowa ochrona, Garrett? - pytał Ben, a Penny z ulgą przyjęła wiadomość, że jest coś, czego Ben nie wie.

- Adam powiedział mi, co się zdarzyło - odparł Garrett. - Moim zdaniem, Penny i tak ma dość kłopotów z samą sobą. Jak ona to przyjęła?

- A jak myślisz?

Usłyszała głębokie westchnienie.

- Po co ją straszyć, kiedy i tak ma dość zmartwień? Straszyć ją? Czym?

- Jak to, straszyć?- zapytał Ben.

- Chyba mamy kłopoty. Telefonował Matt Bauer z posterunku straży w El Paso. Powiedział, że był u nich jakiś facet, który szukał Penny.

Zapytaj, jak on wyglądał, podpowiedziała w duchu Benowi.

- Co to za jeden?- zapytał Ben.

- Nie wiadomo. Taki po czterdziestce, chudy i łysawy. Mówił z angielskim akcentem.

Doktor Barlow! Serce gwałtownie załomotało jej w piersi.

- Ben, ten gość miał zdjęcie Penny. Mówił, że to jego żona.

- Akurat! Łże jak pies! - oburzył się Ben.

- Matt też tak uważa. Powiedział mi, że facet nie chciał okazać dokumentów i w końcu nie złożył nawet oświadczenia o zaginięciu żony. A kiedy Matt zaczął go wypytywać, wycofał się, nie podając adresu. Rzecz w tym, że próbowałem dowiedzieć się czegoś o tym Hospicjum Barlowa w Londynie, w którym Penny miała przebywać przez dwa lata. A także o samym doktorze Barlowie. Okazało, że nie ma już ani jednego, ani drugiego.

- Jak to? - zdumiał się Ben.

- Budynek jest pusty. Barlow sprzedał go pewnej agencji nieruchomości za pół ceny i zniknął wraz z pacjentami, którzy byli pod jego opieką. Nie ma żadnych dokumentów... niczego...

Penny zaczerpnęła tchu. Zniknęli? I doktor, i klinika? Tak po prostu? Jak to możliwe?

- A co z personelem?

- Ci, których udało nam się zlokalizować, nie mają o niczym pojęcia. Któregoś dnia przyszli do pracy i zastali budynek kliniki zamknięty na cztery spusty. Nikomu z nich dotychczasowa działalność kliniki nie wydawała się podejrzana, ale, moim zdaniem sprawa jest podejrzana. Zdaję sobie sprawę, że Penny zawsze i wszędzie węszyła spisek, ale może tym razem miała rację.

Za drzwiami coś się poruszyło. To chyba Ben zaczął chodzić po korytarzu. A potem odgłos kroków ucichł.

- Mówiłeś o tych pracownikach, których udało się zlokalizować...

- Tak - mruknął Garrett. - Odszukali jedną z pielęgniarek, ale ona już nic im nie powie. Chodzi o Michele Kudrow, tę, której Penny ukradła kartę kredytową. Została znaleziona w swoim mieszkaniu...

- Jak to, została znaleziona? - spytał Ben, a potem ciszej dodał: - Nie żyła, tak?

- Tak.

- Morderstwo?

- Samobójstwo.

Samobójstwo, akurat! - pomyślała Penny. Z pewnością Michele za dużo wiedziała i... Nagle ją olśniło. Przecież ona także za dużo wie! Wprawdzie na razie nie pamięta, w jakich okolicznościach znalazła się w klinice, ale zawsze jest szansa, że sobie przypomni. Co wtedy będzie? Co gorsza, doktor Barlow też o tym wie. Boże, co ten człowiek zamierza?

- Trzeba jak najszybciej znaleźć tego Barlowa - odezwał się Ben.
- Bez względu na koszty. Zabrał mnie i mojej żonie dwa lata życia i musi za to zapłacić. Powinienem być przy niej, nawet jeżeli leżała w śpiączce. A mnie tam nie było. Nie wiem, jakie kierowały nim motywy, czemu więził ją w tej swojej klinice? Zmuszę tego drania, żeby wszystko wyśpiewał. Drogo zapłaci za nasze cierpienia...

Co za obezwładniające uczucie wiedzieć, że jest się tak bardzo kochaną, pomyślała Penny. Podobnie jak Ben, chciała poznać odpowiedzi na dręczące ją pytania. Tylko dwie osoby mogły ich udzielić: Kirsten i doktor Barlow.

Na myśl o tym, że i jedno, i drugie jest teraz w miasteczku, poczuła pełną wzdłuż kręgosłupa zimny dreszcz. Mogła się zwrócić tylko do jednej osoby - do Kirsten. Natomiast Barlowa musi za wszelką cenę unikać.

Chyba że chce skończyć tak, jak skończyła Michele Kudrow.

Doktor Gregory Barlow nie tracił czasu. Wiedział już, że jego Jane, czyli Penny Brand, odnalazła swoją rodzinę. Jak jej się to udało, nie miał pojęcia. Nikt, nawet jego najbardziej zaufana pracownica, nie znał jej prawdziwego nazwiska ani nie posiadał żadnych informacji o niej samej czy o jej rodzinie.

Pozostawało jedno wyjaśnienie. Musiała to sobie odtworzyć w pamięci. A jeśli przypominała sobie, skąd pochodzi i jak się nazywa, równie dobrze mogła sobie przypomnieć to, co działo się w klinice. Nie spodziewał się, że pacjentka numer dziewięćdziesiąt osiem

kiedykolwiek obudzi się ze śpiączki. Gdyby nawet do tego doszło, zamierzał ją na zawsze zatrzymać w klinice.

Uznał, że gdyby jakimś cudem udało jej się wymknąć, i tak nie potrafiłaby odnaleźć swojej rodziny.

Tymczasem tej kobiecie udało się tego dokonać. I pewnie już niedługo wraz ze swoją rodziną złoży wszystkie fragmenty wspomnień w jedną całość. Ta kobieta stała się dla niego niebezpieczna. Była zagrożeniem dla wszystkiego, nad czym pracował i co osiągnął. Był już tak blisko celu! Bliżej niż kiedykolwiek!

Tak czy inaczej, nie może dopuścić do tego, żeby cały jego wysiłek poszedł na marne. Już i tak poniósł olbrzymie koszty. Przyciśnięty do muru musiał sprzedać za bezcen klinikę, przenieść pacjentów i pod zmienionym nazwiskiem zaczynać wszystko od nowa, łącznie z werbowaniem personelu. Musiał także rozwiązać problem tych wszystkich, którzy za dużo wiedzieli.

Michele... Niemal się w niej zakochał, ale ona nie mogła zostać jego partnerką, była zbyt miękka. Gdyby ją mocniej przycisnąć, wydałaby go policji - nie miał co do tego złudzeń.

Teraz należało pilnie zająć się pacjentką numer dziewięćdziesiąt osiem, żywym dowodem jego dotychczasowych osiągnięć. Musi znowu wziąć ją pod swoje skrzydła, skłonić do powrotu. Jeśli odmówi - będzie musiała umrzeć.

Kiedy Ben wrócił wreszcie do pokoju, starał się robić dobrą minę do złej gry. Spodziewał się, że zastanie Penny w łóżku, tymczasem zobaczył, że wstała i zdążyła się ubrać. Jej oczy, mimo iż

podpuchnięte od wylanych łez, płonęły z ożywienia. Policzki miała różowe, a lśniące włosy układały się w loki. Nigdy w życiu nie wyglądała tak zdrowo. Z niepokojem zauważył, że Penny pakuje swoje rzeczy. Wyjmowała właśnie z szuflady ubrania, które dostała od Chelsea, i układała jej na łóżku. A może tylko chciała zrobić porządek?

- Powinnaś trochę odpocząć, kochanie - powiedział.

- Odpoczynek to ostatnia rzecz, na jaką mam teraz ochotę - odparła, odwracając wzrok, po czym otworzyła kolejną szufladę.

Ben sam nie wiedział, co ma o tym sądzić.

- Ale... - zaczął zgnębionym tonem.

- Żadne ale. - Stała przed nim, ujmując się pod boki.

- Posłuchaj, Ben, nie wiem, jak poprzednio zareagowałam na tę wiadomość, ale mogę ci powiedzieć, co czuję tym razem.

Zbliżył się do niej i odgarnął jej włosy z czoła. Były takie rozkosznie jedwabiste.

- A co czujesz?

- Że mam masę roboty, za to niezbyt wiele czasu. Poza tym, jeżeli według ciebie mam być taka chora jak przedtem... powinnam zrobić to, co zamierzam, póki jeszcze jestem w nie najgorszej kondycji.

Ben pokiwał z westchnieniem głową. Miała rację. Poprzednim razem sam próbował mówić jej podobne rzeczy, ale wtedy była... taka inna. Bardziej chora. Zbolała. Zrozpaczona. Pokonana. Wtedy po prostu się poddała.

Teraz za to aż przyjemnie było na nią patrzeć. Znowu stała się odważna i przedsiębiorcza, jak ta dawna Penny, sprzed choroby. Nagle się przeraził, że postanowiła go opuścić. A przecież mówiła, że chce zostać na ranczo, że zamierza odnaleźć tu swoją przeszłość, póki jeszcze jest na to czas.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał.

Powoli odwróciła się i z lękiem spojrzała mu w oczy. A potem w jej wzroku pojawiło się zrozumienie.

- Przepraszam cię. Czy sądziłeś...? - Spojrzała na stos rzeczy na łóżku, a potem znów na Bena. Ze smutnym uśmiechem dotknęła jego policzka. - Wybieram się całkiem niedaleko. Na drugi koniec korytarza.

- Na drugi koniec...?

. - Pomyślałam sobie... ale może powinnam wpierw zapytać. No więc, pomyślałam sobie, że jeśli wciąż mnie chcesz, spróbuję znowu być twoją żoną. Chciałam przenieść moje rzeczy do twojego... do naszego pokoju.

Ben uśmiechnął się. Kamień spadł mu z serca. Wciąż jeszcze miał wiele problemów, ale teraz odpadł ten, który największym ciężarem kładł się na jego duszy. Wziął Penny w objęcia.

- Jeżeli tak, to mam coś dla ciebie.

Powoli zdjął z szyi srebrny łańcuszek i zsunął z niego obrączkę. Uniósł ją do ust, delikatnie ujął Penny za rękę i wsunął jej obrączkę na palec. Poczula pod powiekami wzbierające łzy, a on raz jeszcze ucałował obrączkę na jej palcu.

Penny miała świadomość, że decyzję podjęła impulsywnie, pod wpływem wielkiego stresu. Mimo to wcale jej nie żałowała. Całą noc spędziła w ramionach męża. Czy w tej sytuacji miało to jakieś znaczenie, że go nie kocha? W końcu kiedyś go kochała. Tego była całkowicie pewna. Ben chciał wypełnić pozostałe dni jej życia miłością i szacunkiem. Takiej propozycji nie mogła odrzucić.

Więc choć go nie kochała... czasami, kiedy trzymał ją w ramionach albo gdy patrzył jej w oczy... zdawało jej się, że pamięta uczucie miłości, jakim go kiedyś darzyła. Tak jakby nadal tkwiło w jej sercu, tylko jakieś nieokreślone i odległe. Jak szept, który wprawdzie już słyszała, ale nie potrafiła jeszcze rozróżnić poszczególnych słów.

Obrączka pasowała na jej palec jak ulał. Była ciepła i dawała poczucie bezpieczeństwa. Nie mówiąc już o tym, że została jej ofiarowana z miłością.

Obudziła się u boku Bena. W jego silnych ramionach, z głową opartą na jego muskularnym torsie. Czowała jego zapach. I na ułamek sekundy - między jednym a drugim uderzeniem serca - wydało jej się, że nigdy stąd nie odchodziła, że codziennie budziła się w ten sposób. Wydało jej się, że świetnie to pamięta.

To dziwne uczucie szybko minęło, pozostawiając po sobie poranny ból głowy.

- Dzień dobry - odezwał się Ben, kiedy poczuł, że Penny się poruszyła.

Mimo migreny uśmiechnęła się.

- Dzień dobry.

- Jak się czujesz? Pomyślała przez chwilę.

- To dziwne uczucie wiedzieć, że nosi się w sobie straszną chorobę. - Spojrzała mu w oczy. - Na szczęście nie jestem już sama.

Ben spojrzał na nią z uśmiechem i pogładził ją po głowie.

- Nigdy już nie będziesz sama, choćbyś się o to prosiła.

- Wskazał wzrokiem odległy koniec łóżka.

Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła biały, skulony kształt.

- Przynajmniej nie chrapie - powiedziała.

Ben roześmiał się. Penny pomyślała, że to istny święty, skoro nawet nie protestował przeciwko obecności Ollie w ich łóżku. Czym sobie zasłużyła na taką miłość?

Pokój, w którym spali, wydał jej się jakby znajomy, a zarazem nowy. Zasłony i kapa na łóżku były seledynowe, a na ścianach wisiały fotografie, głównie członków rodziny. Było też zdjęcie przedstawiające ludzi, których nie rozpoznała.

- Kto to? - zapytała, wskazując na oprawioną fotografię.

- Pewnie znowu ktoś, kogo nie pamiętam.

Ben spochmurniał.

- To John Brand. Brat mojego ojca. Z żoną Sally i dwójką dzieci, Marcusem i Sarą.

- Czy ich znałam?

Ben skinął głową.

- Każdego lata przyjeżdżali do nas na tydzień lub dwa. Ich dzieciaki nigdzie nie były takie szczęśliwe jak tutaj. Ale... ale już ich nie ma.

Penny zamrugnęła ze zdumienia.

- Jak to, nie ma ich? Chcesz powiedzieć, że...

- Tak. - Ben spojrział na fotografię, zaciskając usta. - John wdał się w jakieś podejrzanе interesy, prał brudne pieniądze, a na koniec zgrzeszył chciwością. Nie znam szczegółów, ale w końcu wpadł. Kilku facetów przyszło do niego do domu... i...

- Boże! - jęknęła Penny, patrząc na fotografię. Ten ciemnowłosy chłopiec nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat, a dziewczynka była jeszcze zupełnie malutka. - Dzieci też?

Ben smutno pokiwał głową.

- Załatwili całą rodzinę. Nawet nie znaleziono wszystkich ciał.

- To potworne. - Penny odwróciła wzrok. Ben wziął ją w ramiona i przytulił.

- Nie myśl teraz o tym. Mamy dość innych zmartwień. Po co wracać do dawnych koszmarów?

- Masz rację. - Wtuliła się w niego, czując kojące ciepło jego ciała

- Więc, co chcesz dziś robić? - zapytał

Długo o tym rozmyślała i choć to zadanie nie należało do przyjemnych, musiała stawić mu czoło. Usunąć tę przeszkodę ze swojej drogi po to, by mogła iść dalej. Zaczerpnęła tchu i spojrzała Benowi w oczy.

- Wiem, że bardzo chcesz się dowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło tamtego dnia, kiedy rzekomo zginęłam w wypadku. Ja też chcę wiedzieć, kto rozdzielił mnie z jedyną rodziną, jaka mi pozostała

po śmierci rodziców. I to wtedy, kiedy najbardziej potrzebowałam jej wsparcia. A wydaje mi się, że ta... ta Kirsten ma jakieś informacje, które mogą się okazać przydatne. - Prychnęła z ironią. - Może to w ogóle jej sprawka.

- Kirsten?! - Ben popatrzył na nią w osłupieniu. - Przecież ona cię uwielbiała.

Penny przygryzła usta i pomyślała, że ładniutka Kirsten uwielbiała być może Bena, a nie jego żonę. Widziała przecież, jak wymieniali spojrzenia. Ukradkowe i raczej znaczące. Zaniepokoiło ją to, ale nie zamierzała mówić o tym Benowi.

- To nie ma znaczenia - stwierdziła. - Postanowiłam jak najszybciej porozmawiać z Kirsten i przekonać się, co ona wie. Najpierw jednak muszę zrobić coś innego. Dopóki nie będę wiedziała, nie potrafię się skupić na niczym innym.

Usiadła na łóżku, a Ben także usiadł i objął ją ramieniem.

- Chcesz się zobaczyć z doktorem, prawda? Odwróciła ku niemu zdumioną twarz.

- Musisz mnie naprawdę dobrze znać.

- Szczerze mówiąc, ja też nie jestem w stanie myśleć o niczym innym. Chcę wiedzieć, co z tobą, znać twój stan. Chcę wiedzieć, ile...

- Spuścił wzrok.

- Ile jeszcze zostało nam czasu? - dokończyła za niego. - Ja też chcę to wiedzieć. Bez względu na to, ile to będzie, nie zamierzam marnować ani minuty na roztkliwianie się nad tym, czego nie da się zmienić.

- Jesteś silniejsza niż kiedykolwiek, wiesz o tym?

- Naprawdę? - zapytała.

- Tak. - Skinął głową. - Zadzwońię po doktora. Jestem pewny, że zaraz się zjawi.

Jak się okazało, nie miał racji. Doktor czekał na umówionych pacjentów, ale kiedy Ben powiedział mu przez telefon, że Penny żyje, staruszek krzyknął tak głośno, że usłyszała go nawet Penny na drugim końcu pokoju.

Właśnie wyszła spod prysznicza i siedziała przed toaletką.

Czesząc włosy srebrną szczotką, pomyślała, że cała ta sytuacja, jak i przedmioty wokół wydają jej się dziwnie znajome.

- Dobrze, w porządku - powiedział Ben. - Zaraz przyjeżdżamy. Dobrze. Za godzinę.

Kiedy odłożył słuchawkę, Penny poczuła, że serce szybciej zabiło jej w piersi.

- Nie może do nas przyjechać, wobec tego my do niego pojedziemy. - Podszedł do Penny, stanął za nią, wziął szczotkę i zaczął czesać jej włosy. Jednak tym razem nie potrafiła się odprężyć.

Jakby wyczuwając narastające napięcie, Ollie otworzyła nagle oczy i spojrzała na swoją panią. A potem przeciągnęła się, zeskoczyła z łóżka i usiadła przy krześle Penny.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby tam jechać, Ben.

- Czemu nie? - zapytał, a gdy długo nie odpowiadała, przestał ją czesać i spojrzał surowo na jej odbicie w lustrze. - Kochanie, jesteś

blada jak kreda. Wiem, jakie to trudne. - Odłożył szczotkę i oparł jej dłoń na ramionach. - Przejdziemy przez to razem.

- Wiem - odparła. - Nie o to chodzi, tylko... - Przygryzła wargę i spuściła wzrok.

- No, mów, wyrzuć to z siebie. - Ben odwrócił krzesło razem z nią, tak że siedziała teraz zwrócona do niego twarzą. Objął ją i spojrzał jej w oczy. - Czym się jeszcze tak dręczysz?

Wzięła głęboki oddech, a potem powiedziała z wysiłkiem:

- Ja... ja słyszałam, o czym rozmawialiście z Garrettem. Ben zdumiał się, a potem zmarszczył gniewnie brwi.

- Podśluchiwałaś? Ale jak? Przecież rozmawialiśmy szeptem.

- Przyłożyłam szklanekę do drzwi. Zdziwiłbyś się, jakie to skuteczne.

Ben rozchmurzył się i otoczył dłońmi jej twarz.

- Powinienem się domyślić. Przecież ty od dziecka lubiłaś się bawić w detektywa.

- Naprawdę?

- Tak. Chodziłaś nawet na specjalny kurs, ale się rozchorowałaś i....

- I co? - zapytała.

- Przestało cię to interesować. - Potrząsnął głową. Koniec z dygresjami, co właściwie wiesz?

- Sporo. Michele Kudrow nie żyje, a doktor Barlow zniknął. I mogę ci od razu powiedzieć, że ta pielęgniarka wcale nie popełniła samobójstwa.

- Skąd ta pewność?

- Znałam ją. - Penny wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Za nią dreptała Ollie. - Ben, ona była prawą ręką Barlowa. Kto jak kto, ale ona musiała wiedzieć o wszystkim. A teraz nagle nie żyje. Tak po prostu popełnia samobójstwo? A on znika w tym samym czasie? - Pokręciła głową. - Nie, to nie było samobójstwo.

- Myślisz, że Barlow ją zabił?

- Albo kazał ją zabić.

- Ale dlaczego?

- Żeby ją raz na zawsze uciszyć. - Penny stanęła i popatrzyła na Bena. - Żeby nie mogła nikomu powiedzieć, co naprawdę działo się w klinice. I powiem ci jeszcze jedno, jestem pewna, że z tych samych powodów Barlow chciał mnie zatrzymać u siebie. Dlatego mnie okłamywał, że jestem sama na świecie. Dlatego próbował mi wmówić, że mój stan nie pozwala na opuszczenie szpitala, choć czułam się bardzo dobrze. - Znowu zaczęła krążyć po pokoju. Tym razem Ollie została na miejscu i z przekrzywionym łebkiem śledziła kroki swojej pani. - Myślę, że mogłam dowiedzieć się czegoś na jego temat, zanim zapadłam w śpiączkę, a potem o tym zapomniałam. Według mnie, to jedyny powód, dla którego mnie trzymał. - Doszła do końca pokoju i zatrzymała się. - Jeżeli to prawda, to Barlow nie zechce ryzykować, że sobie coś przypomnę i opowiem ludziom o tym, co tak desperacko usiłował zachować w tajemnicy.

Ben zastanawiał się przez chwilę, a potem chwycił Penny za rękę.

- Myślisz, że on może tu przyjechać za tobą?

- On już to zrobił. Ten człowiek, o którym mówił twój brat... ten, który pytał o mnie na posterunku w El Paso... to Barlow.

Ben patrzył jej długo w oczy, wstrząśnięty, a potem zamknął ją w uścisku.

- Dopadniemy tego drania, Penny. Mogę ci to obiecać. Nie bój się, on ci już nic nie zrobi. Przysięgam na Boga, że nikt już cię nigdy nie skrzywdzi.

Nagle zakreśliło jej się w głowie.

- Powtórz to jeszcze raz...

- Ile razy zechcesz, najdroższa. Nikt cię już nigdy nie skrzywdzi - powtórzył z naciskiem.

Oparła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy...

Z latarką w jednej ręce i łopatką w drugiej stała na podwórzu za domem Murphych. Była pewna, że przy odrobinie wytrwałości dokopie się do zwłok pani Murphy. Wszyscy wiedzieli, że państwo Murphy bez przerwy się kłócili, a teraz ona zniknęła i nie ma jej już prawie od tygodnia. A ta historyjka pana Murphy'ego, że żona pojechała do miasta, do chorej matki, po prostu nie trzyma się kupy. Sama widziała tego starego drania dokładnie w tym samym miejscu parę dni wcześniej. Udawał, że sadi róże. Akurat! Dobry żart. Pewnie sadił róże na zwłokach swojej żony, Róży Murphy.

Ale nie mogła tak od razu wziąć się do kopania. Najpierw musiała się upewnić, że nikt jej na tym nie przyłapie. Dlatego zakradła się pod dom, zaświeciła latarkę i zajrzała przez okno.

Wtedy właśnie usłyszała ryk pana Murphy'ego. Wskoczył z łóżka i runął do drzwi. Zanim zdążyła się odwrócić, podejrzany wyskoczył na ganek. Z sercem w gardle uświadomiła sobie, że nie może uciec, nie przebiegając obok niego. Mimo to rzuciła się do ucieczki. Pędziła jak strzała, a on nie przestawał krzyżeć.

Pobiegła wtedy prosto do Bena, wiedząc, że znajdzie go na boisku koszykówki, z braćmi i małą siostrzyczką. I oczywiście był tam. Jak zawsze, kiedy go potrzebowała.

Wciąż słyszała za placami wrzaski Murphy'ego. Przeraziła się, że będzie chciał do niej strzelać. Wpadła, dysząc, na boisko i bez namysłu rzuciła się Benowi w ramiona.

Był wysoki jak na swój wiek. Najwyższy z całej siódmej klasy. Za to chudy jak strach na wróble. Słomkowej barwy włosy, zawsze za długie, a także zbyt obszerne ubrania, podkreślały jeszcze to podobieństwo. Ale niebieskie oczy jaśniały błękitem jak niebo nad Teksasem, a Penny zakochała się w Benie w chwili, gdy po raz pierwszy w nie spojrzała. I nie miało to żadnego znaczenia, że skończyła dopiero trzynaście lat.

Otoczył ją długimi, chudymi ramionami. „Znowu szpiegowałaś pana Murphy'ego? Przecież ci mówiłem, że to zły pomysł” - powiedział z uśmiechem. Skinęła głową. „Zobaczył cię?” „Nie wiem. Chyba tak”. Mocniej przygarnął ją do siebie. „Wszystko będzie dobrze, Penny. Wiesz, że nie pozwolę, żeby ci zrobił krzywdę. On już tu idzie. Powiem mu, że byłaś tu przez cały czas i grałaś z nami w piłkę. A moi bracia to potwierdzą. Prawda, chłopaki?”.

Jak na komendę pokiwali głowami. Ci Brandowie zawsze trzymali się razem. A mała Jessi krzyknęła: „Ja też! Ja też cię obronię, Penny!”.

Ben pogłaskał siostrzyczkę po głowie, ale nie przestawał patrzeć Penny w oczy. „Nie martw się” - powiedział. „Już ja wszystko załatwię”.

Wiedziała, że to prawda. I nagle zrobiło jej się słodko na sercu. Nigdy przedtem czegoś takiego nie czuła.

Zamrugła oczami. Wspomnienie zbladło, ale pozostało w jej pamięci. Mogła je znowu przywołać. I jeszcze coś pozostało - uczucie bezmiernej słodocy, którego doznała po raz pierwszy w życiu w tym wspomnieniu. Mogła je wciąż od nowa przeżywać, a ono nie traciło nic ze swojej świeżości. Ben, zgodnie z obietnicą, nigdy nie pozwolił nikomu jej skrzywdzić. Nagle zrozumiała, że ilekroć miała kłopoty, zawsze zwracała się do niego. Nic dziwnego, że gdy obudziła się ze śpiączki, instynkt nakazał jej go szukać. Nic też dziwnego, że podświadoma tęsknota za domem przywiodła ją aż tutaj. Po to, aby mogła odnaleźć Bena.

Wciąż stała w jego mocnych, krzepiących objęciach. Już nigdy nie zwątpi w szczerść Bena. Tak naprawdę od zawsze wiedziała, że jest jej opoką, ucieczką i obroną. I to przeświadczenie przechowała jej pamięć.

Pod powiekami poczuła wzbierające łzy, które nie miały nic wspólnego z tym, że wkrótce musi umrzeć. Jeżeli już - to raczej ze świadomością, czym będzie jej śmierć dla tego mężczyzny, który

przysiągł, że zawsze ją ochroni przed krzywdą i cierpieniem.

Wiedziała, że jest dla niego całym światem i że on już raz przeżył jej śmierć.

Głaskał ją teraz po głowie, szepcząc cicho:

- Teraz rozumiem, dlaczego boisz się wyjść, Penny. Będę z tobą. Ten drań nie ośmieli się do ciebie zbliżyć. - Cofnął się i otarł łzy, które płynęły jej po policzkach. - Możesz przecież założyć ten cudaczny kapelusz i ciemne okulary. Wtedy nikt cię nie pozna.

Uśmiechnęła się przez łzy. Serce ścisnęło jej się w piersi. Czym zasłużyła sobie na tak wielką miłość?

- Dobrze - powiedziała. - Jedźmy. Wizyta u lekarza jest zbyt ważna, żeby ją odkładać z powodu jakiegoś szaleńca.

- Brawo. Dzielna dziewczyna - powiedział Ben, a ona nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

ROZDZIAŁ 9

Kiedy Ben i Penny zeszli na dół, Adam kręcił się już po kuchni. Ben niósł Ollie, gdyż okazało się, że suczka nie potrafi sama zejść po stromych schodach. Jak każdy buldog, miała przednie łapy krótsze i w związku z tym środek ciężkości znajdował się na wysokości klatki piersiowej. Raz tylko spróbowała samodzielnej drogi na dół. Ben złapał ją w ostatniej chwili, bo byłaby się stoczyła jak kulka. Od tej pory zawsze znosili ją na rękach, a Ollie zdawała się całkiem zadowolona z takiego stanu rzeczy. Teraz spoczywała w ramionach Bena w pozie udzielnej księżnej. Trzymała w zębach gumową kość i czekała, aż ktoś spróbuje odebrać jej zabawkę.

W kuchni Ben postawił ją na podłodze. Adam na powitanie błysnął zębami w szerokim uśmiechu, jakby już wiedział, co zaszło między bratem a jego żoną. Zresztą i tak trudno byłoby utrzymać to w tajemnicy. Prawdopodobnie pierwsza osoba, która zajrzała rano do pokoju Penny i odkryła jej nieobecność, natychmiast przekazała wiadomość całej reszcie.

Ponieważ do wizyty u lekarza zostało jeszcze trochę czasu, Ben podsunął Penny krzesło i mimowolnie obrzucił ją troskliwym spojrzeniem. Zbyt mocno utkwili mu w pamięci trudne poranki sprzed dwóch lat. Wtedy potrafił przewidzieć pogorszenie stanu żony, choć ona jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy. Wystarczyło, że spojrzął jej w twarz. Policzki miała wtedy szare, oczy zamglone i podkrążone, szyję obrzękłą i zwisające w strąkach włosy. Każdego

ranka z niepokojem wypatrywał kolejnych ostrzegawczych sygnałów. Pod koniec widział je już niemal co dzień.

Tego ranka Penny wręcz promieniała. Wyglądała młodo i świeżo jak podłotek. W sercu Bena zakiełkowała nadzieja. Nagle uświadomił sobie, że jednak w głębi duszy liczy na cud. Oznaczało to, że koniec będzie jeszcze bardziej bolesny. Mimo to nie potrafił wyrzec się nadziei.

Adam skończył myć ręce i dał znak Benowi, żeby nie ruszał ekspresu do kawy.

- Siadaj, bracie. Dziś ja podaję śniadanie.

Ben skapitulował i próbował udawać, że nie widzi radosnego błysku w oczach Adama.

- Niech ci będzie. Tylko nas nie otruj.

- Czujcie się obsłużeni. - Adam nalał trzy filiżanki kawy, dwie podał na stół, a jedną zostawił dla siebie, przy piecu. - Co państwo sobie życzą na śniadanie? Jajka a la Benedykt? Belgijskie gofry? Jeżyny z bitą śmietaną? A może przepyszne bajgle i sorbet?

- Dobra, dobra. Tu nie Nowy Jork, bracie. Poproszę porządnie wysmażoną jajecznicę z cebulą, papryką, kiełbasą i pieczarkami, posypaną tartym serem, a do tego grzanki z masłem i frytki.

- Jak będziesz się tak odżywiać, umrzesz młodo. - Adam zakrył ręką usta, ale słowa już uleciały. Ben znieruchomiał, a Penny pobladła. Adam podszedł do niej i ukląkł na podłodze. - Przepraszam. Osioł ze mnie - powiedział i wstał. - Należysz do rodziny Brandów. Przed ślubem z tym szaleńcem - skinął na Bena - nie miałaś już innej

rodziny. Za to teraz masz jej aż w nadmiarze. To nieważne, że o tym zapomniałaś. My zawsze będziemy pamiętać.

Jego słowa wywarły wielkie wrażenie na Penny. Skinęła głową i ukradkiem otarła oczy.

- Dziękuję ci.

- Więc nie gniewasz się na mnie? Penny uśmiechnęła się.

- Wybaczę ci, jeżeli usmażysz mi gofra. - Spojrzała w dół, bo Ollie położyła jej łapę na kolanie. - Dwa gofry - poprawiła się. - Jeden dla mnie, jeden dla Ollie.

- Już się robi. - Adam zabrał się do roboty.

Kiedy skończył demonstrację swoich kulinarnych talentów, na dół zeszła reszta rodziny i przytulna kuchnia wypełniła się gwarem. Penny całą duszą chłoneła atmosferę Texas Brand - poranne rozmowy, szcęk sztućców, brzęk talerzy - i modliła się o to, żeby mogła sobie przypomnieć, że była kiedyś częścią tego domostwa.

Mały Bubba siedział na wysokim stołku i pracowicie zeskrobywał łyżeczką bitą śmietaną z gofra. Kiedy na talerzu zostały mu już tylko suche kawałki ciasta, spojrzał na mamę.

- Jesce - powiedział, z buzią białą od śmietany.

- Najpierw zjedz gofra.

- Nie ciem.

- Zjedz gofra, Bubba - odezwał się Garrett. Chłopczyk spojrzał na niego nadąsany, ale potulnie zabrał się za gofra.

- A gdzie frytki? - wtrącił się Elliot.

Penny i Adam wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Uznaliśmy z Adamem, że to bardzo niezdrowe jedzenie - wyjaśniła Penny.

- Jasne, że tak - zgodził się Elliot. -I dlatego takie smaczne.

- Jutro twoja kolej - zwrócił się do niego Ben. - Możesz wtedy usmażyć frytki.

- Dobrze. A kto wybierze się do sklepu? Trzeba kupić szynkę i trochę tych dużych, hiszpańskich cebul.

- Chyba moja kolej-odezwał się Ben. - Ostatnio zaniedbałem domowe obowiązki.

- Tym się nie martw. - Garrett uśmiechnął się do Penny.

- Masz teraz ważniejsze sprawy na głowie.

- Tak czy siak, zrobię dziś zakupy. Po śniadaniu jedziemy z Penny do miasta.

- Ach tak?-zainteresowała się Chelsea.

- Wybieram się do doktora - wyjaśniła Penny. Wszyscy nagle spoważnieli. - Nie uważacie, że już najwyższy czas?

Chelsea pokiwała głową.

- W tej sytuacji ostatnią rzeczą, jaką powinniście się zająć, są jakiegokolwiek zakupy.

- Nie, nie, wszystko w porządku. Co mam robić? Zamknąć się w pokoju i rozpaczać? Zrobimy z Benem zakupy. Chcę się poczuć jak.. jak jedna z was.

Garrett spojrział na nią z podziwem, a Elliot ścisnął ją za rękę.

- Może tego nie pamiętasz, ale jedną z nas jesteś prawie od zawsze. - Uśmiechnął się i puścił jej dłoń. - Powinienem się domyślić,

że wrócisz. Jak to się mówi, złego diabli nie wezmą. - Mrugnął do niej znacząco i zabrał się za jedzenie.

- Pierwsze słyszę, że byłam zła - roześmiała się Penny. Ben poczuł wdzięczność dla Elliota. Najmłodszy brat zawsze potrafił rozładować atmosferę.

- Widocznie nie pytałaś, kogo trzeba - wyjaśnił Elliot. - Stary Murphy miałby coś na ten temat do powiedzenia. Jego róże do tej pory nie mogą dojść do siebie po tych twoich wykopkach.

- O tak - przytaknął Ben. - Zrobiłaś tam wtedy niezły bałagan.

- Nie bez przyczyny - wtrącił Garrett. - Przecież Penny prowadziła śledztwo w sprawie morderstwa.

- Tyle że nikt nie padł ofiarą - zauważył Adam.

- Nikt - zgodził się Elliot - prócz tych nieszczęsnych róż.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, tylko Ben patrzył uważnie na Penny, która z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Chcecie powiedzieć, że mimo wszystko wróciłam tam i wykopałam te róże? Przecież okropnie się bałam, bo on tak strasznie na mnie krzyczał, kiedy... - Zapadła cisza. Penny mówiła dalej, starannie dobierając słowa - kiedy... przyłapał mnie na tym... jak podglądałam go przez okno...

- Pamiętasz to?! - zapytał wstrząśnięty Ben. Oblizła wargi i skinęła głową.

- .. Coś mi się przypomniało zeszłej nocy... Ale nie byłam pewna... czy to zdarzyło się naprawdę... Miałam wrażenie, jakbym oglądała stary film.

Ben chwycił ją za rękę.

- To nie do wiary, kochanie! Zobaczysz, że odtąd powoli wszystko sobie przypomnisz! Wiem, że tak!

- Mam nadzieję. Może wtedy przypomnę sobie, jak to się stało, że wyjechałam stąd i wylądowałam w klinice. - Spojrzała po kolei na wszystkich zgromadzonych wokół stołu i dodała: - Nie mogę sobie nawet wyobrazić, że ktoś mógłby chcieć stąd wyjechać.

Adam chrząknął. Ben pomyślał, że jego brat w Nowym Jorku na pewno nieraz tęskni za domem. Słowa Penny mogły potrącić czułą strunę w jego duszy.

- Myślę, że dowiemy się tego, jeszcze zanim odzyskasz pamięć - powiedział. - Jestem pewny, że Kirsten wie, co się wtedy zdarzyło.

- Też mam takie wrażenie. Muszę z nią porozmawiać.

- Oczywiście - odezwał się Ben. - Najpierw musimy złożyć wizytę doktorowi. A skoro już o tym mowa... - Wymownie po-stukał palcem w szkiełko zegarka.

- Pora jechać, tak? - zapytała Penny, a kiedy skinął głową, wsunęła do ust ostatni kawałek gofra i wstała od stołu z odważnym uśmiechem, na który, niestety, nikt nie dał się nabrać.

Czas minął szybko przy śniadaniu, spożytym w tak licznym gronie. Całe szczęście, pomyślał Ben, bo gdyby Penny denerwowała się przez cały ranek tak jak teraz, pewnie by się pochorowała. On sam dostał skurczów żołądka. Kiedy siedzieli w poczekalni, zaczął w myślach się modlić i prosić Boga: Daj jej chociaż parę lat, błagam cię, Boże. Czy proszę o zbyt wiele?

- Pani Brand? - rozległ się głos pielęgniarki.

Penny uniosła głowę. Była blada i miała wilgotne oczy.

Pomyślał, że czeka ją ciężka próba. To straszne, że musi usłyszeć od lekarza diagnozę, która zabrzmiałaby jak wyrok.

Ujął ją za rękę i wstał. Ona także z trudem podniosła się z krzesła. Wolnym krokiem weszli do gabinetu. Ben pomyślał, że musieli wyglądać jak para skazańców prowadzonych na szafot.

Najchętniej porwałby ją na ręce i uciekł jak najdalej od tego miejsca. Chciał ją zabrać gdzieś, gdzie już nigdy nie będzie musiała stawać oko w oko z takimi problemami. Niestety, takie miejsce nie istniało.

Pielęgniarka wskazała mu krzesło w rogu. Usiadł i czekał, gdy tymczasem Penny ważono, mierzono jej ciśnienie i temperaturę.

- Wszystko w porządku - powiedziała pielęgniarka, nie patrząc na nich, i zapisała dane w karcie. Potem podała Penny papierową koszulę. - Proszę się rozebrać i to włożyć. Zaraz przyjdzie pan doktor - dodała i wyszła.

Ben zatarł ręce. W gabinecie było zimno. Ciekawe, dlaczego u lekarza zawsze jest tak zimno?

- Zmarzniesz w tej papierowej koszuli - powiedział.

- Tak - mruknęła i zaczęła się rozbierać, a Ben szybko podniósł się, żeby jej pomóc. Wziął od niej ubranie i starannie złożył je na krześle. Kiedy już się przebrała w koszulę, pomógł jej się położyć na specjalnym stole do badań.

- Maniery tej pielęgniarki pozostawiają wiele do życzenia - stwierdził.

Zacząli rozmawiać, uważając, żeby nie poruszyć najważniejszego tematu - dlaczego się tu znaleźli.

- Przy niej te pielęgniarki w klinice mogłyby uchodzić za urocze, a przecież na pewno połowa z nich to kryminalistki.

Ben spróbował się uśmiechnąć. Zaczął chodzić po pokoju, ale zorientował się, że to jeszcze bardziej denerwuje Penny. Wobec tego usiadł i przyjrzał się plakatom na ścianach. Jeden dotyczył higieny jamy ustnej, kolejny prezentował przekrój ucha wewnętrznego.

Wreszcie drzwi się otworzyły i doktor Ricardo Montalban wszedł do gabinetu. Miał ogorzałą twarz i bujną, siwą czuprynę. Był uwielbiany przez swoje pacjentki. Ben uważał, że doktor zawdzięczał to swojemu pięknemu głosowi. Starszy pan spojrzał na Penny i w jego czarnych oczach odmalowało się najwyższe zdumienie.

- Penny! - powiedział cicho, a potem podszedł do niej i ostrożnie ją uściskał. - Ben powiedział mi o wszystkim, ale nawet wtedy nie potrafiłem do końca w to uwierzyć... - Puścił ją, cofnął się i popatrzył jej w twarz. Między jego krzaczastymi brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka. - Co ja widzę!

Delikatnie wywinął jej dolną powiekę, po czym wyjął z kieszeni kitla małą latarkę i zajrzał do oka.

- Prawidłowe reakcje, brak odbarwień.... - Odłożył latarkę i obmacał jej szyję. - Gruczoły limfatyczne w normie. Penny, co tu się dzieje?

Oblizwała zaschnięte wargi.

- Sama nie wiem. Naprawdę.

- Ona straciła pamięć, panie doktorze - wyjaśnił Ben. Wstał z krzesła i stanął obok żony. Opowiedział lekarzowi wszystko, co wiedział, czyli bardzo niewiele. W trakcie opowiadania uświadomił sobie, że radość z powodu powrotu Penny oraz perspektywa jej rychłej utraty sprawiły, że zapomniał o pewnych sprawach. Sprawy te, oczywiście, domagały się wyjaśnienia i będzie się musiał tym zająć. I to jak najszybciej.

Doktor milczał przez dłuższą chwilę. Potem zacisnął wargi, potrząsnął głową i otworzył drzwi, żeby wezwać pielęgniarkę. Czekaając na jej przyście, dalej badał Penny.

- Słucham, panie doktorze - odezwała się od drzwi pielęgniarka.

- Niech siostra pobierze krew. Dwie próbówki, dobrze? I proszę mi zrobić rozmaz z kilku kropli. - Spojrzał z uśmiechem na Penny. - Zobaczysz, że to nie będzie bolało. - A potem znowu kazał jej się wyciągnąć na stole, a pielęgniarka wyjęła z szafki pudełko ze strzykawkami.

Wkrótce badanie dobiegło końca. Doktor przysunął sobie wysoki stołek i usiadł obok Penny. Wziął ją za rękę i spojrzał jej w oczy.

- Teraz musimy porozmawiać - odezwał się po chwili. - Byłem przy twojej mamie, kiedy się rodziłaś. Wiesz o tym?

- Tak, Ben mi powiedział.

- Wobec tego mam nadzieję, że możesz mi zaufać. Nie mam nic wspólnego z tym doktorem Barlowem, o którym mi opowiadaliście. Nigdy bym cię nie okłamał. Wierzysz mi?

Zaczerpnęła tchu i skinęła głową. Pielęgniarka wróciła ze szklaną płytką i umieściła ją pod mikroskopem, który stał na biurku. Doktor poklepał Penny po ręce, podszedł do mikroskopu i długo patrzył w okular.

Kiedy się wyprostował, przetarł oczy. Ben zaczął się zastanawiać, czy to dlatego, że tak długo oglądał preparat, czy z jakiegoś innego powodu.

- To dobrze, że mi ufasz, Penny. Bo inaczej pewnie nie uwierzyłybyś w to, co mam ci do powiedzenia. Prawdę mówiąc, sam nie bardzo mogę w to uwierzyć.

- Co to takiego?

- Nie widzę żadnych objawów HWS. Żadnych! Musimy poczekać na wyniki badania krwi. Dopilnuję, żeby były gotowe na jutro. Mikroskopowy obraz twojej krwi jest absolutnie prawidłowy! A poza tym - dodał doktor, machając ręką - gdyby ta choroba rozwijała się w twoim organizmie w takim tempie jak przedtem, już byś dawno nie żyła.

Ben słuchał jego słów i nie miał odwagi w nie uwierzyć. Penny zastęła bez ruchu.

Doktor z zaciśniętymi ustami spoglądał to na jedno, to na drugie.

- W przypadku HWS stan chorego systematycznie się pogarsza. Śpiączka oznacza końcowy etap choroby. Ty byłaś w śpiączce, Penny.

Doszłaś do samego końca, a mimo to wróciłaś. - Potrząsnął głową. - Nigdy w życiu nie spotkałem się z podobnym przypadkiem.

- Chce mi pan powiedzieć, że nie jestem już chora? - Penny była całkiem oszołomiona. - Czy to znaczy, że nie umrę?

Szeroki uśmiech rozjaśnił skupioną twarz lekarza.

- Badanie krwi potwierdzi moją diagnozę. Jestem tego najzupełniej pewny. Jak wiesz, praktykuję od wielu lat, więc znam się na rzeczy. Nie widzę żadnych objawów HWS. A to znaczy, Penny, że będziesz żyła!

- O Boże! - wyszeptała.

Ben nie mógł w to uwierzyć. To chyba sen. A może rzeczywiście śnił? Może wkrótce się obudzi i wtedy się okaże, że to nieprawda... Może...

- Nie umrę! - powtórzyła Penny na cały głos. Zeskoczyła ze stołu i przytuliła się do Bena. Uniósł ją i zakręcił wkoło. Radość rozpierała mu serce. Zniknął gdzieś ból, który przytłaczał go ciężkim brzemieniem. Poczul się lekki i wolny jak ptak. Zaczął obsypywać pocałunkami twarz Penny.

- Boże, dzięki ci - mówił urywanym głosem. - Dzięki ci, Boże!

W końcu doktor głośno chrząknął i Ben przypomniał sobie, gdzie się znajdują. Posadził Penny z powrotem na stole, ale nie mógł oderwać od niej wzroku. Po jej policzkach płynęły łzy, ale te policzki nie były szare, tylko różowe. Malowały się na nich zdrowe rumieńce.

- Teraz musimy porozmawiać o twojej amnezji, Penny - powiedział doktor. - Ten Barlow twierdził, że nie odzyskasz pamięci. Tak? - zapytał doktor.

- Tak. Z całą stanowczością. Uważał, że nie mam żadnych szans, by sobie cokolwiek przypomnieć.

Doktor pokiwał głową.

- Wyczuwałaś, że kłamie, prawda? Penny milczała.

- Gdyby twoją amnezję spowodowała śpiączka, nie mógłby tak twierdzić. Pacjenci obudzeni z komy odzyskują czasami pamięć całkowicie lub częściowo. Dopiero po dłuższym czasie, po obserwacji można wyrokować o stopniu remisji. Więc... czemu ten Barlow tak cię oszukiwał?

Penny patrzyła na niego w skupieniu. Ben wiedział, że zastanawiała się nad tym, czy może powiedzieć o swoich podejrzeniach w stosunku do doktora Barlowa. Zanim się odezwała, doktor zaczął mówić dalej.

- Moim zdaniem już sobie coś przypominałaś. Nie mam racji? Jakieś przebłyski pamięci, sen zbyt realistyczny, żeby mógł być tylko snem, jakieś fragmenty wspomnień. Było coś takiego?

- Tak - potwierdziła Penny, kiwając głową z przejęciem. - A do tego te bóle głowy... Za każdym razem kiedy sobie coś przypominam, pęka mi głowa.

Doktor przyjrzał się uważnie Penny.

- Powiedz mi, czy podczas pobytu w klinice otrzymywałaś jakieś leki?

- Pigułki nasenne i codziennie zastrzyk.
- Czy... czy zdarzało ci się obudzić, czując w ustach gorzki

smak?

Penny zmarszczyła brwi.

- Skąd pan...?
- Czy ten lekarz, o ile w ogóle jest lekarzem, miał jakieś powody, dla których wolałby, żebyś nie odzyskała pamięci?
- Może. Czemu pan pyta? Doktor zanotował coś w karcie.
- Każę zrobić jeszcze jedno badanie. Myślę, że pobraliśmy dość krwi.

- Czy, według pana, to możliwe, że Penny odzyska pamięć? - zapytał z lękiem Ben.

- Ta twoja Penny pokonała już śmiertelną chorobę - odparł z uśmiechem doktor. - A to, że zaczyna sobie coś przypominać, to dobry znak. Śmiem twierdzić, że w przypadku twojej żony wszystko jest możliwe. - Odwrócił się do Penny. - Możesz się ubrać. Dam ci receptę na bardzo łagodny środek przeciwbólowy. Zażywaj go tylko wtedy, gdy naprawdę będzie cię bolała głowa, dobrze?

- Dobrze - przytaknęła Penny.

- To świetnie. - Doktor z uśmiechem wręczył Penny receptę. - Mamy wspólne zainteresowania, co?

- Naprawdę?

- Oboje lubimy rozwiązywać zagadki kryminalne. Pomogę ci, obiecuję. - Pożegnał się i wyszedł z gabinetu.

Ben długo patrzył na Penny.

- Chodź do mnie - powiedział cicho, a potem wziął ją w ramiona i pocałował, wkładając w ten pocałunek całą swoją miłość.

Penny nawet nie zorientowała się, kiedy Ben zdołał się wymknąć, żeby zawiadomić rodzinę o wynikach wizyty u doktora Montalbana. Musiał jednak to zrobić. Może podczas zakupów, a może w aptece pana Henry'ego, kiedy przygotowywano lek zlecony przez doktora? Tak czy owak, nie mogła się już doczekać chwili, kiedy sama będzie mogła przekazać wszystkim radosną nowinę.

To takie dziwne uczucie wiedzieć, że własne szczęście znaczy tak wiele dla innych. Dla ludzi, którzy jeszcze przed kilkoma dniami byli dla niej obcy, a teraz powoli zaczynali się stawać jej rodziną. Nie miała wątpliwości, że wszyscy będą bardzo szczęśliwi. Wcześniejsze podejrzenia wydały jej się śmieszne i absurdalne.

Kiedy tego popołudnia weszli z Benem przez frontowe drzwi, powitały ich głośnie okrzyki. Penny rozejrzała się wkoło, zaskoczona. Salon, przystrojony girlandami i confetti, był pełen ludzi. Z niewidocznych głośników dobiegała muzyka, a Ollie głośnym ujadaniem dołączała się do najlepszych życzeń.

Chelsea chwyciła Penny w objęcia i mocno ją uściskała.

- Nie było cię tu w dniu twoich urodzin, ale to nawet lepsze niż urodziny, prawda?

- Moje urodziny? - Penny zdezorientowana spojrzała na Bena. - Boże, ja nawet nie wiem, kiedy się urodziłam!

- Trzydzieści lat temu, w zeszłą sobotę, kochanie - odparł Ben z uśmiechem. - Tak samo jak Nancy Drew. Można powiedzieć, że dziś urodziłaś się na nowo.

- Los dał mi szansę, by zacząć wszystko od nowa - wyszeptała Penny.

Ben skinął głową i zaprowadził ją na środek salonu. Obok szła Chelsea i delikatnie popychała ją w stronę stołu, zastawionego prezentami. W oczach Penny pojawiły się łzy.

- To wszystko dla mnie?

- A dla kogo? - zapytała z uśmiechem Chelsea. - Proszę, to ode mnie! - Wsunęła Penny do rąk małe pudełko. -I pospiesz się, bo tort czeka. Jest przepyszny!

Penny poczuła ucisk w gardle, więc tylko serdecznie ucałowała Chelsea w oba policzki.

Ben doszedł do wniosku, że nikt nie ma takiej rodziny jak on. To oni sprawili, że Penny znowu poczuła się jak u siebie w domu, że przypomniała sobie, iż kiedyś należała do ich wspólnoty. Widząc, jak cieszy się z przyjęcia, pomyślał, że to chyba najszczęśliwszy dzień w jego życiu.

Nagle Penny spochmurniała. Poszedł w ślad za jej spojrzeniem. W rogu pokoju stała Kirsten i rozmawiała z Adamem. Ben zaniepokoił się. Obecność Kirsten przypomniała mu o istnieniu pewnych problemów, o których na chwilę zapomniał. Martwiło go również to, że Penny nie cieszy się na widok dawnej przyjaciółki.

Patrzyła na nią bez uśmiechu. Przecież kiedyś wszędzie chodzili we czwórkę - on z Penny i Adam z Kirsten.

Kirsten wiedziała, w jaki sposób i dlaczego Penny znalazła się w klinice, a także dlaczego przez dwa lata rozpaczał na grobie obcej osoby. Powiedział sobie, że chce poznać odpowiedzi. Zaciekawilo go, o czym Adam z takim ozywieniem rozmawia z kobieta, ktorej podobno nienawidzi. Nagle Penny zniknela mu z oczu. To Jessi zaciagnela ja do jadalni, zeby pokazac zrobiony specjalnie na te okazje tort. Wobec tego niepostrzezenie przysunal sie blizej do Adama i Kirsten.

- Zdziwilam sie, ze mnie tu zaprosiles - powiedziala Kirsten.

- Zrobilem to tylko dla Penny - odparl Adam.

- Ja tez przyslam wylacznie dla Penny. Mimo to... miło z twojej strony, ze zadzwoniles.

- Wiem, ze to, co zrobilas, zrobilas dla Penny. Tylko dlatego zaprosilem cie na przyjecie. Jednak bez wzgledu na to, co toba powodowalo, wyrzadzilas naszej rodzinie wielka krzywde.

- Czy nie mozemy zapomniec o przeszlosci? Ta wrogosc jest... bez sensu. Co sie stalo, to sie nie odstanie. Niczego nie da sie zmienic.

- Masz racje, moje uczucia tez pozostaja niezmiennie.

- Czy nienawisc do mnie sprawia ci taka przyjemnosc?

- Tak - powiedzial z ironia w glোসie - wręcz mnie podnieca. Jest mi tak dobrze, ze chyba zaraz stąd wyjde.

- Ale z ciebie kawal drania, Adamie Brand!

- Mój brat Garrett za dobrze mnie wychował, żebym ci powiedział, kim ty jesteś, Kirsten Armstrong.

- Cowan - przypomniała mu. - Jestem teraz mężatką. Chyba o tym nie zapomniałeś?

- Nie sposób o tym zapomnieć.

Kirsten odwróciła się i odeszła, potrząsając z niesmakiem głową. Kiedy mijala Bena, chwycił ją za rękę. Przystanęła i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- On wciąż cierpi. Przygadałaś mu, prawda? Ścisnęła Bena za rękę i spróbowała się uśmiechnąć.

- To już teraz nie ma znaczenia.

- O ma, uwierz mi, Kirsten, ma... Tylko czas może tu pomóc. Bądź cierpliwa, a w końcu ci wybaczy. Widocznie nie byliście sobie przeznaczeni. Poszłaś za głosem serca, a on nie może cię za to nienawidzić do końca życia.

- Zrobiłam, co musiałam - mruknęła, a potem potrząsnęła głową.

- Nie pora na roztrząsanie przeszłości. Przyszliśmy tu wszyscy na przyjęcie na cześć Penny. Ben, jestem taka szczęśliwa, że wam się udało!

- Wiem, kochanie.

Kirsten pocałowała Bena w policzek. Kiedy się cofnęła, u jej boku wyrosła Penny, z dwoma talerzykami tortu.

- Penny! - Kirsten odwróciła się, zamierzając złożyć na jej policzku podobny pocałunek. - Nie masz pojęcia, jak często się modliłam o twój powrót. To istny cud!

Penny skinęła głową ze sztucznym uśmiechem.

- Dziękuję ci. Mam... mam nadzieję, że zostaniesz dłużej.

Chciałabym z tobą porozmawiać.

Kirsten spojrzała na Bena, a jemu wydało się, że widzi w jej oczach panikę. Zaraz jednak zaczerpnęła tchu i skinęła głową.

- Dobrze, zostanę. Mam ci dużo do powiedzenia.

- Tak myślę. - Penny podała Benowi jeden talerzyk z tortem, a drugi wręczyła Kirsten. A potem szybko odwróciła się i zniknęła w głębi pokoju.

RS

ROZDZIAŁ 10

Przyjęcie trwało przez wiele godzin, aż wreszcie, grubo po zmroku, całe towarzystwo zaczęło się powoli rozchodzić. Wes i Taylor pojechali na swoje ranczo, żeby się zająć końmi, Jessi i Lash musieli wracać do domu, by położyć malutką Marię do łóżeczka, a Chelsea zabrała Bubbę na górę, aby go wykąpać i opowiedzieć mu bajkę na dobranoc. Trzeba dodać, że Bubba energicznie protestował.

W końcu została ich już tylko czwórka - Adam, Kirsten, Penny i Ben. Nadeszła pora, by odkryć prawdę. Adam zaparzył świeżą kawę, a Ben ukląkł przed kominkiem, żeby rozpaścić ogień. Psy, Ollie i Blue, wyciągnęły się na podłodze i natychmiast zasnęły, zmęczone nadmiarem atrakcji i smakołyków. Blue leżał w swojej zwykłej pozycji, wyciągnięty na brzuchu, z łbem opartym na przednich łapach. Ollie za to okazała więcej inwencji. Ułożyła się na grzbiecie, z łapami do góry. Z na wpół otwartego pyska sterczały jej wyszczerzone zęby, a chrapała przy tym w głos. Jej wypukły korpus przypominał pierś pieczonego indyka. Już sam jej widok wystarczył, żeby każdego rozśmieszyć. Benowi jednak nie było wcale do śmiechu.

Rozpalił na kominku, ale obawiał się, że ogień go nie rozgrzeje. Pewnie dlatego, że przenikający go chłód miał niewiele wspólnego z temperaturą. Wciąż sobie powtarzał, że ten dzień jest najszcześniejszym dniem w jego życiu i nie powinien się niczego lękać.

Penny usiadła w bujanym fotelu. Adam przyniósł jej kubek gorącej kawy. Kirsten krążyła nerwowo po pokoju, niczym dzikie zwierzę zamknięte w klatce.

- Już czas - cicho odezwała się Penny. - Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Kirsten zatrzymała się i spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Myślałam, że to będzie rozmowa w cztery oczy.

- Nie, oczywiście, że nie. Ben ma takie samo prawo jak ja dowiedzieć się, co się stało. A poza tym chcę, żeby on to usłyszał.

- Nie, Penny, wcale tego nie chcesz. - Zabrzmiało to jak ostrzeżenie. - Uwierz mi, że nie chcesz. Powinniśmy porozmawiać na osobności.

- Co to ma znaczyć? Posłuchaj, Kirsten, nie mam nic do ukrycia przed moim mężem.

- No cóż, jak sobie życzysz. Uważam jednak, że najpierw powinnaś mnie wysłuchać, a dopiero potem podjąć decyzję, kiedy już będziesz wiedziała, co mam ci do powiedzenia.

- Ważne jest tylko to, że wróciłam. Próbuję teraz odzyskać moje dawne życie, a jedyna droga do tego prowadzi poprzez prawdę. Daruj sobie więc te aluzje i powiedz nam, co wiesz.

Kirsten skinęła głową, rozejrzała się nerwowo po pokoju, po czym usiadła w fotelu, blisko Penny.

- Gdzie jest Garrett?- zapytała.

- Bawi się w taksówkarza - wyjaśnił Ben. Stał oparty o gzyms kominka, z rękami skrzyżowanymi na torsie. - Kilku chłopaków trochę za dużo wypilo, więc odwozi ich do domu.

- Czemu pytasz? - wtrącił się Adam. - Co ma do tego Garrett? Kirsten spojrzała mu gniewnie w oczy.

- Nic nie powiem, póki wasz brat, szeryf, nie zagwarantuje mi, że kiedy skończę, nie zostanę aresztowana ani o nic oskarżona.

- Zatem nie tylko wiesz o wszystkim, ale byłaś w to osobiście wmieszana - stwierdził Adam. - Bądź pewna, kochanie, że jeśli będą jakieś podstawy, żeby cię aresztować, zrobię to sam, i to z przyjemnością. Poza tym, i tak dowiem się wszystkiego bez względu na to, czy zechcesz mówić, czy nie, więc...

- Zamknij się, Adam, do jasnej cholery! - wybuchnął Ben, bo z oczu Kirsten wyczekał lęk. Co będzie, jeśli nie zdecyduje się mówić? Podszedł do niej i wziął ją za rękę. - Zdaję sobie sprawę, że ją kochałaś - zwrócił się do niej tonem perswazji. - Proszę cię, Kirsten. Dobrze wiesz, że nie pozwolę cię aresztować. Przysięgam. Tylko nam powiedz. Penny musi to wiedzieć. I ja też. Co wydarzyło się tamtego dnia? - zadając to pytanie, czuł na sobie wzrok Penny, ale się nie odwrócił. Całą uwagę skupił na Kirsten, próbując ją przekonać, żeby zdecydowała się wyznać prawdę.

W końcu Kirsten uległa. Pociągając nosem i rozmazując sobie na policzkach łzy, zaczęła mówić:

- Wszystko przez to, że tak strasznie cię kochała, Ben. Musisz w to uwierzyć. Bez względu na to, co zrobiła...

- Co takiego zrobiła? - Ben poczuł, że ma żołądek ściśnięty jak pięść.

- Musiałam jej pomóc. Naprawdę musiałam. Byłam jej najlepszą przyjaciółką. Dałabym sobie uciąć za nią rękę, wierzysz w to, prawda?

- Otarła zalaną łzami twarz.

Ben skinął głową. Czuł, że zaschło mu w gardle. Penny wychyliła się do przodu. Adam stał, patrząc płonącym wzrokiem na swoją dawną dziewczynę.

- Doktor opowiedział jej... jak będzie wyglądał koniec - ciągnęła Kirsten, patrząc na Bena. - Że... że zapadnie w śpiączkę, która może trwać bardzo długo. - Przeniosła wzrok z Bena na Penny. - Nie mogłaś się z tym pogodzić. Odchodziłaś od zmysłów, wyobrażając to sobie wciąż na nowo. Ciągle mówiłaś o niewyobrażalnym cierpieniu Bena, gdy ty będziesz leżała martwa za życia, jak jakieś warzywo. Mówiłaś, że nie możesz do tego dopuścić. - Zamknęła oczy. - Bałam się, że zechcesz popełnić samobójstwo, byle tylko zaoszczędzić mu widoku twojego powolnego konania.

Umierałam ze strachu o ciebie, Penny. Dolegliwości nasilały się i wiedziałaś, że to już nie potrwa długo. Byłaś zdecydowana na wszystko, żeby oszczędzić Benowi cierpień... A ja nie wiedziałam, jak ci pomóc. Penny pokiwała głową.

- Teraz już rozumiem, dlaczego tak się o mnie bałaś.

- Tak bardzo chciałam ci pomóc, znaleźć jakieś sensowne rozwiązanie.

Ben spojrzał na Kirsten.

- I co w końcu zrobiłaś?

- Pomogłam jej - wyszeptała. Spojrzała na Penny, potem na Bena, w końcu na Adama, a potem spuściła głowę. - Mój mąż ma... pewne kontakty. Znałam niektórych z tych ludzi i wiedziałam, że są pozbawieni skrupułów. Mąż dał mi nazwisko pewnego prawnika, z którym kiedyś współpracował. Skontaktowałam się z tym człowiekiem. Zgodził się pomóc Penny. Więc zaaranżowałam wypadek...

Zapadła cisza. Adam stał wstrząśnięty i blady.

- Jezus, Maria, Kirsten - powiedział w końcu głuchym głosem - za kogo ty wyszłaś?

- Nie za tego, za kogo chciałam - odparła, chyba jednak zbyt cicho, żeby mógł ją usłyszeć.

- Chcesz powiedzieć, że moja żona... - Ben spojrzał na Penny, ale tylko na ułamek sekundy -... że moja żona sfingowała własną śmierć? Że chciała, bym uwierzył, iż zginęła w wypadku? Że spaliła się żywcem w tym wraku? - Głos odmówił mu posłuszeństwa. Zacisnął powieki, żeby się odciąć od wspomnień, ale wciąż miał przed oczami zwęglone szczątki. Wtedy Penny przemówiła cichym, monotonnym głosem:

- Kogo pochowano w moim grobie, Kirsten?

- Nie wiem. Prawnik powiedział, że to jakieś zwłoki ze stanowej kostnicy, po które nikt się nie zgłosił. Wyobrażam sobie, że Garrett i lekarz sądowy próbowali je zidentyfikować, ale to była strata czasu. Prawnik powiedział mi, że to jakaś żebraczka, która umarła na ulicy, i

że nikt nie będzie jej szukać. Zresztą, to bez znaczenia. Wziął swój samochód i obrączkę i zapewnił, że sam wszystkim się zajmie. - Kirsten odwróciła się do Bena. - Nie wiedziałyśmy, że tak to się skończy. Przysięgam. Nigdy byśmy nie...

- Myślałyście, że jak będzie? - przerwał jej ostro. - Kirsten, czy sądzisz, że udałoby im się mnie przekonać, że to zwłoki mojej żony, gdyby ich przedtem nie spalili tak, że nie dało się ich rozpoznać?

Kirsten potrząsnęła głową.

- My po prostu... nie przyszło nam do głowy... - Westchnęła. - A może wołałyśmy o tym nie myśleć.

Ben poczuł, że narasta w nim furia.

- A ta klinika? - zapytał, bliski wybuchu.

- To też załatwiał prawnik. Twierdził, że to hospicjum, jedno z najlepszych na świecie, dla ludzi z HWS. Mówił, że tam Penny znajdzie fachową opiekę. - Zamknęła oczy. - Kiedy zdarzył się wypadek, Penny była już w samolocie do Londynu.

Adam głośno zaklął.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się martwiłam, widząc twoje cierpienie, ale tak miało być lepiej... Albo przynajmniej tak nam się wtedy zdawało.

Penny milczała. Zresztą, co mogłaby powiedzieć? Oszukała w nikczemny sposób człowieka, którego podobno kochała. Odmówiła mu prawa towarzyszenia jej aż do końca. Okłamała go. Kazała mu wierzyć, że nie żyje.

- Kiedy próbowałam się z nią później skontaktować, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku - ciągnęła Kirsten - pracownicy kliniki poinformowali mnie, że zaraz po przyjeździe zapadła w śpiączkę. Powiedzieli, że ma przed sobą co najwyżej miesiąc życia i że nasza decyzja była słuszna. Kazali mi się też więcej nie kontaktować z nimi, dla jej dobra, a także dla twojego, Ben. Mówili, że jeśli będę dzwoniła, ktoś może się dowiedzieć. Prosimi, żebym jej pozwoliła umrzeć w spokoju. Więc ich posłuchałam... Niech mi Bóg wybaczy, ale ich posłuchałam. - Poszukała wzrokiem twarzy Penny. - Przepraszam cię. - Po policzkach płynęły jej łzy.

Penny milczała i tylko patrzyła na Kirsten, jakby nie była pewna, czy to wszystko dzieje się naprawdę oraz jak ma zareagować na te rewelacje.

- Podaj mi nazwisko tego prawnika - odezwał się Ben, próbując powściągnąć gniew.

- Żebyś mógł go oskarżyć? O nie, Ben. Nie powiem ci, kto to.

- Nie widzisz, że ona broni własnej skóry? - wtrącił się Adam. - Jak śmiałaś zrobić coś takiego mojemu bratu, Kirsten? Mojej rodzinie? A tak przy okazji, ile zapłaciłaś temu oszustowi?

- Powiedziałam ci wszystko, co mogłam, Ben. Dawniej byliśmy sobie tacy bliscy... Mam nadzieję, że mi kiedyś wybaczysz. Ja naprawdę myślałam, że tak będzie najlepiej. Dla ciebie i dla Penny.

Odwróciła się i spojrzała na Penny.

- Mój Boże, tak się cieszę, że znowu jesteś zdrowa. I że wróciłaś i... - Urwała i z twarzą zalaną łzami wybiegła z domu, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi.

Sekundę później Ben usłyszał pisk opon. To wóz Kirsten ruszył sprzed domu. Adam stał w drzwiach i patrzył za nią, mruczając pod jej adresem obraźliwe epitety.

Kiedy się odwrócił, wyglądał jak uosobienie furii, ale na widok pobladłej Penny i oszołomionego Bena twarz mu złagodniała.

Ben uniósł rękę.

- Idź się trochę przewietrzyć, dobrze?

- Dobrze. Sami musicie załatwić to między sobą. Ale... nie popsuj wszystkiego, Ben. Nie teraz...

- Zostaw nas samych, proszę!

Adam odwrócił się i bez słowa wyszedł.

Ben milczał przez długą chwilę. Może teraz, po tym wszystkim, co się wydarzyło, przyszła pora, żeby raz na zawsze powiedzieć: Żegnaj. Zebrał się w sobie i spojrzał na Penny, która wciąż siedziała bez ruchu w fotelu.

- Jak mogłaś zrobić mi coś takiego? - zapytał.

- Nie wiem. Zrozum, że nic nie pamiętam - powiedziała bezdźwięcznym głosem.

- Sądziłem, że mnie kochasz, że nie można już być ze sobą bliżej. Myślałem, że nie masz przede mną żadnych tajemnic. Jezus Maria, Penny, czyżbym był aż tak ślepy? Czy tylko mnie się tak zdawało?

- Ben, ja...

- Byłem ślepy, prawda? Przez te wszystkie lata... ale tak naprawdę cię nie znałem. Nie mam racji? - Ruszył w stronę drzwi. Penny pobiegła za nim i chwyciła go za rękę.

- Ben, zaczekaj! Nie możesz tak odejść. Musimy o tym porozmawiać.

- Nie dotykaj mnie.

- Myślałam... - wyszeptała - myślałam...

- Dajże spokój, Penny. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że nagle się we mnie zakochałaś? Owszem, próbowałaś, ale to okazało się tylko zabawą w dom. Nie miałaś dokąd pójść, więc udawałaś oddaną żonę. Tak naprawdę jestem zaledwie facetem, którego poznałaś kilka dni temu, człowiekiem zupełnie obcym. Więc nie próbuj mi wmawiać, że coś do mnie czujesz.

- Mylisz się!

- Nie, ja się tylko dziwię, że zrozumienie tego zajęło mi aż tyle czasu.

- Naprawdę coś do ciebie czuję... Ben! Zaczekaj! Ale on już nie czekał. Był zdruzgotany.

- On mnie teraz nienawidzi.

Minęło kilka godzin, odkąd Ben wyszedł z domu. Nikt nie potrafił powiedzieć, dokąd poszedł i co robił. Co więcej, nikt nie zamierzał go szukać. Garrett i Elliot wciąż powtarzali, że trzeba dać mu trochę czasu, że wszystko samo się ułoży. Potem rozeszli się do swoich zajęć, ale Penny nie omieszkała zauważyć, że patrzyli na nią

chłodnym wzrokiem. Od chwili gdy dowiedzieli się o jej postępkach, zniknęła gdzieś ich serdeczność. To rozumiały - mieli do niej wielki żal. Adam zawsze okazywał jej więcej zrozumienia, ale on także nie wrócił jeszcze na ranczo. Jedyne sprzymierzeńca znalazła w Chelsea, która raz po raz nalewała jej świeżej herbaty i uściskiem ręki dodawała odwagi. W końcu Garrett i Elliot poszli na górę, a kobiety wycofały się do kuchni.

- On nie może cię nienawidzić za to, co zrobiłaś, Penny. Przecież ty nawet tego nie pamiętasz - powiedziała łagodnie Chelsea.

- To logiczne - przyznała Penny. Upiła łyk herbaty, a potem odstawiła filiżankę na spodek. - Ben podchodzi do tego w sposób emocjonalny. Bardzo go zraniłam.

- Mężczyźni nie potrafią myśleć, kiedy czują się urażeni. On kieruje się teraz wyłącznie uczuciami. Kiedy to sobie uświadomi, powściągnie swój gniew.

Penny potrząsnęła głową.

- On gniewa się na osobę, która już nie istnieje. - Spojrzała w stronę okna, za którym panowała ciemność. - Martwię się o niego.

- Dlaczego go nie poszukasz?

- Garrett i Elliot powiedzieli, żeby go zostawić w spokoju.

Nawet nie wiem, gdzie on jest...

- Niech Garrett i Elliot pilnują swoich spraw. Jeśli chcesz z nim porozmawiać, to idź, i to jak najprędzej. Jesteś jego żoną, prawda?

Penny umilkła, zaskoczona rzeczowym, spokojnym tonem, jakim Chelsea wypowiedziała te słowa. Poczła suchość w ustach, a głowa znowu zaczęła pulsować bólem.

- Jesteś jego żoną, Penny - przekonywała dalej Chelsea - przynajmniej dopóki któreś z was nie zechce tego zmienić. Dlatego masz prawo do niego iść i z nim porozmawiać, a on ma obowiązek cię wysłuchać.

Penny westchnęła.

- Może kiedyś tak było - powiedziała cicho. - Wydaje mi się, że po tym, co zrobiłam, utraciłam to prawo.

- Musisz spróbować.

- Tak myślisz? — Penny otarła załzawione oczy.

- To zależy. - Chelsea wzruszyła ramionami. - Czy chcesz uratować wasze małżeństwo? A może lepiej, żeby sobie poszedł? Może skoro się okazało, że jesteś zdrowa i masz przed sobą długie życie, powinnaś je zacząć od nowa, bez balastu przeszłości?

Penny opuściła głowę. Myśl o długim, zdrowym życiu bez Bena... bez jego rodziny... wydała jej się nagle znacznie gorsza niż perspektywa rychłej śmierci.

- Pewnie znajdziesz go w sali gimnastycznej - powiedziała Chelsea. Sięgnęła do kieszeni i rzuciła na stół kluczyki. - Możesz wziąć mój samochód.

Penny skinęła głową i sięgnęła po kluczyki.

- Poczekaj - odezwała się Chelsea - chyba pamiętasz, jak się prowadzi samochód?

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Penny uśmiechnęła się.

- Przecież jakoś sobie poradziłam z tym skradzionym datsunem, prawda?

- O tak, udało ci się nawet przechytryć policję. Mam do ciebie wielką prośbę. Jeżeli zobaczysz za sobą pulsujące światła, powściągnij temperament i zjedź na bok.

- Obiecuję. Jesteś dla mnie taka dobra, Chelsea.

- Przecież należysz do rodziny. Nasi chłopcy szczycą się tym, że jeśli jakiś Brand jest w potrzebie, wszyscy mu pomogą. I odnosi się to również do ich żon. A teraz jedź już do tego twojego Bena.

Tak jak przewidywała Chelsea, Ben schronił się w sali gimnastycznej. Przed budynkiem stała jego furgonetka. Penny pomyślała, że już raz go tam wysledziła. Pamiętała też, że poprzedniego dnia była tu z nim i przyglądała się, jak ćwiczył z dziećmi. Jego niebieskie oczy promieniały wtedy radością.

Zaparkowała i wysiadła z wozu, a potem długo stała, patrząc na czerwone drzwi z wymalowanym smokiem. Czy ma wejść? Może okaże się to niewybaczalnym błędem? Pogwałceniem cudzej prywatności? A może... może powinna najpierw zajrzeć do środka, tak jak to zrobiła poprzednim razem? Może powinna sprawdzić, czy nie przerwie mu medytacji, zanim zakłóci spokój?

Wzięła głęboki oddech i pochyłona przemknęła wokół budynku, rozglądając się bacznie na wszystkie strony. Znowu czuła, że jest o krok od odzyskania pamięci. Skronie zaczęły jej pulsować znajomym bólem.

Była już kiedyś na tej uliczce za budynkiem. I to nie teraz, po powrocie, kiedy podglądała mężczyznę, który uważał ją za zmarłą, ale wcześniej. I nagle zwała się na nią fala wspomnień.

Tego dnia Ben zachowywał się bardzo dziwnie, a w końcu zapytał, czy może ją odprowadzić do domu.

- Przecież zawsze wracamy razem do domu - powiedziała. - Po co pytasz mnie o pozwolenie?

Ben wbił wzrok w swoje buty.

- Nie wiem.

Miał wtedy piętnaście lat, a jej podziw dla niego zmienił się w pełną adorację. Oczywiście nie przyznałaby się do tego za żadne skarby. Był jej przyjacielem, i tyle. Gdyby mu powiedziała, co do niego czuje, pewnie by ją wyśmiał.

Ben wziął jej książki.

- Po co to zrobiłeś? - zapytała, zaintrygowana. - Czy ty się dobrze czujesz?

- O tak, tak.

- Nigdy przedtem nie nosiłeś za mnie książek.

- Może teraz powinienem. - Wsunął pod pachę jej książki, po czym wziął ją niezgrabnie za rękę.

Zrobiła zdziwioną minę, zaskoczona, patrząc na ich splecione dłonie. Szli dalej, jakby nic się nie stało. Tylko Ben trzymał ją za rękę. Zamknęła oczy i modliła się w duchu, żeby ręka nie zaczęła jej się pocić! Wtedy Ben nigdy by już jej nie wziął za rękę.

Kiedy skręcili w małą uliczkę między sklepem spożywczym a starym magazynem, serce biło jej w szalonym tempie. Codziennie chodzili tędy na skróty, ale dzisiejszy dzień był zupełnie inny. Szli tylko we dwójkę.

A potem, pośrodku ciemnej uliczki, zatrzymali się i Ben odwrócił się do niej. Patrzyła na niego, przestraszona i podniecona. A on nachylił się, wciąż trzymając ją za rękę, i pocałował ją. To był taki niespieszny, delikatny pocałunek. Pomyślała z przerażeniem, że ma spierzchnięte wargi i może jej oddech nie pachnie zbyt świeżo... w chwilę później nie myślała już o niczym, tylko o jego ustach, które dotykały jej ust. Zamknęła oczy i pogrążyła się w uczuciu niewysłowionej błogości.

W pewnym momencie Ben uniósł głowę, chrząknął, spojrzał jej w oczy i powiedział: „Kocham cię, Penny Lane”.

- Och, Ben - wyszeptała Penny, gdy zblakło wspomnienie. Był to ich pierwszy niewinny pocałunek. I po raz pierwszy Ben powiedział, że ją kocha.

Ben nie miał racji, kiedy jej zarzucił, że nic do niego nie czuje. Im więcej sobie przypominała, tym uczucie to stawało się bardziej wyraziste.

Nie potrafiła powiedzieć, czy to miłość, czy tylko wspomnienie miłości? A może to jedno i to samo?

Musiała z nim porozmawiać, musiała to wyjaśnić.

Podeszła do okna, czując, że z jakiegoś niepojętego powodu chce go zobaczyć. Zajrzała do środka.

Ben stał na środku sali z piękną kobietą w ramionach. Tulili się do siebie tak namiętnie, jakby świat wokół nie istniał. Ben miał zamknięte oczy. Dopiero po chwili Penny rozpoznała jego partnerkę. Była to osoba, która podawała się za jej najlepszą przyjaciółkę - Kirsten Armstrong.

Widok tych dwojga, stopionych w uścisku, był takim ciosem dla Penny, że zatoczyła się aż do drzwi budynku po drugiej stronie uliczki. W pierwszej chwili, ogarnięta paniką, pomyślała, że nie powinna wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Przecież wiedziała lepiej, prawda? Ale z drugiej strony, długo jej nie było. Czy naprawdę wierzyła, że jej mąż żył przez ten czas jak mnich? Czy miała prawo tego od niego wymagać?

Najważniejsze pytanie brzmiało, czemu poczuła się tak, jakby ktoś wbił jej nóż w serce? Czemu nagle wydało jej się, że uszła z niej cała krew, zostawiając ją odrętwiałą i bez chęci do życia?

Czy to dlatego, że miłość do Bena to autentyczne uczucie, a nie tylko sentymentalne wspomnienie?

Jakie to wszystko skomplikowane! Jedno za to nie uległo wątpliwości - nie była tu osobą pożądaną. Przyjechała, bo martwiła się o Bena. Przekonała się na własne oczy, że Ben jest w dobrych rękach. Kirsten na pewno potrafi o niego zadbać.

Nareszcie doczekał się swojej szansy. Doktor Barlow nie wiedział, co Penny zdążyła powiedzieć Brandom o nim i klinice. To nie miało już żadnego znaczenia. Przeniósł pacjentów, zatrudnił personel i wybrał sobie nową tożsamość. Był doskonale

przygotowany do tego, by zacząć wszystko od nowa. W przeszłości coś podobnego również miało miejsce.

Niezachwianie wierzył, że nigdy nie wpadną na jego trop. Natomiast potrzebował Penny. I to rozpaczliwie! Była jego jedynym osiągnięciem po tylu latach studiów i badań.

Była jedyną pacjentką, która wyzdrowiała.

Musiał się dowiedzieć, dlaczego. Może kiedy wyjaśni Penny, że przy jej pomocy mógłby wyleczyć setki innych pacjentów, zgodzi się z nim wyjechać. Może zrozumie, że nie liczy się to, iż łamał prawo, stosował niedopuszczalne metody i okłamywał rodziny pacjentów. Liczy się tylko efekt końcowy - to, że wynalazł lekarstwo.

Obserwował ją od dłuższego czasu, szedł jej śladem, ale wszędzie towarzyszył jej ten jasnowłosy olbrzym. Aż do tego wieczora.

Zaczekał, aż wejdzie w uliczkę, i zakradł się do jej samochodu. Nacisnął klamkę tylnych drzwi, a kiedy odkrył, że są otwarte, uśmiechnął się pod nosem. Wślizgnął się do wozu, zamknął cicho za sobą drzwi, a potem wyciągnął się na tylnym siedzeniu i czekał.

ROZDZIAŁ 11

Kirsten póty tuliła się do Bena, póki nie obeschły jej łzy. Trwało to dość długo, ale dla Bena nie miało większego znaczenia. Podobnie jak Kirsten, musiał się teraz uporać się ze swoimi problemami. Choć, jak sądził, dręczące ją zmory były stokroć gorsze od tych, którego jego gnębiły.

W końcu odsunął ją od siebie i spojrzał jej w twarz.

- Nie podoba mi się to - powiedział. - Wcale mi się to nie podoba. Myślę, że powinniśmy powiedzieć o wszystkim Garrettowi...

- To moja sprawa. I zrobię, jak uważam. Musisz mi obiecać, że nie będziesz się do tego mieszał.

Ben widział w jej oczach determinację. Przed tą okropną sprawą była jego najlepszą przyjaciółką. Razem z Adamem i Penny stanowili przez wiele lat nierozłączną czwórkę.

- Gdyby Adam o tym wiedział... - zaczął.

- Adam nie może się nigdy o tym dowiedzieć. A poza tym teraz, gdy poznałam również i tę gorszą stronę jego charakteru, chyba jednak wolę być sama. Przecież on mnie nienawidzi, Ben. Więc to bez różnicy...

- Tyle że nie jesteś sama. Jesteś z tym...

- Jestem tam, gdzie muszę być. Obiecuj mi, że nikomu nie zdradzisz mojej tajemnicy. Powiedziałam to tylko tobie, bo... bo nie mogłam znaleźć sposobu, w jaki na mnie patrzyłeś. Chciałam, żebyś wiedział, co jeszcze złożyło się na moją decyzję, żeby zabrać stąd

Penny. Ona mogła dotrzeć do prawdy. Gdyby ci ludzie chcieli wykorzystać okazję, naprawdę by umarła. A choć wiedziałam, że tak czy owak wkrótce odejdzie, nie chciałam, żeby to odbyło się w taki sposób. Nie gwałtownie, za to w miarę komfortowo i godnie i w miejscu, gdzie będzie miała najlepszą opiekę... Tak wtedy sądziłam. Niestety, pomyliłam się, i za to proszę cię o wybaczenie. Ben skinął głową.

- Penny nie wiedziała, co jej grozi - powiedział cicho.

- Nie, nie wiedziała. Pojechała tam wyłącznie z jednego powodu - kochała cię ponad życie. Nie mogła znieść myśli, że będziesz patrzeć na jej powolną śmierć.

- Gdyby mnie kochała, wyznałaby mi prawdę. Wiedziałyby, że będę chciał być z nią aż do końca.

- Ben... Uniósł rękę.

- To sprawa między Penny a mną. A co do reszty tej okropnej historii, w którą się wplątałaś...

- To już nie potrwa długo. Zachowasz to w tajemnicy, dobrze?

Nie powiesz Adamowi, czemu go porzuciłam i dlaczego musiałam wyjść za Josepha Cowana?

- Masz przy sobie telefon komórkowy?

- Tak.

- Musisz mi obiecać, że w przypadku najmniejszych kłopotów natychmiast do mnie zadzwonisz.

- Obiecuję. - Kirsten skinęła głową.

W tej sytuacji, trochę wbrew sobie, Ben powiedział:

- Wobec tego nikomu o tym nie powiem... na razie.

- Dziękuję ci, Ben. - Długo patrzyła mu w twarz. - Tak mi przykro, naprawdę. Nigdy nie chciałam przysparzać wam dodatkowych cierpień. Wprost przeciwnie. Niestety, wszystko obróciło się przeciwko mnie.

- Wiem.

- A ty? Uporasz się z tą sytuacją? Odwrócił wzrok i wzruszył ramionami.

- Czas pokaże.

- Nadal ją kochasz?

- Gdybym jej nie kochał, nie przeżywałbym teraz tak bardzo tego, co się stało.

Kirsten pogłaskała go po głowie.

- Kiedy myślisz o swoim cierpieniu, pomyśl też o tym, co ona przeżyła. Przecież wyrzekła się wszystkiego - domu, rodziny, miłości. Tylko dlatego, że chciała ci oszczędzić bólu. -Umilkła, ale Ben także milczał, więc z westchnieniem dodała - Jakoś to przetrzymasz.

Pomyślał, że chciałby jak najszybciej mieć to za sobą. Był mu coraz ciężej na sercu. Głos rozsądku podpowiadał mu, że nie powinien mieć do Penny pretensji o coś, czego nie pamięta. Emocje jednak wzięły górę nad rozumem. Wyznania Kirsten także niczego nie zmieniły. Jak Penny mogła zrobić mu co takiego i oczekiwać, że uwierzy, iż zrobiła to dla jego dobra?

Zdradziła go, oszukała, okłamała i wtrąciła na dwa długie lata do piekła, gdzie cierpiał niewysłowione katusze. Noc po nocy przed jego

oczami rozgrywał się ten przerażający wypadek. Widział swoją piękną żonę, płonąca żywcem w stalowym potrzasku. Słyszał jej krzyk i bezradne bębnienie pięściami w szybę samochodu. A rozbudzona wyobraźnia podsuwała mi tysięczne warianty jej straszliwego końca. Widział, jak płoną jej włosy, jak topi się jej alabastrowa skóra, a łzy pod wpływem gorąca zmieniają się w obłoczki pary.

Tymczasem ciało znalezione w samochodzie należało do jakiejś obcej osoby. A kobieta, którą opłakiwał aż do szaleństwa, odleciała do Anglii i nawet się za siebie nie obejrzała.

Jak mógł się z czymś takim pogodzić?

„Sam sobie zadajesz tortury” - powiedziała mu Kirsten. „Musisz zapomnieć o przeszłości, odrzucić ją albo nigdy nie otrząsniesz się z bólu. „Tak jak ty to zrobiłaś?”. Przygryzła usta, łzy napłynęły jej do oczu i potoczyły się po policzkach. Ben tulił ją w ramionach, ale choć kochał Kirsten jak siostrę, żałował, że to nie własną żonę trzyma teraz w objęciach.

Penny otworzyła drzwi wozu, zdecydowana odjechać. W tym momencie ogarnęły ją wątpliwości. Co ma teraz począć? Uciec, pozwalając, by Kirsten została z Benem? Jęknęła z wściekłości i z furią zatrzaskała drzwi. O nie! Za nic w świecie!

Zawróciła i pomaszzerowała w stronę budynku. Tym razem nie traciła czasu na to, żeby podziwiać wymalowanego na drzwiach smoka. Nie myślała też o tym, jak bardzo kochał ją kiedyś jej mąż. Była zbyt wściekła, by zaprzętać sobie głowę takimi sprawami.

Otworzyła z rozmachem drzwi, zapaliła światło i patrzyła na osłupiałą parę. Drzwi zatrzasnęły się za jej plecami, a ich huk odbił się echem od ścian przestronnej sali.

W pierwszej chwili Ben i Kirseten zastygli bez ruchu, a potem gwałtownie odskoczyli od siebie. A kiedy zobaczyli kto to, zaczęli mówić jedno przez drugie.

- Oszczędźcie sobie trudu - powiedziała podniesionym głosem Penny, a gdy oboje zamilkli, ciągnęła: - Oto mąż, któremu podobno zламаłam serce, oraz moja najlepsza przyjaciółka, która jakoby modliła się o mój powrót. - Podeszła do nich, a jej kroki odbijały się echem w przestronnej sali.

- Penny, to nie tak, jak ci się wydaje - zaczął Ben. - Jeżeli myślisz, że coś jest między mną a Kirsten...

- Przecież widzę, że nic. Tylko parę namiętnych uścisków - rzuciła z ironią.

Ben podszedł do Penny, chwycił ją za ramiona i spojrzał jej w oczy.

- Nie bądź śmieszna!

- Jeżeli mnie już nie chcesz, Ben, trzeba mi było po prostu powiedzieć. Po co to całe przedstawienie, że ty jesteś ofiarą, a ja kłamliwą żoną, która cię skrzywdziła?

- To nie żadne przedstawienie. Wyrządziłaś mi krzywdę i dobrze o tym wiesz.

- Bzdura! - Szarpnęła się, ale palce Bena mocniej zacisnęły się na jej ramionach. - Wygląda na to, że wyświadczyłam ci wielką przysługę.

- Penny!

Nie zwracając na niego uwagi, spojrzała gniewnym wzrokiem na Kirsten.

- Przyznaj się, czy rzeczywiście chodziło ci o mnie? Czy może ułożyliście to między sobą, żeby się mnie pozbyć?

Kirsten zbladła i zwiesiła głowę.

- Penny... kochana - odparła ze smutkiem - przecież dobrze wiesz, że nigdy bym nie...

- Nic dziwnego, że nie chciałaś, żebym umierała powoli. Lepiej było pozbyć się mnie jak najprędzej.

- Nie - wyszeptala Kirsten, potrząsając głową - mylisz się. Nie masz racji.

- Czyżby?

- Przecież ty...

- Potrzebuję trochę pieniędzy.

Zszokowany Ben tylko zamrugał oczami. Kirsten patrzyła na Penny bez słowa.

- Adam mówi, że wyszłaś za jakiegoś milionera, Kirsten. Skoro chcesz mojego męża, ja też muszę coś z tego mieć. Potrzebuję pieniędzy, żebym mogła stąd wyjechać. I to na tyle daleko, by wam nie przeszkadzać. No, powiedz Benowi, ile jesteś gotowa dać mi za to, żeby się mnie pozbyć raz na zawsze?

Nagle Ben przytulił ją do siebie, ciasno opasując ramionami.

- Przestań, Penny. Przestań, na Boga! Nigdzie cię nie puszczę.

- To się jeszcze okaże.

- Penny!

- Ben, tylko mi nie mów, że mnie kochasz... Puścił ją z miną, jakby dała mu w twarz.

- Przyłapałam was na gorącym uczynku. I nie próbuj mi wmówić, że to z miłości do mnie. Jeżeli tak ma wyglądać twoja miłość, to ją sobie zachowaj. Ja jej nie potrzebuję.

Cofnęła się, a on spoglądał na nią w milczeniu.

- Wychodzę - cicho odezwała się Kirsten. - Nie jestem wam teraz potrzebna. Penny... - Patrzyła na nią przez chwilę, a potem potrząsnęła głową i westchnęła, poirytowana. - Niech cię, mylisz się. Jeżeli się nie opamiętasz, stracisz najlepszą rzecz, jaka ci się w życiu przytrafiła.— Minęła ich i wyszła z budynku.

Penny nie czuła już gniewu, tylko śmiertelne zmęczenie. Poszła do rogu sali i usiadła na macie. Nie chciała wychodzić. Chciała usłyszeć, jak Ben błaga ją, by została.

- To, co widziałas, nic nie znaczy.

- Tylko mi nie mów, że to nic nie znaczy. To ma być nic? Straciłam pamięć, a nie wzrok, Ben. A poza tym od chwili, gdy dowiedziałeś się prawdy, między nami wszystko skończone.

Ben przeszedł przez salę i stanął nad Penny.

- To się skończyło w chwili, kiedy zdecydowałaś się mnie okłamać.

Uniosła z wolną głowę.

- To nie ja. To kobieta, której nawet nie pamiętam. Obca mi osoba. To ona cię okłamała. Nie zapominaj o tym, Ben, że gdyby tego nie zrobiła, nie siedziałabym teraz przed tobą, żywa i zdrowa.

Ben zachnął się.

- Ale to i tak bez znaczenia. Nie potrafisz mnie kochać, bo nie jestem tamtą kobietą. Potrafisz mnie za to nienawidzić za jej winy.

Ben usiadł na macie.

- Jesteś tą samą kobietą. Zrozumiesz to, kiedy sobie wszystko przypomnisz.

- Może już nigdy sobie nie przypomnę. I prawdę mówiąc, wcale nie jestem pewna, czy chcę.

- Co?!

Penny powoli wstała i zaczęła nerwowo przemierzać salę.

- Tamta Penny wydaje mi się taka słaba. Dlaczego poddała się chorobie? Czemu uciekła? - Zatrzymała się przed Benem. - Ja bym czegoś takiego nie zrobiła. Kiedy tu wróciłam, myślałam. .. myślałam, że być może potrafisz się nauczyć... - Przesunęła ręką po włosach i odwróciła się. - Nawet nie chcesz poznać kobiety, jaką teraz jestem, prawda? Chcesz dostać z powrotem tę twoją cichą, chorą i bezwolną żonę. Przykro mi, Ben, ale ona już nie istnieje. I nie odnajdę jej w sobie, choćbym nie wiem jak się starała. Dlatego postanowiłam zrezygnować z dalszych poszukiwań.

Spojrzał na nią, jakby mówiła w jakimś obcym języku.

- Więc tobie się wydaje, że ja tego chcę.

- To tobie się wydaje, że tego chcesz. A skoro nie możesz tego mieć, weźmiesz Kirsten, bo ja jestem tylko nędzną imitacją tej świętej Penny, którą hołubisz w pamięci.

- Nie! - Wyciągnął ręce, ale Penny zrobiła unik i otarła z oczu łzy. - Posłuchaj mnie, Kirsten chciała mi tylko wytłumaczyć, czemu ci pomogła. Przecież jesteśmy przyjaciółmi. Prosiła mnie o przebaczenie, to wszystko.

- Tak? A czy jej wybaczyłeś?

Nie ruszając się z miejsca, skinął powoli głową.

- To czemu, na Boga, nie możesz mnie przebaczyć?

- Nie wiem.

Penny patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a potem odwróciła się i odeszła, połykając łzy. Wsiadła do samochodu, przekreśliła kluczyk w stacyjce i uruchomiła silnik.

Czuła, że powinna się poddać. Powinna wrócić na ranczo, zabrać swoje rzeczy i psa i uciec jak najdalej od tego upartego, jasnowłosego kowboja.

Zamknęła oczy i oparła czoło o kierownicę. Mimo woli przypomniała sobie radość, jaką przeżywali z Benem poprzedniego dnia. To podniecenie, ciepło i poczucie bliskości. I tę nieopisaną rozkosz, kiedy się kochali.

A ona nadal go kocha. Może i nie pamiętała tego, jak go kochała w przeszłości, ale to uczucie przetrwało w niej i było może nawet głębsze niż przedtem. Niestety, musiała z bólem stwierdzić, że on jej już nie kochał.

- Kiedyś potrafiłam sprawić, że się we mnie zakochał - szepnęła sama do siebie. I nagle przypomniała sobie, że przecież jest teraz silniejsza i bardziej niezależna. - O nie – powiedziała - nie zamierzam uciekać! Muszę doprowadzić do tego, że będzie widział mnie taką, jaka jestem, a nie taką, jaką byłam. Wracam na ranczo, żeby walczyć o męża.

- Nie, kochanie - dobiegł ją nagle przejmujący szept. Drgnęła i otworzyła usta do krzyku. We wstecznym lusterku zobaczyła jakiś ciemny kształt, a zimna ręka zamknęła jej usta.

- Obawiam się, że nastąpiła pewna zmiana planów. Nie wracasz już na ranczo, tylko jedziesz ze mną.

Szarpnęła się, spojrzała raz jeszcze w stronę sali i zobaczyła, jak otwierają się drzwi budynku. Jednocześnie poczuła na szyi ukłucie igły.

- Jedz - rozkazał szeptem Barlow - chyba że chcesz, żebym wcisnął tłok... zastrzyk zadziała szybko i będzie śmiertelny. Możesz mi wierzyć.

Zaciskając zęby aż do bólu, sparaliżowana strachem, wcisnęła pedał gazu.

- Penny! Penny! Zaczekaj!

Ben wyskoczył na dwór i zobaczył znikające światła wozu, którym właśnie odjechała Penny. Wygląda na to, że pożyczyła samochód od Chelsea. A niech to! Wszystko popsuł, ale przecież ona zraniła go tak głęboko, że wciąż nie mógł się pozbierać. Sam nie wiedział, czy powinien próbować jej wyjaśnić sprawę Kirsten, czy

przekonać ją, jak bardzo się myliła w swoich podejrzaniach. Ona zawsze zbyt pochopnie wyciągała wnioski. W tym przypadku bardziej niż kiedykolwiek nie miała racji.

Nie różniła się aż tak bardzo od tej Penny, za którą szalał przez całe życie. Ta sama odwaga, ten sam temperament, ten sam ogień w oczach, a do tego ta sama ciekawość i podejrzliwość - wszystkie te cechy i teraz w niej odnalazł. Zniknęły one wówczas, kiedy dowiedziała się o swojej chorobie. A jemu tak bardzo ich wtedy brakowało. Jeżeli Penny sądziła, że wolał tamtą chorą, pokonaną przez los istotę od tej pełnej życia kobiety, jaką stała się teraz, to naprawdę się myliła!

Pragnął jej. Takiej, jaka była w tej chwili - dziewczyny sprzed choroby. Pragnął także tej czystej, idealnej miłości, jaka stała się kiedyś ich udziałem. Miłości, w którą wierzył. Tymczasem ta miłość okazała się złudzeniem, ponieważ Penny go okłamała w tak perfidny sposób.

Chyba że to on się mylił i okazał się skończonym durniem.

Przecież zależało jej na nim. Nagle przyszło mu do głowy, że może jednak go kocha. Gdyby go nie kochała, nie zareagowałyby w tak gwałtowny sposób na widok jego i Kirsten.

Musi z nią porozmawiać. Powie jej wszystko. Jeszcze tej nocy. W końcu odjechała niecałą minutę temu, więc bez trudu ją dogoni. Odwrócił się, podbiegł do ciężarówki i stanął jak wryty, a ust wyrwało mu się głośne przekleństwo.

Jedna z przednich opon była zupełnie płaska.

- Zjedź na pobocze i zatrzymaj się - polecił doktor Barlow, a ponieważ koniuszek igły wciąż kłuł ją w szyję, posłusznie zahamowała. Barlow pokiwał głową. - Grzeczna dziewczynka - powiedział, po czym nacisnął tłok strzykawki.

Penny krzyknęła z przerażenia. Zimny płyn zaczął się rozchodzić po całym ciele. Ogarnęła ją fala dziwnej słabości, a kiedy Barlow wyciągnął igłę, nie potrafiła już nawet podnieść ręki, żeby dotknąć miejsca ukłucia.

Potem Barlow wysiadł z samochodu, otworzył drzwi i wywlókł ją na zewnątrz, a następnie przerzucił ją sobie przez ramię.

- Boisz się, Penny? Pewnie ci się wydaje, że umierasz?

- P... proszę - wyszeptała. Wokół świerszcze cykały jak oszalałe, a jej kręciło się w głowie. Barlow wszedł w pas wysokiej trawy na skraju drogi, a potem ukląkł i położył Penny na ziemi. Otaczające ją wysokie łodygi wydały się jej wielkie jak drzewa.

- Zapomniałaś już, jak to jest, kiedy się wie, że się umiera, Penny? A może znowu tego doświadczasz? To przerażające uczucie, prawda?

Ciemność otaczała ją ze wszystkich stron. Wydawało jej się, że jest w tunelu. Tylko czubki traw i gwiazdy widniały na czarnym niebie, dopóki on nie nachylił się nad nią, zasłaniając jej ten piękny widok.

- Z tym uczuciem strachu żyłaś, kiedy cię przyjąłem. To ja wyzwoliłem cię, wyleczyłem. Zwróciłem ci życie. Nikt inny nie

mógł tego zrobić. Jesteś moją dłużniczką. Wiesz o tym? Prawda? -
Chwyił ją za ramiona i mocno potrząsnął.

- T-ttak!

- Odwdzięczyłaś mi się w taki sposób, że uciekłaś. Zdradziłaś wszystkie moje tajemnice. Zmusiłaś do zamknięcia kliniki. Musiałem się ukrywać. Jak przestępca. Zasłużyłaś na śmierć. Zdajesz sobie z tego sprawę, Penny?

- Nie, proszę...

Puścił ją, a ona opadła na miękką trawę.

- Nie bój się. Okłamałem cię. To był tylko środek uspokajający. Nie umrzesz, Penny, pod jednym warunkiem. Musisz ze mną pojechać. Otwieram nową klinikę. A ty będziesz przedmiotem moich studiów. Źródłem moich badań.

Drżała ze strachu, ale brakowało jej siły, by unieść powieki. Dopiero słowa Barłowa sprawiły, że szeroko otworzyła oczy.

- Ja... ale...

- Widzę, że nadal nic nie rozumiesz. Jesteś jedyną osobą, jaka kiedykolwiek wyzdrowiała z HWS. Wynałazłem lekarstwo na tę chorobę, ale lekarstwo to tylko część kuracji. A reszta jest... ukryta. Zakodowana w twoich genach. - Uśmiechnął się, a jego twarz rozmyła się jej przed oczyma. - Dojdę do tego. Nawet gdybym musiał rozłożyć cię na kawałki.

Ogarnęło ją przerażenie. Znowu próbowała wzywać pomocy, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk..

Doktor Barłow zadarł głowę i spojrzał z uśmiechem w niebo.

- Tak jak ci to przyrzekłem, mamó - powiedział, po czym zwrócił się do Penny. - Teraz sobie odpocznij. Przyjadę po ciebie, jak tylko oddam samochód, który pożyczyłaś. Nie chcemy przecież martwić tych miłych Brandów, prawda?

Odsunął ją od drogi. Potem usłyszała szelest traw, gdy szedł do samochodu, a wreszcie warkot silnika. Barlow odjechał. Zobaczą go. Ktoś go zobaczy, kiedy będzie zostawiał samochód.

I wtedy się domyśla. A Ben... Ben pewnie jednak za nią pojechał. .. chyba że mu na niej nie zależy...

Nie, na pewno mu na niej zależy. Była o tym przekonana. Pewnie jest już w drodze. Musi mu pomóc, bo bez tego nigdy jej nie odnajdzie. Zostawi mu coś... jakiś znak...

Czuła, że za chwilę zaśnie. Zacisnęła mdlejącą rękę na pierwszej rzeczy, jaka jej przyszła do głowy - na zegarku, który dostała od Chelsea. Ostatkiem sił udało jej się go zdjąć. Rzuciła go na trawę w miejscu, gdzie leżała, i zaczęła się modlić, żeby Ben go znalazł.

Ben zajechał na farmę pół godziny później i z ulgą zauważył wóz Chelsea. Oznaczało to, że Penny bezpiecznie dotarła do domu. Postanowił natychmiast z nią porozmawiać. Nie wiedział jeszcze, co właściwie jej powiedzieć, ale czuł, że taka rozmowa jest im obojgu bardzo potrzebna.

Ciężko wzdychając, wszedł po schodkach na ganek i pchnął ażurowe drzwi. W domu było cicho i ciemno. Panował w nim niezmacony spokój jak zawsze, gdy wszyscy pogrążyli się we śnie, co

zresztą zdarzało się dość rzadko, bo zazwyczaj ktoś był jednak na nogach. Tym razem Ben odniósł wrażenie, że cały dom śpi.

Blue leżał wyciągnięty przed kominkiem, a obok niego spała Ollie, jak zwykle na wznak, ze sterczącymi do góry łapami. Ben uśmiechnął się. Przyszło mu do głowy, żeby zawołać Penny i pokazać jej psa, ale zaraz pomyślał, że póki nie wyjaśni sobie pewnych spraw, coś takiego w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Odwrócił się i ruszył na górę, żeby porozmawiać z żoną. Wtedy usłyszał trzask ażurowych drzwi i zatrzymał się. Garrett stanął w progu.

Ben skinął mu głową i znowu zaczął wchodzić po schodach.

- Zaczekaj, - Garrett wszedł do pokoju. Spojrzał w górę. - Muszę z tobą pogadać.

- A o czym? - zapytał Ben, któremu znacznie bardziej spieszyło się do rozmowy z Penny niż z bratem. Nie podobała mu się myśl, że Penny zaśnie z przeświadczeniem, iż wszystko między nimi skończone tylko dlatego, że sama tak powiedziała, a on głupi i rozżalony, nie zaprotestował. To, co jest między nimi, nigdy się nie skończy.

Garrett posłał bratu zniecierpliwione spojrzenie, zdjął kapelusz i skierował się do kuchni. Pod pachą niósł teczkę na dokumenty. Ben zrozumiał, że wszelka dyskusja jest bezcelowa. Musi to być coś istotnego, bo inaczej Garrett nie wracałby tak późno. Od jakiegoś czasu - a konkretnie odkąd ożenił się z Chelsea - trzeba było naprawdę poważnych spraw, żeby zatrzymać go w pracy po godzinach.

Ben zszedł na dół i skierował się za bratem do kuchni, gdzie nie wyciągnął sobie krzesła, tylko oparł się o blat. Garrett rzucił teczkę na stół. A potem powiesił kapelusz na oparciu krzesła i usiadł.

- Będziesz chciał to zobaczyć. Ben nie ruszył się z miejsca.

- Co to takiego?

- Informacje na temat tego doktora Barlowa. Okazało się, że to nie jest żaden lekarz. A przynajmniej już nie.

Ben wyprostował się.

- Co to znaczy, już nie?

- Pięć lat temu stracił licencję.

- Co? - Ben rzucił się do stołu, chwycił teczkę i zaczął przeglądać jej zawartość. - Gdzie to jest napisane, Garrett? A tak w ogóle, skąd to masz?

Garrett łagodnie wyjął mu z rąk teczkę i ją zamknął.

- Usiądź, Ben. Nie ma sensu tłumaczyć języka prawniczego na angielski. Pozwól, że przekażę ci to w bardziej strawnej formie, dobrze?

- Słucham. Garrett skinął głową.

- Wobec tego zacznijmy od początku. Prawdziwe nazwisko Gregory'ego Barlowa brzmi Barton. To bardzo zdolny facet. Może nawet geniusz. Jedynek niezameężnej matki, ukończył średnią szkołę trzy lata przed czasem i mając szesnaście lat, rozpoczął studia. Na medycynie był prymusem, mimo iż najmłodszy. W tym czasie u jego matki odkryto HWS, tę samą chorobę, na którą zapadła Penny.

Ben wychylił się do przodu.

- I co?

- Bez trudu można się domyślić, że był zdruzgotany. Darzył matkę bezgraniczną miłością i nie mógł pogodzić się z wyrokiem losu. W tej sytuacji poświęcił się badaniom nad HWS i podejrzewam, że miał nadzieję, iż uda mu się znaleźć jakieś lekarstwo dla matki, zanim będzie za późno.

- Ale mu się nie udało?

Garrett ze smutkiem pokiwał głową. Wziął teczkę i zastukał nią o stół.

- Mam tu dokumentację prac Barlowa, obejmującą ponad dwa lata. Pracował po kilkanaście godzin na dobę. A im bardziej pogarszał się stan jego matki, tym ciężiej on pracował. Potem skończyły się fundusze i prace stanęły. Przynajmniej oficjalnie. Wygląda na to, że Barlow kontynuował badania na swój własny rachunek. - Garrett znowu otworzył teczkę i położył ją na stole. - W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku wystąpił z petycją do rządu o pozwolenie na kliniczne przetestowanie kilku nowych, opracowanych przez siebie leków, ale nie otrzymał zgody. Rząd brytyjski uznał, że jeszcze za wcześnie, żeby rozpocząć eksperymenty na pacjentach. Matka Barlowa zmarła niecałe pół roku później.

Ben westchnął.

- Mówisz to tak, jakby ci było żal tego faceta.

- Obaj dobrze wiemy, jak to jest stracić matkę - przypomniał Garrett.

- Tak, a dzięki Barlowowi wiem też, jak to jest stracić żonę.

- Ben odsunął z hałasem krzesło, wstał od stołu i podszedł do okna. - Resztę mogę sam odgadnąć.

- Pewnie tak - powiedział Garrett. - W każdym razie, Barlow dalej prowadził kliniczne testy, tyle że potajemnie. Otworzył hospicjum dla chorych z HWS. Chorzy zgłaszali się do niego, myśląc, że będą mieli zapewnioną opiekę aż do końca. Tymczasem Barlow, zamiast się nimi opiekować, przeprowadzał na nich swoje eksperymenty. Dawał im zastrzyki zawierające opracowany przez siebie lek. Kiedy wpadł, zamknął klinikę i zniknął. Potem okazało się, że otworzył nową klinikę pod zmienionym nazwiskiem. A gdy i tą się zainteresowano, znowu się ulotnił.

Ben z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Facet jest chyba niezrównoważony, prawda?

- Całkiem prawdopodobna teoria. Aha, jeszcze jedno.

- Garrett nachylił się - Penny miała rację co do Michele Kudrow.

- Tej pielęgniarki? Garrett skinął głową.

- Sekcja wykazała obecność narkotyków. Miała ich takie stężenie we krwi, że prawdopodobnie była nieświadoma tego, co robi, kiedy podcinała sobie żyły.

Ben poczuł, że cała krew odpływa mu z twarzy. Wszyscy tak lekceważąco potraktowali podejrzenia Penny, jak zwykle. Ale tym razem...

- O Boże-wyszeptał.

- Wiem. Penny jest bezpieczna, nikt jej tu nie znajdzie.

- Trzeba złapać tego faceta, Garrett.

- Złapiemy go, bądź pewny. A ty masz nie spuszczać z niej oka.

Zrozumiano?

- Możecie na mnie polegać.

Obaj bracia przeszli przez salon i Ben skierował się na górę. Kiedy mijali śpiące psy, Ben z sympatią popatrzył na Ollie. Nagle zatrzymał się w pół kroku.

- Czemu Ollie śpi na dole?

Garrett wzruszył ramionami, a potem zmarszczył czoło.

- Ollie zawsze śpi z Penny. Jak tylko Penny kładzie się do łóżka, ten pies...

- A niech to!

Ben ruszył na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Wpadł jak burza do sypialni i już od progu zobaczył, że łóżko jest puste i wciąż pościelone. Rzucił się do łazienki - pusta. Za plecami usłyszał głos Garretta:

- W pokoju Jessi też jej nie ma.

Wrócili na korytarz i zastukali do drzwi Adama, a potem do Elliota.

- Nic nie rozumiem - rzekł Ben, kiedy rozbudzeni bracia wyszli na korytarz. - Samochód stoi przed domem, a jej nie ma. Przecież musiała wrócić.

- Co się dzieje? - zapytał Elliot.

- Coś się stało Penny, prawda? - zapytał Adam, a kiedy Ben skinął głową, z głośnym przekleństwem skoczył do pokoju, żeby coś na siebie narzucić.

- Leć i sprawdź samochód, a my dołączymy do ciebie przed domem - poleciał Garrett i już zbiegał na dół po schodach. Po drodze wyjął z kieszeni klucze i zabrał broń z szafki w salonie.

Ben wybiegł na dwór. Wokół panowały ciemności. Zaczął głośno wołać Penny, ale odpowiedziało mu tylko ciche echo, przyniesione przez wiatr. Adam dogonił go, zanim zdążył dojść do samochodu. Koszula wystawała mu ze spodni, miał też rozpięty pasek.

- Wszystko w porządku?

Ben potrząsnął głową i otworzył drzwi wozu.

- Była wściekła - mruknął, na poły do siebie, zaglądając do środka i zapalając górną lampkę. - Zobaczyła mnie z Kirsten w sali gimnastycznej i...

Adam zacisnął rękę na ramieniu Bena i wywłókł go na zewnątrz z takim impetem, że Ben odwrócił się i wyrznął plecami o karoserię.

- Co tam robiliście?

- A jak myślisz?!

Adam poczerwieniał, spojrzał na Bena i szarpnął go za kołnierzyk koszuli.

- Jeżeli ty...

Ben spojrzał na Adama, a potem na jego rękę.

- Chyba sam wiesz najlepiej. Przecież jestem twoim bratem. Adam osłupiał, a potem nagle się zawstydził. Puścił Bena i zwiesił głowę.

- Przepraszam cię. Masz rację. Sam nie wiem, co się ze mną dzieje.

- A ja wiem - powiedział Ben. - Muszę szukać żony, więc porozmawiamy później. - Odwrócił się i znowu zajrzał do samochodu.

- Więc Kirsten przysłała do ciebie, a Penny zobaczyła was razem i wyciągnęła niewłaściwe wnioski - powoli powiedział Adam. - Myślisz, że to dlatego wyjechała?

Nagle Ben znieruchomiał. Na tapicerce zagłówka dostrzegł drobniutkie plamki. Dotknął ich czubkiem palca i odkrył, że są jeszcze mokre.

- Nie - powiedział cicho. - Myślę, że nie dlatego wyjechała.

- Wyprostował się i stanął oko w oko z bratem. - W samochodzie są ślady krwi.

Adam zaklął i nachylił się, żeby zajrzeć do wnętrza. Ben poczuł, że kręci mu się w głowie.

- Nie mógł jej zabrać daleko - powiedział. - Byłbym ich dogonił, gdyby nie to przekłete koło... O Boże - mruknął -przecież to nie był przypadek! To niemożliwe!

- Miał więc dość czasu - stwierdził Adam, który wciąż przeszukiwał wnętrze. - Mógł tu podrzucić wóz i zabrać ją gdzie indziej. Wszyscy pewnie spali... - Przesiadł się na tylne siedzenie. - A może najpierw ją gdzieś podrzucił, a potem zostawił tu wóz - powiedział i wysiadł.

- Przecież by uciekła.

- Może nie. - Adam pokazał mu strzykawkę, którą znalazł na tylnym siedzeniu.

Bena ogarnął strach.

- Chyba nie zrobi jej nic złego? Jak mógłby ją skrzywdzić, skoro ocalił jej życie? Przecież ją wyleczył. Po co miałby jej teraz szkodzić?

- Powtarzał to w kółko, ale przed oczyma miał martwą Michele

Kudrow, brutalnie zamordowaną we własnym mieszkaniu. A

wewnętrzny głos podpowiadał mu, że Penny jest w

niebezpieczeństwie. Obiecał jej, że zawsze będzie jej bronił. I po raz

kolejny sprawy wymknęły mu się z rąk.

- Nie - wyszeptał. - Nie teraz.

ROZDZIAŁ 12

Penny powoli otworzyła oczy i w tej sekundzie umysł spletał jej najdziwniejszego figla - wydało jej się, że dopiero teraz obudziła się ze śpiączki, a wszystko, co się jej poprzednio wydarzyło, to był tylko sen.

Z drugiej strony, gdyby rzeczywiście tak się rzeczy miały, nie wiedziałyby, że była w śpiączce.

Czuła się zupełnie zdezorientowana, a wszystko wokół było dziwnie zamazane. Doznawała dziwnie euforycznego stanu, jakby była wstawiona. Chciało jej się jednocześnie śmiać i płakać. A potem pomyślała o Benie i zrobiło jej się smutno, więc się rozpłakała. Ben jej nie kocha. Nie przyjechał po nią. Miała nadzieję, że to zrobi i gorzko się zawiodła.

Nie. To niemożliwe. Pewnie nie przyjechał, bo nie mógł. O Boże! Może to Barlow coś mu zrobił?

- No, no, chyba nie jest tak źle.

Głos Barlowa dochodził gdzieś z tego... pokoju...? Dopiero wtedy zaczęła się zastanawiać, gdzie się znalazła. Na dźwięk tego głosu natychmiast przestała płakać. Próbowwała rozejrzeć się wokół i przekonać, gdzie Barlow ją ukrył. Nie na wiele się to zdało. Była w zupełnie nie znanym sobie miejscu. Co się z nią stanie? Czy Ben zdoła ją tu odszukać?

Mężczyzna z jej koszmarów siedział na krześle naprzeciwko łóżka i patrzył na nią.

- Widzę, że dochodzisz do siebie. Zamrugła oczami.

- Uśpił mnie pan i porwał!

- Tak, ale zapewniam cię, że to była przykra konieczność. Teraz nie musisz się już niczego obawiać. Te niemiłe przeżycia wkrótce odejdą w przeszłość. Nie będziesz tego pamiętać.

Usiadła, walcząc z obezwładniającą słabością.

- Niech mnie pan wypuści, panie doktorze, proszę.

- Ile im powiedziałaś, Penny? - Podniósł się i podszedł do łóżka.

- Zresztą to i tak nie ma znaczenia, bo znowu należysz do mnie.

Nawet gdyby się domyślili, kto cię porwał i dlaczego, i tak cię nie znajdą. - Poprawił plastikowy worek zawieszony na stojaku, a Penny z przerażeniem zauważyła, że koniec cienkiej rurki, biegnącej od worka, znika w jej ramieniu.

- Co... co to jest?

- Płyn fizjologiczny - wyjaśnił ze spokojem. - Zupełnie nieszkodliwy. Tylko po to, żeby cię przygotować na przyjęcie senitratu. Wstrzyknę ci go do kroplówki, jak tylko mi go dostarczą, a wtedy staniesz się uległa i przestaniesz walczyć. Musiałem sprowadzić ten lek aż z Londynu, wiesz? Ale będę go miał jeszcze dziś po południu i wtedy możemy ruszać w drogę.

Pokręciła głową.

- Nie rozumiem. Co to jest, ten... senitrat? Czemu chce mi pan go zaaplikować?

Doktor Barlow zmierzył ją surowym wzrokiem.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie, Penny. A musisz.

Wkrótce nie będziesz już pamiętać, co powiedziałaś tym Brandon.

Lepiej powiedz mi teraz. Co oni wiedzą?

- Nic! - wybuchnęła. - Próbowali się dowiedzieć, gdzie byłam i po co, ale... ale nie mogłam sobie przypomnieć, więc...

Barlow potrząsnął głową.

- Kłamiesz.

- Nie, mówię prawdę. - Uniosła się na łóżku. - Czemu nie może mnie pan wypuścić? Nic nikomu nie powiem ani o panu, ani o tym, co pan robi. Przysięgam...

- Środek uspokajający przestaje działać, prawda? Tak być nie może. - Z przepastnej kieszeni wyjął nową strzykawkę.

- Nie! - Szarpnęła się, ale on chwycił ją za ramię i wbił w nie igłę. Wydała krótki okrzyk, ale ból szybko zniknął, a wraz z nim świadomość. Usłyszała jeszcze, jak Barlow mówi sam do siebie:

- To nie jest takie dobre jak senitrat, ale musi na razie wystarczyć.

Deszcz zaczął padać koło czwartej nad ranem. Przychodził gwałtownymi falami i wprawiał Bena w jeszcze gorszy nastrój. Stracił Penny. I to po raz drugi.

A nawet gorzej - pozwolił na to, by opuściła z gniewem salę gimnastyczną i nawet go nie wysłuchała. To niedopuszczalne. Znajdzie ją, bez względu na okoliczności.

Jego koń był równie przemoczony jak on sam, ale Ben ignorował to i jadąc między Jessi a Adamem, szukał jakichś śladów

prowadzących do Penny. W którymś momencie natrafili na porośniętą wysoką trawą kawałek ziemi przy głównej drodze.

- To tutaj - powiedział głośno Ben, starając się przekrzyczeć wiatr. - Ktoś z okolicznych mieszkańców powiedział Garrettowi, że ubiegłej nocy widział tu samochód parkujący przez kilka minut. To mógł być Barlow z Penny.

- Czy to wszystko, co mamy? - zapytał Adam, owijając się szczelniej peleryną. - Nie bardzo mogę uwierzyć, że nikt nie spostrzegł nic bardziej konkretnego!

- Garrett rozesłał strażników po całym mieście. Wypytują ludzi - dodał Ben, rozumiejąc przygnębienie brata. Jeżeli Adam myślał, że Ben się niepokoił, to się grubo mylił. Ben znalazł się na granicy paniki. - Chłopcy robią, co mogą - powiedział, aby samego siebie podnieść na duchu.

Jessi zsunęła się z konia i przyklękła na mokrej trawie. Ben i Adam spojrzeli na nią, a potem na siebie. Wiedzieli, że jeżeli ktoś zostawił jakieś ślady, Jessi na pewno je znajdzie. Zsiedli z koni i posuwając się na czworakach, zaczęli oglądać ten kawałek ziemi, centymetr po centymetrze.

- Tutaj! Szybko! - krzyknęła Jessi.

Serce podskoczyło Benowi do gardła. Przez chwilę wydawało mu się, że kiedy podbiegnie do Jessi, ujrzy leżące na trawie zwłoki żony. Ale niczego takiego nie zobaczył. Prawdę mówiąc, po ciemku w ogóle niewiele mógł dostrzec.

- Widzicie? Tutaj zszedł z głównej drogi.

Ben ukląkł i spojrzał w stronę, w którą wskazywała Jessi. Ślady w trawie były coraz bardziej wyraźne i tworzyły ścieżkę. Odwrócił się. Jessi ruszyła po śladach.

- Wygląda mi na to, że szła tędy tylko jedna osoba - powiedziała
- Może to nie oni... - Urwała i zatrzymała się.

Ben dogonił ją i zrozumiał, dlaczego. Trawa w tym miejscu wyglądała tak, jakby ktoś na niej leżał.

W jego umyśle zrodziło się straszliwe podejrzenie, ale nie mógł w nie uwierzyć.

- To mogła być sarna - powiedział bez przekonania. - Albo para... zrobiły tu sobie legowisko na noc, i tyle.

Jessi przykucnęła.

- Według mnie, ten facet zostawił tu Penny i odjechał, a potem wrócił i zabrał ją w jakieś inne miejsce.

- Wtedy właśnie zwrócił samochód - domyślił się Adam i ze współczuciem spojrzał na Bena. - Musiał jej podać jakieś środki nasenne. Ta igła, którą znaleźliśmy...

- Nie ma żadnej pewności, że to nie są tropy zwierząt!

- Ben zamknął oczy. Nie chciał myśleć o Penny, bezradnej w rękach szaleńca. Samotnej. A przecież obiecał jej, że będzie ją chronił!

- Ben...

Spojrzał w dół. Jessi trzymała w ręku mały zegarek. Pokręcił głową.

- To nie jej...

- To zegarek Penny - zapewniła cicho Jessi i podniosła się z klęczek. - Chelsea podarowała jej go na urodziny. Nie mam wątpliwości, bo sama pomagałam go wybrać.

- Cała Penny. Przecież ona zostawia nam wskazówki, nie widzisz tego, Ben? Nie było z nią aż tak źle, skoro miała jeszcze na tyle przytomności umysłu, żeby zostawić zegarek.

Ben opuścił głowę.

- Nie powinienem puszczać jej samej. Dlaczego pozwoliłem jej wyjść? Mogłem ją zatrzymać. Byłem taki skupiony na sobie, że nie pomyślałem o tym. Naraziłem ją na wielkie niebezpieczeństwo. A potem jeszcze ta opona.

- Wszyscy wiemy, że to nie przypadek - powiedział cicho Adam. - Facet wszystko starannie zaplanował. Zostawił Penny tutaj, po czym odstawił pod dom wóz Chelsea, pewnie z nadzieją, że dopiero rano odkryjemy, iż Penny nie ma. A później wrócił tu i... - Adam urwał, marszcząc brwi.

- Musiał być jeszcze jeden samochód - odezwała się Jessi.

- Pewnie ulokował go gdzieś pomiędzy tym miejscem a ranczem. - Spojrzała na ciężkie deszczowe chmury i z powątpiewaniem westchnęła. - Nawet jeżeli zostały jeszcze jakieś ślady, to nie na długo. Jedźmy!

- Znaleźliście coś? - rozległ się głos Garretta. Jessi skinęła głową.

- Jej zegarek - powiedziała, unosząc rękę.

Garrett wziął go i zaczął oglądać.

- Jessi, Adam, pokażcie mi, gdzie znaleźliście zegarek, a Ben niech w tym czasie porozmawia z doktorem.

Jessi skinęła głową. Ben spojrział na przemoczonego, dygoczącego z zimna starszego pana i otworzył drzwi szoferki.

- Niech pan wsiada, doktorze. Porozmawiamy w lepszych warunkach.

Doktor przytaknął i szybko wspiał się do środka, otrzepując parasol. Kiedy Ben usiadł obok niego, a ogrzewanie zostało włączone na cały regulator, doktor powiedział:

- Ben, mam wyniki badania krwi Penny. Ben wyprostował się i spojrział mu w oczy.

- HWS?

- Ani śladu! Została wyleczona, przyjacielu. To istny cud. Ten doktor Barlow... to geniusz!

- Ale i przestępca - dorzucił Ben.

- Wiem. - Doktor pochylił głowę. - Tak też przypuszczałem, i to zanim Garrett powiedział mi o zniknięciu Penny. Poza tym badanie krwi wykazało coś jeszcze. Miałem pewne podejrzenia, kiedy Penny opowiadała mi o tych swoich bólach głowy. Ale musiałem się upewnić...

- Co do czego? - zapytał Ben. Patrzył doktorowi w twarz, a w duchu drżał, że usłyszy niepomyślną wiadomość.

- We krwi Penny wykryto obecność środka, zwanego senitratem. Ten specyfik został już wycofany w większości krajów. Pisały o tym

wszystkie czasopisma lekarskie, i to niezbyt dawno temu. Środek ten stosowały rządy niektórych krajów do celów wojskowych.

Ben słuchał go, marszcząc czoło.

- Co to za lekarstwo? Na HWS?

- Nie. - Doktor potrząsnął głową. - Nadal nie wiem, jak Barlow poradził sobie z HWS. Senitrat powoduje amnezję. Podany w odpowiednio dużych dawkach może spowodować nieodwracalne skutki.

Ben jęknął, jakby dostał cios między oczy.

- Chce pan powiedzieć, że ten bydlak celowo pozbawił Penny pamięci?

Doktor pokiwał głową.

- Nie wątpię w to, że zaczął ją faszerować senitratem, jak tylko obudziła się ze śpiączki. Gdyby pamiętała ciebie, Ben, nigdy by u niego nie została. Jeżeli Penny jest jedną z nielicznych, a może nawet jedyną pacjentką, którą udało mu się wyleczyć, będzie próbował ją zatrzymać. Żeby nadal prowadzić na niej swoje badania.

- Prowadzić na niej badania? Doktorze! Przecież to moja żona, a nie królik doświadczalny!

Doktor poklepał go ze współczuciem po ramieniu.

- Wiem, wiem. Mówię ci tylko to, czego się dowiedziałem. A poza tym, jeżeli on ma ją teraz w swoich rękach i ma dostęp do senitratu... - Odwrócił wzrok.

Ben chwycił go za ramię.

- Czy to znaczy, że mógłby na nowo pozbawić ją pamięci?

Starszy pan pokiwał głową.

- Obawiam się, że tak.

- Nie! - Ben zaczął bębnić pięściami w kierownicę. - Nie! Do cholery! - Otworzył drzwi, wyskoczył z szoferki i tak długo biegł przed siebie błotnistą drogą, w strugach deszczu, póki mu nie zabrakło tchu. Wtedy przystanął, zaczerpnął powietrza i zaczął krzyczeć imię żony wprost w ołowiane niebo, jakby się spodziewał, że usłyszy go sam Najwyższy. Wreszcie osunął się na kolana, zwiesił głowę i wyszeptał:

- Penny, Penny, gdzie jesteś? Ciężka ręka spoczęła na ramieniu Bena.

- Doktor opowiedział mi wszystko o tym... narkotyku -; rzekł Garrett.

Ben spojrzał na brata.

- Nie mogę jej znowu utracić. Rozumiesz, Garrett? Nie mogę!

- Nie dopuścimy do tego.

Ben wbił wzrok w ziemię i z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Przecież nawet nie mamy pojęcia, w którą stronę pojechali. W tej chwili mogą już być Bóg wie gdzie.

- Penny potrafi nieźle zająć za skórę, kiedy ktoś ją zdenerwuje - pocieszał Garrett. Podał Benowi rękę i pomógł mu wstać. - Albo przynajmniej potrafiła. Odniosłem wrażenie, że przypomina teraz tamtą Penny z młodości, a nie kobietę, którą stała się później. Jestem

pewny, że nie uda mu się wywieźć jej potajemnie. Zobaczycie, że będzie nam zostawiała ślady.

- Wiem, choć nie od razu zdałem sobie z tego sprawę...

Obchodziłem się z nią jak z tamtą bezradną, chorą osobą, którą utraciłem. A przecież to już zupełnie inna kobieta - energiczna, pełna życia.

- O tak. Niezłe ziółko. Ben błado się uśmiechnął.

- To dlatego ten szaleniec daje jej zastrzyki, żeby ją spacyfikować.

- Tak. Ale nie tylko szarpanie się z kimś w miejscu publicznym zwraca uwagę, poruszanie się z półprzytomną kobietą również. Nie mam racji? Nie mówiąc już o próbie przemycenia jej na pokład samolotu.

Ben spojrzał pytającym wzrokiem na Garretta.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Myślę, że Barlow nie odważy się ryzykować. Nie wtedy, gdy ma dostęp do tego senitratu, o którym mówił doktor. Według mnie, ukrył ją gdzieś w pobliżu i nafaszerował środkiem nasennym, a kiedy dostanie ten swój lek, spróbuje znowu wymazać jej wszystko z pamięci. A potem będzie mógł wcisnąć Penny jakiś kit, a ona pewnie mu uwierzy i dobrowolnie z nim pojedzie. Żadnych awantur, żadnego rozgłosu.

Ben słuchał go uważnie, chciał w słowach Garretta doszukać się choć wątej nadziei, której mógłby się uchwycić.

- To dość nieprawdopodobna teoria. Sam mógłbym ci podać z tuzin innych, włącznie z tą, że Penny została uprowadzona przez kosmitów.

- Mam takie przeczucia - powiedział Garrett. Ben pokręcił głową.

- A jakie to ma znaczenie? Nadal nie wiemy, gdzie ją ukrył. A poza tym, może ma przy sobie ten... senitrat i już jej go podał?

- Może, ale szczerze mówiąc, nie wierzę w to, żeby ryzykował szmugiel zakazanych lekarstw. Po co miałby to robić? Przecież nawet nie wiedział, czy ona tu jest, czy nie.

Ben nagle się ożywił.

- Jeżeli nie przywiózł ze sobą tego środka, to musi go sprowadzić.

- Oczywiście. A nie będzie ściągał przesyłki na adres, pod którym się zatrzymał, na wypadek gdyby odkryto jej zawartość.

- Więc podał... co? Numer skrytki pocztowej?

- Tak. I fałszywe nazwisko. Strażnicy sprawdzają już skrytki na wszystkich pocztach w trzech hrabstwach, Ben. Każda podejrzana przesyłka z zagranicy na numer skrytki, która od niedawna ma nowego właściciela, zostanie otwarta.

- A jeżeli znajdziecie ten senitrat?

- Włożymy go z powrotem do skrytki i będziemy czekać. Kiedy Barlow zgłosi się po przesyłkę, będziemy go śledzić, aż dotrzemy do miejsca, w którym ukrył Penny.

- To bardzo skomplikowane — powiedział Ben z ciężkim westchnieniem.

- To nie jest jedyny pomysł, jak mam w odwodzie. Chłopcy dostali zdjęcia Penny i sprawdzają wszystkie motele, zajazdy i pensjonaty. Jednak uważam, że ten senitrat to nasz najlepszy trop.

Ben pokiwał głową.

- Mam nadzieję. Musimy ją znaleźć, Garrett. Nie można dopuścić do tego, żeby Barlow znowu podał jej ten przeklęty środek. - Ben przygryzł wargi, bo poczuł, że zaczynają mu drżeć.

- Wiem, Ben - westchnął Garrett - wiem.

Penny na przemian to się budziła, to znowu zapadała w narkotyczny sen. Za każdym razem gdy się budziła, Barlow dawał jej kolejny zastrzyk. W końcu postanowiła udawać, że śpi i tylko się w duchu modliła, żeby mogła to zapamiętać, gdy się znowu obudzi.

I udało się. Następnym razem, gdy odzyskała przytomność, jakiś wewnętrzny głos nakazał jej leżeć spokojnie. Posłuchała go, choć nie od razu potrafiła sobie przypomnieć, czemu miałyby to zrobić. Uniosła powieki. Znajdowali się w nie znanym jej pokoju. Barlow spał na drugim łóżku. Pewnie byli w jakimś hotelu. Spróbowała usiąść, ale jej się to nie udało. A niech to! Barlow spał, więc miała wymarzoną okazję na próbę ucieczki.

Ale nie potrafiła się podnieść. Musiała poczekać, aż znowu nabierze sił. A tymczasem...

Ostrożnie sięgnęła do nocnego stolika. Jeżeli są w hotelu, to powinny tam leżeć notes i długopis. Tak. są. Obie rzeczy. Bezszelestnie przysunęła je do siebie.

Doktor Barlow wciąż jej powtarza, że wkrótce znowu wszystko zapomni. Jeżeli to prawda... było kilka myśli, które chciała przenieść na papier... rzeczy, które pragnęła zapamiętać. Więc zaczęła pisać po ciemku, drżącą, osłabłą ręką. Pisała o sprawach, które stały się dla niej najważniejsze, i modliła się o to, by mogła przeczytać te notatki, gdy znowu straci pamięć.

Pisała nie więcej niż godzinę, kiedy Barlow zaczął się kręcić na łóżku. Musiała się pospieszyć! Wsunęła notatnik pod materac i zastygła bez ruchu.

Całkiem niepotrzebnie, bo Barlow spojrzał na zegarek i znowu zrobił jej zastrzyk. Ale i tak udało jej się go oszukać. Jeżeli aplikował jej zastrzyki w regularnych odstępach czasu, to by znaczyło, że zdąży się obudzić przed kolejną iniekcją.

Więc może następnym razem nadarzy się lepsza okazja ucieczki.

Obudziła się - jak podejrzewała - dopiero po wielu godzinach. Promienie słońca wpadały przez okno i świeciły jej w twarz. Spojrzała przez zmrużone powieki, próbując się rozejrzeć, nie poruszając przy tym głową. Słyszała, że Barlow kręci się po pokoju. Nalewał coś do szklanki i pił. Odgłos przełykania uświadomił jej, że gardło ma boleśnie wyschnięte. Postanowiła nie zwracać na to uwagi. Kiedy usłyszała zbliżające się kroki, znowu zamknęła oczy.

- Jak się miewa nasza pacjentka? - Barlow wziął ją za rękę i zmierzył jej puls. Pamiętając o tym, że musi się mieć na baczności, pozwoliła, by ręka bezwładnie opadła na łóżko. - W porządku. Masz szczęście, moja droga. Zaraz dostaniesz twój senitrat. Powinni mi go dostarczyć poleconą przesyłką, w samo południe. - Poklepał ją po policzku, pewnie po to, żeby się upewnić, że nadal jest nieprzytomna. Nawet nie drgnęła. - To już nie potrwa długo - mówił dalej Barlow. - A ponieważ odniosłem wrażenie, że bardzo przywiązałaś się do męża, którego nawet nie pamiętałaś, podjąłem decyzję, że kiedy znowu pozbawię cię pamięci, powiem ci, że jesteś moją żoną. Zostaniesz wtedy ze mną, prawda, Penny? - Śmiejąc się, podszedł do drzwi. - Pomyśl tylko, mogę ci stworzyć nowe życie, a ty uwierzysz w nie bez zastrzeżeń. Ach, czemu wcześniej nie przyszło mi to do głowy?

Drzwi otworzyły się, a potem zamknęły. Penny leżała bez ruchu, nasłuchując. Słyszała oddech Barlowa. Stary numer. Znała go z książek, więc nadal leżała jak bezwładna kukła. Drzwi zamknęły się po raz drugi, Tym razem naprawdę.

Otworzyła oczy, żeby się upewnić. A potem usiadła, mimo iż czuła się bardzo słaba i kręciło jej się w głowie. Była absolutnie zdecydowana podjąć próbę ucieczki. Barlow to szaleniec, nie może pozwolić, by zrobił z niej bezwolną kukłę; nie może zaprzepaścić tego, co już osiągnęła. Tęskniła za mężem, nawet jeśli ten mąż widział w niej inną osobę. Tęskniła też za swoim psem. Przyzwyczaiała się już zasypiać z Ollie skuloną u jej stóp. A także z Benem - przytulona do jego potężnego, muskularnego ciała. Na myśl o nim drgnęło jej serce.

O nie, nie podda się bez walki, choćby miała to być walka na śmierć i życie.

Opuściła nogi na podłogę i rozejrzała się po pokoju. Wszystko wokół niej falowało i rozmywało się jak w krzywym zwierciadle. Gdzie jest telefon? Przecież musi tu gdzieś być.

O, jest, na stoliku, przy drugim łóżku. Uczepiła się wezglowia, spróbowała wstać i... osunęła się na kolana. Nie szkodzi. Dotrze tam na czworakach.

Centymetr po centymetrze pokonała przestrzeń dzielącą ją od stolika, na którym stał telefon. Chwyciła za blat i chciała się podnieść, ale stół zachwiał się i telefon spadł z hukiem na podłogę.

Wstrzymała oddech, przerażona hałasem. Usiadła i czekała, że zaraz pojawi się Barlow. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Mogła więc spokojnie sięgnąć po słuchawkę.

Podniosła ją i wystukała numer policji.

I nic.

Zaskoczona, spróbowała raz jeszcze. Postukała w widełki, ale w słuchawce panowała głucha cisza. Sprawdziła sznur. I wtedy okazało się, że został przecięty w połowie.

- O nie - szepnęła.

W tej sytuacji nie miała wyboru. Musiała stąd uciekać. Ale najpierw...

Postanowiła przedsięwziąć pewne środki ostrożności, na wypadek gdyby jej się nie udało. Musiała zostawić Benowi jakieś wskazówki. Obawiała się bowiem, że może jej nie starczyć sił nawet

na to, żeby dotrzeć do recepcji. A wtedy doktor Barlow znajdzie ją i już więcej nie spuści jej z oka.

Desperacko rozejrzała się po pokoju. Tak, najpierw notatnik. Podczołgała się do łóżka i wyrwała z notesu te kilka stron, na które przelała swoje myśli, a potem znowu wsunęła je pod materac, dla bezpieczeństwa. Potem szybko zapisała coś na czystej kartce, wyrwała ją i wsunęła zmiętą do kieszeni. A potem jeszcze coś napisała, podczołgała się do okna i z najwyższym wysiłkiem spróbowała je otworzyć. W końcu jej się to udało, więc wyrzuciła notatnik przez okno, modląc się w duchu, by ktoś znalazł go i odczytał jej wołanie o pomoc.

Na sam koniec ściągnęła z łóżka dodatkowy koc i wywiesiła go za okno, tak że łopotał jak flaga na wietrze. Ale tylko póki nie spadnie deszcz, bo jeśli koc zmoknie i przyklei się do muru, będzie z dołu niewidoczny. Mimo to zostawiła go tam i szczelnie zasunęła firanki, żeby Barlow niczego nie zauważył.

Poczłgała się do łazienki i wstała, przytrzymując się umywalki. Tutaj też musi zostawić jakąś wiadomość. Tak na wszelki wypadek. Szminka... Szkoda, że nie ma ze sobą szminki. Mydło... Ostatecznie może być i mydło. Sięgnęła po mydełko, opakowane w firmowy papier Holiday Inn, i mdlejącymi palcami spróbowała rozedrzeć folię. A potem, wsparta na umywalce, drżącą ręką wypisała na lustrze: *„Dzwonić na policję. Zostałam porwana. Penny Brand”*.

Trzęsła się cała z wysiłku, ale dokonała tego, co zamierzała. Jeżeli nie uda jej się uciec, może ktoś przeczyta tę wiadomość, zanim zobaczy ją Barlow. Może pokojówka? I może wtedy wezwie pomoc?

Pora iść. Miała nadzieję, że poczuje się lepiej, ale się przeliczyła. Znowu zaczęło jej się ćmić w oczach i kręcić w głowie. Wszystko przez te przeklęte zastrzyki...

Zaraz, zaraz... Zastrzyki... Trzeba się ich pozbyć...

Jej przyćmiony umysł gorączkowo pracował. Przypomniała sobie doktora Barlowa, zgiętego w pół, na drugim końcu pokoju. Szafka. Teraz ją widziała. Dowłokła się do niej z trudem. Ach, te zastrzyki...

Osunęła się na kolana i otworzyła drzwiczki. W środku zobaczyła kilka szklanych ampulek ze środkiem nasennym, który jej podawał. Poczowała, że ogarnia ją gniew. Jak ten drań śmie jej to robić? Jednym ruchem ręki wymiotła ampułki na podłogę i zaczęła je niszczyć.

Dobrze mu tak! Niech ją teraz spróbuje uśpić.

I niech tylko spróbuje więzić ją tu, bez tych swoich zastrzyków. A teraz pora uciekać. Jak najprędzej. Miała za dużo do stracenia, żeby rezygnować z tego dla jakiegoś szaleńca, nawet jeśli ten szaleniec ocalił jej życie.

Opierając się o meble, dotarła powoli do drzwi. Trwało to dosyć długo, ale się udało. Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. Za nimi znajdował się korytarz z wieloma innymi drzwiami, a na każdym był

jakiś numer. Zza rogu, na drugim końcu, wyłonił się jakiś mężczyzna. Gość hotelowy. A to oznaczało pomoc! Uniosła rękę i zawołała:

- Ratunku! Na pomoc!

Mężczyzna przyspieszył kroku. Podbiegł, a wtedy jak przez mgłę zobaczyła jego twarz.

- Nie... - wyszeptała, gdy dłonie Barlowa zacisnęły się na jej rękach. - Nie!

Wciągnął ją brutalnie do pokoju. Szarpiąc się z nim, zdołała zsunąć z palca obrączkę i upuścić ją na dywan w korytarzu, zanim zamknął drzwi do pokoju, który był jej więzieniem. A ona mogła już tylko czekać i modlić się, żeby jeszcze nie dostał tego swojego senitratu.

Strażnicy przechwycili przesyłkę dla Barlowa, ale Bena bardzo przygnębił sposób, w jaki policja potraktowała ten trop. Natychmiast ściągnięto ludzi z Agencji do Spraw Zwalczenia Narkotyków, którzy przeszukiwali teraz małą pocztę w El Paso. Benowi i jego braciom kazano się usunąć na bok, mimo prób interwencji Garretta. Najbliższy punkt, z którego nie zauważeni mogli obserwować pocztę, znajdował się po drugiej stronie ulicy. Był to mały bar kawowy. Adam z Benem usiedli przy oknie i czekali. Co zresztą innego mogli robić?

- Barlow musiałby być idiotą, żeby wejść teraz na pocztę - zauważył Adam.

Miał rację. Ben też tak myślał. Każdy, kto choć trochę znał tę spokojną dzielnicę, musiał zwrócić uwagę na niezwykle w tym miejscu ruch, a także rząd ciemnych samochodów, zaparkowanych

wzdłuż uliczki. Samochodów, które miały się niczym nie wyróżniać, ale z których sterczały policyjne anteny. A siedzący w nich ludzie nie spuszczała oka z poczty.

- Nie zniosę tej beczynności, Adam. Muszę coś zrobić.

- W porządku, tylko co? Ben potrząsnął głową.

- Tego nie wiem, ale wiem, że ona gdzieś tu jest, w tym przeklętym mieście.

- Ale gdzie? - zapytał Adam, patrząc na ulicę.

- Jeżeli Barlow zauważy policję, będzie próbował przenieść Penny w jakieś inne miejsce. Może nawet uzna, że to za duże ryzyko, zachować ją przy życiu...

- Nie wolno ci tak myśleć!

Ben spuścił głowę i zamknął oczy.

- Wychodzę stąd. - Odsunął z hałasem krzesło.

- Ale dokąd? Nawet nie wiesz, gdzie jej szukać.

- Muszę przynajmniej spróbować. Przecież tu chodzi o Penny!

Ona teraz walczy o życie. I to samotnie! - Odwrócił się do drzwi, ale Adam już skoczył za nim, żeby go nie zostawiać samego.

- Masz wyrzuty sumienia? - zapytał.

Ben odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy.

- Jasne, że tak! Jakże inaczej? To ja powiedziałem jej, że między nami wszystko skończone, bo poczułem się urażony. To ja pozwoliłem jej wyjść, a powinienem błagać ją na klęczkach, żeby została, bez względu na to, co zrobiła, czy może czego nie zrobiła w przeszłości. Bóg uczynił cud, a ja to odrzuciłem. Kocham ją. - Ukrył

twarz w dłoniach, a jego ciałem wstrząsnął szloch. - Idę stąd i będę szukał tak długo, póki jej nie znajdę. - Umilkł, czekając na słowa protestu, tymczasem Adam powiedział tylko:

- Idę z tobą, bracie.

RS

ROZDZIAŁ 13

Powinienem się domyślić, że będziesz próbowała takich sztuczek! - Barlow mówił głośno. Był zły. Pchnął Penny na łóżko tak mocno, że uderzyła się w głowę.

Milczała, gdy się nad nią nachylił. Sięgnął po środek nasenny i gdy zobaczył potłuczone ampułki, wpadł w szal.

- Niech cię diabli! Przecież uratowałem ci życie! - Spojrzał na nią przez zmrużone powieki. - Chyba że wolisz śmierć niż życie? Czy tak jest, Penny? Czy dlatego okazałaś się taka niewdzięczna? Chcesz umrzeć?

- Ocalił mi pan życie - wyszeptała - a potem mi je ukraść. Okłamał mnie pan. Mówił, że nie mam nikogo, podczas gdy...

Barlow wymierzył jej siarczysty policzek. Siła uderzenia sprawiła, że znowu boleśnie uderzyła głową w oparcie łóżka. Barlow nagle się uspokoił i tylko patrzył na nią martwym wzrokiem.

- Tak ciężko pracowaliśmy. Nie możesz jej tego zrobić! - powiedział głucho.

Jego słowa przeraziły Penny bardziej niż wymierzony policzek.

- Komu zrobić... co...?

- Próbujesz ją zniszczyć, prawda? Ale ja na to nie pozwolę, rozumiesz? Nigdy na to nie pozwolę!

- O kim pan mówi, na Boga, panie doktorze? - wyszeptała ze zgrozą.

- Zmywamy się stąd - powiedział. - Gdybyś nie miała takiego znaczenia dla moich badań, możesz mi wierzyć, że zostawiłbym cię tu martwą. Poza tym przypominam ci, że gdyby nie ja, dawno byś już nie żyła. Niestety, nie mogę cię tu zostawić. Nie mogę też dostać senitratu.

Chciała go zapytać, dlaczego, ale uznała, że lepiej milczeć. Barlow odszedł od jej łóżka, a Penny szybko chwyciła kilka zapalek z nocnego stolika i wsunęła je do kieszeni. Twarz piekła ją, ale myślała logicznie i jasno. Może to uderzenie w twarz przyniosło więcej pożytku niż szkody. Pomyślała, że chyba potrafi już wstać bez pomocy, a nawet przejść pewnie kilka kroków.

- Zjedziemy windą do garażu, gdzie zaparkowałem samochód - odezwał się Barlow. - Przy odrobinie szczęścia możemy wymknąć się niepostrzeżenie.

- D-d-dokąd jedziemy?

- Daleko stąd. Tam, gdzie policja nie będzie czekała na mnie na poczcie. W ostateczności, kochanie, zabiorę cię ze sobą do Anglii. Ale tylko wtedy, jeśli będziesz ze mną współpracować.

- Nie musi mnie pan niczym faszerować - zapewniła pospiesznie. - Pojadę z własnej woli, przysięgam.

Barlow uśmiechnął się ponuro.

- Nie, nie pojedziesz. Oboje dobrze o tym wiemy, prawda, Penny? Ale zgodzisz się na wszystko, kiedy będziesz miała we krwi wystarczającą ilość narkotyku. Staniesz się potulna jak baranek.

- Na pana miejscu nie byłabym taka pewna siebie - oznajmiła, mierząc go rozwścieczonym wzrokiem. - Poprzednim razem nie wszystko poszło zgodnie z planem, prawda?

Barlow uniósł brwi.

- Dlatego tym razem dawka będzie większa, Penny. Znacznie większa. Dopilnuję, żeby tym razem skutki były nieodwracalne.

Te słowa ją zmroziły.

- Czemu pan mi to robi? - zapytała drżącym głosem. Czowała, że zaraz pęknie jej serce. Ledwo odnalazła miłość, a już Barlow chciał jej tę miłość odebrać.

- Żeby uratować życie wielu ludziom, Penny. Czyżbyś nie rozumiała, kim jesteś? Jesteś pierwszym pacjentem, jakiego udało się całkowicie wyleczyć z HWS. I to ja cię uleczyłem. Pracowałem nad tym całym latami i nie pozwolę sobie teraz tego odebrać.

Penny pokręciła powoli głową. Po raz pierwszy w oczach Barlowa dostrzegła błysk szaleństwa.

- Przecież ma pan to lekarstwo. To pan je opracował... Osiągnął pan więcej niż inni naukowcy. Więc po co panu moja osoba?

- Mam lekarstwo, Penny, to prawda. Ale, jak ci już mówiłem, w przypadku innych pacjentów okazało się ono nieskuteczne. W przypadku mojej... matki również zawiodło.

Penny zaczerpnęła tchu i pomyślała, że chyba wreszcie zaczyna go rozumieć.

- Pan... pan stracił matkę? - zapytała.

- Ach nie - wyszeptał - ona wciąż jest przy mnie, Penny.

Prowadzi mnie, mówi mi, co mam robić. Przyrzekłem jej, że uporam się z tą chorobą i zamierzam dotrzymać obietnicy.

Penny zamyśliła się. Wcześniejsze słowa Barlowa odnosiły się do jego zmarłej matki, z którą wciąż rozmawiał. Zamknęła oczy i zaczęła się zastanawiać, co jeszcze może się wydarzyć.

- W twoim przypadku moja kuracja okazała się skuteczna i musi to mieć jakąś przyczynę, ukrytą w twoim organizmie. Powinnaś czuć się zaszczycona, Penny, że masz tę szansę. Dzięki tobie będzie można ocalić życie wielu ludziom, będzie można wyleczyć ich z tej strasznej choroby. Przejdiesz do historii medycyny!

Zadrżała. Barlow wyciągnął do niej rękę.

- Chodź. Pora jechać. Oni są już zbyt blisko.

Cofnęła się, zdjeta strachem, a on przeszył ją przenikliwym wzrokiem.

- Nadal nie rozumiesz, jakie to ważne? - Kiwając z ubolewaniem głową, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki pistolet i wycelował go w Penny. Spojrzała w idealnie okrągły otwór lufy i poczuła, że miękną pod nią kolana. - Mówiłem, że łatwiej ci będzie przejść przez to, jeżeli dam ci środek nasenny. Ale ty wszystko popsulaś. Jeżeli nie zechcesz robić, co ci każę, będę musiał cię zastrzelić. A jeśli ci się wydaje, że nie potrafię spełnić swojej groźby, to się mylisz. I, niestety, ten sam los spotka każdego, kto spróbuje wejść mi w drogę. A teraz wstawaj. Idziemy!

I Penny wstała, z ciężkim westchnieniem.

Adam i Ben wstąpili do co najmniej tuzina hoteli w El Paso, rozmawiali w recepcjach, pokazywali fotografię Penny, ale jak dotąd bez rezultatów. Ben był przerażony. Bał się, że Barlow już wyjechał, zabierając Penny ze sobą, a jemu nigdy nie uda się jej odnaleźć.

Dzięki Boku i za to, że Barlow nie miał jak na razie senitratu. Ben kurczowo uczeplił się tej myśli, gdy szli wraz z Adamem do budynku Holiday Inn.

Nagle Adam przystanął i pociągnął Bena za rękaw.

- Co się dzieje? - zapytał Ben, a potem spojrzał w ślad za wzrokiem Adama, stojącego z zadartą głową. - Co to jest?

- Najwyraźniej ktoś wywiesił koc za okno. Ben zamarł.

- To Penny! Daje nam znak! - rzucił się przed siebie, ale Adam natychmiast chwycił go za rękę i zatrzymał. Przy okazji nadepnął na notes, wyrzucony przez jakiegoś bałaganiarza i kopnął go na bok, zirytowany.

- Opanuj się. Zróbmy to jak należy. Trzeba wezwać policję i poczekać, aż...

- Aż zjawią się całą kupą, z bronią gotową do strzału, tak? Barlow gotów wpaść w panikę i zrobić jej krzywdę. - Na myśl o tym poczuł bolesny skurcz żołądka. - Idę tam.

Adam popatrzył na niego i pokiwał głową, a potem znowu spojrzał w górę.

- Czwarte piętro, narożny pokój. Chodźmy.

Razem pobiegli do wejścia. Adam chciał przystanąć przy recepcji, ale Ben nie zwolnił. I tak nie daliby mu klucza, a on nie miał

czasu na wyjaśnienia. Biegł na górę, pokonując naraz po dwa stopnie. Adam zawahał się, a potem ruszył za bratem. Czuł na sobie zaintrygowane spojrzenia i był pewny, że recepcjonista już w tej chwili wzywa ochronę. Niewiele go to obchodziło.

Na podeście czwartego piętra Ben skręcił w długi korytarz i popędził do narożnego pokoju. Przed drzwiami zatrzymał się. Po prostu bał się wejść do środka. Adam dogonił go i nacisnął klamkę. Posunięcie bezcelowe, jeśli się nie ma klucza. Adam spojrzał na niego z ukosa.

- Może zapukasz?

Ben wbił wzrok w dywan na podłodze. Nagle jego uwagę przykuł jakiś błysk. Ukląkł i podniósł małe, złote kółko -ślubną obrączkę Penny. Zacisnął ją w pięści i podniósł się z klęczek.

- Tak - powiedział. - Z pewnością zapukam. Odsuń się. Adam skrzywił się, ale się przesunął. Ben zaczerpnął tchu i wymierzył mocnego kopniaka. Z jego ust wyrwał się przy tym przerażający okrzyk.

Drzwi otworzyły się, uderzając w ścianę, a Ben wtargnął do środka, gotowy do walki.

Pokój był pusty. Widok zmiętej pościeli na łóżku przyprawił go o dreszcz. Na podłodze, obok przewróconego stolika, leżała rozbita lampka. Kiedy podszedł bliżej, coś zazgrzytało mu pod butami. Nachylił się i podniósł rozbitą ampułkę.

Adam już sprawdził zawartość szafki i wpadł do łazienki.

- Uciekli - wyszeptał Ben. - A niech to, zdążył ją już gdzieś wywieźć.

- Ale ona wcale mu tego nie ułatwia - odezwał się Adam z łazienki.

Ben zauważył przecięty sznur telefoniczny. Ten drań także nie ułatwiał Penny zadania. Mimo to próbowała. Z całych sił. Wszedł do łazienki, gdzie Adam wskazał mu lustro. Ben przeczytał napisaną mydłem prośbę Penny o pomoc.

- Niezły numer, ta twoja żona - powiedział Adam, a potem zauważył, że Ben trzyma w ręku kawałek stłuczonego szkła. - Co to jest?

- Zastrzyk nasenny. Chyba. Wygląda na to, że Barlow nie ma tego senitratu, ale podaje jej środek uspokajający.

- To dlatego jej pismo jest takie niewyraźne. Ben zamknął oczy.

- Wyraźne czy nie, i tak udało jej się zostawić nam wiadomość. Stłukła mu też wszystkie ampułki i wywiesiła koc, żebyśmy wiedzieli, gdzie jest. Upuściła na korytarzu obrączkę... - Głos mu się załamał.

- I dalej będzie tak robić, Ben. Zobaczysz, że ją znajdziemy. W korytarzu rozległy się kroki.

- Co panowie tu robią?

Ben odwrócił się i zobaczył mężczyznę w garniturze, prawdopodobnie zarządcę hotelu, który z przerażeniem patrzył na zdewastowany pokój.

- Mój brat wszystko panu wyjaśni - odparł. - Gdzie jest parking?

- Ale... ale chyba nie sądzicie, że pozwolę wam tak po prostu wyjść, zostawiając cały ten bałagan... Przecież ktoś musi za to zapłacić.

Ben chwycił go za koszulę i uniósł w górę.

- Chyba pan mnie nie usłyszał. Pytałem, gdzie jest parking.

- N-n-na tyłach... A pod spodem są garaże. Ben puścił go i dotknął kapelusza.

- Dziękuję uprzejmie. - A potem wyszedł, pozostawiając Adama z przerażonym mężczyzną.

Zbiegł po schodach, bo nie miał cierpliwości czekać na windę. Jego kroki odbijały się echem od ścian pustej klatki schodowej. W połowie drogi kopnął coś, co potoczyło się kilka stopni w dół. Przykucnął i podniósł kartonik z zapalnikami.

Wewnątrz, drżącą ręką wypisano literę P.

- Idziemy na pomoc, Penny - wyszeptał, chowając kartonik do kieszeni. Na dole jednym pchnięciem otworzył drzwi i wbiegł do podziemi hotelu. Wokół stały lśniące samochody, które w mroku wydawały się mieć jednolitą barwę. Nie wiedział, w którą stronę iść. Spojrzał w dół i dostrzegł na betonie kolejny kartonik z zapalnikami.

- Dzielna dziewczyna - wyszeptał. - Prowadź, kochanie. Idę po ciebie.

Ruszył wzdłuż rzędu lśniących samochodów, wypatrując dalszych śladów. I znalazł je. Zapalniki na pustym kwadracie na parkingu. Nagle stracił całą nadzieję. Spóźnił się, już wyjechali. W tym samym momencie usłyszał za plecami jakiś głos. To dozorca

parkingu siedział w szklanej budce przy wyjeździe i rozmawiał przez telefon. Ben znowu spojrzał na puste miejsce. Poziom pierwszy, numer czternasty. Podbiegł do budki i zawołał:

- Możesz mi pomóc? Jaki wóz parkował na czternastce! Czarny chłopak z kolczykiem w nosie zmarszczył brwi.

- A o co chodzi? Po co to panu? Nie wolno mi...

- Porwano kobietę! Była w tym samochodzie! Mów! Chłopak otworzył szeroko oczy.

- Przepraszam. Nie zapisujemy, gdzie stał jaki samochód.

Sprawdzamy tylko, czy zapłacili.

Ben zaklął.

- Czy ta kobieta jest chora albo coś w tym rodzaju? - zapytał nagle chłopak.

- Czemu pytasz? - poderwał się Ben.

- Bo kilka minut temu odjechał stąd jakiś facet z kobietą. Nie potrafię jej opisać, tyle że wyglądała na chorą. Opierała się o drzwi i tak dziwnie zwisała... myślałem, że może jest pijana, ale kto się upija tak wcześnie rano?

- Nie była pijana, tylko dostała zastrzyk. Pamiętasz, co to za samochód?

Chłopak uśmiechnął się.

- Czarna chevy Corsica dziewięćdziesiąt sześć. Ben spojrzał na niego podejrzliwie. Chłopak wzruszył ramionami.

- Mój tata kupił taką samą w zeszłym roku.

Po raz pierwszy Ben poczuł, że w jego serce wstępuje nadzieja.

- Dzięki, chłopcze. Bardzo mi pomogłeś.

- Mogę zrobić dla pana jeszcze coś. Jeżeli pan wie, w którym pokoju mieszkali, mogę zdobyć numery rejestracyjne.

Ben spojrzał na niego z wdzięcznością.

- Pokój czterysta dziesięć. A jeżeli jeszcze pozwolisz mi zadzwonić, dam mojemu pierworodnemu twoje imię.

Chłopak podał Benowi telefon, otworzył książkę parkingu i w tym czasie, gdy Ben wykręcał numer Garretta, przepisał numery tablic. Ben spojrzał na kartkę. Pod numerami widniało „Reginald Kenneth”.

Popatrzył na chłopaka, marszcząc brwi.

- Tak mi na imię - wyjaśnił.

W pokoju hotelowym kręcili się policjanci i ekipy sądowe. Reginald, przesłuchiwany przez jednego z policjantów, ochoczo odpowiadał na liczne pytania.

Ben krążył nerwowo po pokoju.

- Uspokój się. Znajdziemy ją - powiedział Garrett i klepnął brata w ramię.

- Chcę za nimi jechać. Nie mogę siedzieć i w kółko odpowiadać na te same pytania.

- Posłuchaj, na drogach ustawiono blokady, krążą helikoptery, mamy numery rejestracyjne i opis wozu. Daleko nie uciekną. A jak tylko ich namierzemy, sam cię do niej zawiozę. Masz na to moje słowo,

Ben potrząsnął głową.

- A jeżeli Barlow zacznie się ścigać? Mogą się rozbić. Penny może zginąć. - Zamknął oczy i pomyślał, co to byłaby za ironia losu, gdyby po raz drugi stracił Penny w wypadku samochodowym.

- Nie będziemy ryzykować życia Penny.

- A jeżeli on wyciągnie broń i posłuży się Penny jako zakładniczką? I zażąda, żebyśmy pozwolili mu wyjechać z nią z kraju?

- Przestań krakać - warknął Garrett i wcisnął Benowi do ręki kilka kartek z hotelowego notatnika. - Masz, przeczytaj sobie, to się na chwilę oderwiesz od tamtych spraw.

Ben spojrział na kartki i zobaczył drżące pismo, przypominające pismo Penny.

- Co to jest?

- Wygląda na to, że znała jego plany. Zapisała pewne rzeczy, bo chciała je zapamiętać. Musiała to zrobić, kiedy tego nie widział. Znaleźliśmy te kartki pod materacem.

Ben zaczął czytać. Serce ścisnęło mu się w piersi.

„Te notatki są własnością Penny Brand. Jeśli jej tu teraz nie ma, proszę zachować je dla niej, bo kiedy wróci, będą być może stanowić jedyną więź z życiem, które znowu jej odebrano”.

Pod spodem było po kilka linijek o każdym członku rodziny Brandów. Przeczytał wszystko. Także to, że Chelsea była dla niej lepsza niż siostra, a Jessi bardzo polubiła jej psa.

„I jeszcze jedno. Pies, nie zapomnijcie o psie. Ollie bardzo mnie kocha i będzie mnie nadal kochała, nawet jeśli nie będę jej sobie

mogła przypomnieć. Jestem tego pewna. To moja najlepsza przyjaciółka. Ona nie zwraca uwagi na moje głupie błędy.

Szkoda, że Ben nie potrafi mnie tak kochać".

Ben przerwał, otarł łzy, a potem czytał dalej:

„Nie wolno mi zapomnieć o Benie. Jest tyle rzeczy, które chciałabym zapamiętać. To, jak błyszczą mu oczy, kiedy ćwiczy z dziećmiakami w sali gimnastycznej. Jego ruchy, pełne wdzięku, kiedy odprawia swoje poranne medytacje. Kiedyś go przy tym podglądałam i byłam zachwycona. Myślę, że już wtedy przeczuwałam, że on jest tym jedynym jedynym, ale tego nie wiedziałam. Muszę sobie zapamiętać, że powinnam dawać wiarę takim przeczuciom. Moje serce zapamięta go, nawet jeżeli mój umysł zostanie pozbawiony wspomnień. Jestem tego pewna. Ale najbardziej chcę zapamiętać, że to mój mąż, a ja go kocham i zawsze go kochałam. Pewne fragmenty mojej przeszłości wracają teraz do mnie. Ale nawet gdybym sobie niczego nie przypomniiała, i tak bym się w nim zakochała. Jeśli znowu zapomnę, nie będzie to miało żadnego znaczenia, bo moje serce nigdy go nie zapomni. A ja czuję w głębi duszy, że to jedyny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek mogłabym pokochać. Doktor Barlow ze swoimi lekarstwami może pozbawić mnie pamięci, życia czy przeszłości, ale mojej miłości nic nie jest w stanie odebrać.

A jednak zraniłam Bena. Oszukałam go i przysporzyłam mu wiele cierpień. To także muszę zapamiętać. Bo bez względu na to, co się wydarzy, wrócę do niego. A kiedy go odnajdę, będę walczyć o jego

miłość. Sprawię, że znowu mnie pokocha. Jeżeli mi się to nie uda, moje życie nie będzie spełnione. Nigdy".

Ben skończył czytać. Ręce mu drżały. Garrett delikatnie odebrał mu notatki.

- Muszę je zachować jako dowód rzeczowy. Ale pomyślałem sobie, że to ty powinienes je przeczytać jako pierwszy.

Ben skinął głową.

- Ale ze mnie idiota - powiedział przez ściśnięte gardło.

- Niestety, braciszku - przytaknął Garrett.

- Penny uważa, że już jej nie Kocham. - Ben ukrył twarz w dłoniach. Jak mógł dopuścić do tego, by tak pomyślała? Nawet w złości. Nawet w gniewie.

- Wobec tego, kiedy ją zobaczysz, musisz jej powiedzieć, że to nieprawda.

Nagle odezwała się krótkofalówka. Jeden z policjantów odebrał i podbiegł do Garretta.

- Namierzyli samochód! Benowi serce załomotało w piersi.

- Gdzie? - zapytał Garrett.

- Pilot helikoptera mówi, że jadą ku granicy z Meksykiem - odparł policjant. - Są niedaleko stąd.

Garrett odwrócił się ku drzwiom.

- Szeryfie Brand! - zawołał za nim policjant. - Mamy wozy w drodze. Będą tam przed wami.

- To wcale nie jest takie pewne - rzucił Garrett, a Ben pomyślał, że w tym momencie przegoniłby ich nawet na piechotę.

ROZDZIAŁ 14

Teraz, kiedy doktor Barlow nie miał już środków, które mógłby jej zaaplikować, Penny czuła, że zaczyna jej się rozjaśniać w głowie. W miarę jak odzyskiwała jasność umysłu, znowu pojawiła się myśl o ucieczce. Ale jak się za to zabrać? Może chwycić za kierownicę? Zauważyła, że Barlow prowadzi tylko jedną ręką.

To dlatego, że w drugiej trzymał broń. Widok czarnego końca lufy, wycelowanej w jej stronę, działał na nią bardzo przygnębiająco.

Gdyby złapała za kierownicę, mogliby się roztrzaskać o drzewo. Przy tej prędkości, z jaką jechali, pewnie zginęłyby na miejscu. Ale w najgorszym wypadku podejmie to ryzyko. Lepiej zginąć, niż znowu stać się osobą bez własnego życia, bez przeszłości.

I bez Bena.

Wychyliła się, żeby zapiąć pas.

- Co robisz?! - wrzasnął Barlow.

Podskoczyła, przestraszona niespodziewanym krzykiem. Barlow był coraz bardziej zdenerwowany, a jego stan udzielał się także i jej.

- Chciałam tylko zapiąć pas. Jedziemy za szybko.

Nagle przyszło jej do głowy, że skok z samochodu byłby chyba lepszym wyjściem. W takim przypadku zapięty pas stałby się tylko przeszkodą. Może Barlow zwolni na jakimś zakręcie, a wtedy spróbuje. O ile szczęście będzie jej sprzyjać.

Mogłaby też walnąć go w głowę. Ale on nie przestawał celować do niej z pistoletu. Mogłaby wpaść w panikę i nacisnąć spust.

Kiepska sprawa! Jak w tej sytuacji postąpiłaby Nancy Drew? Przebiegła w myślach wszystkie historie o Nancy Drew, jakie czytała w dzieciństwie. Czy nie było w nich podobnego przypadku? Czy Nancy Drew choć raz w swojej karierze nie musiała skakać z pędzącego samochodu, by uciec spod lufy szaleńca?

Nagle dotarło do niej, że przypomniała sobie wszystkie te historie! Jedną po drugiej!

Zamknęła oczy i nagle... o Boże!... Przypomniała sobie rodziców! Poczowała bolesny ucisk w gardle. Łzy napłynęły jej do oczu. Przypomniała też sobie swój ślub. To była taka piękna, a zarazem smutna ceremonia. Oboje z Benem wiedzieli już wtedy, że jest nieuleczalnie chora.

Mimo to Ben ją kochał. Patrzył na nią, a w jego oczach jaśniało tyle miłości, że aż się rozplakała. A on przysiągł, że jej nie opuści aż do śmierci.

A jak ona mu się za to odwdzięczyła? Pozbawiła go szansy spełnienia ślubów, mimo iż wiedziała, jak wiele dla niego znaczyły.

- Mój Boże - wyszeptała. - Mój Boże... przecież ja wszystko pamiętam...

Pod natłokiem wspomnień zapomniała na moment o siedzącym obok mężczyźnie, który zwrócił się w jej stronę i powiedział:

- Ciesz się tym, póki możesz, Penny. Niedługo znowu wszystko zapomnisz. Obiecuję ci.

Tym razem poczuła coś więcej niż gniew. Ogarnęła ją furia. Teraz, kiedy odzyskała pamięć, Barlow nie ma prawa jej tego pozbawiać!

- Jeszcze czego! - krzyknęła. Chwyliła za kierownicę i z całej siły przekręciła ją w swoją stronę. Padł strzał. Samochód zakręcił się wokół własnej osi i uderzył w coś, wzniecając tumany kurzu. Szyby rozprysnęły się na tysiące drobniutkich kawałków. Siła uderzenia wyrzuciła Penny do przodu. Uderzyła o coś twardego, a potem została wciśnięta w fotel. Głowa pękała jej z bólu.

Kiedy oprzytomniała, stwierdziła, że nic nie widzi, bo krew zalewa jej oczy.

Za kierownicą siedział Garrett. Ben był nawet z tego zadowolony, bo ręce tak mu drżały, że z pewnością spowodowałyby wypadek, zanim udałoby im się dogonić Barlowa. No i oczywiście nie potrafiłby prowadzić równie szybko jak Garrett, który wcisnął gaz do dechy i pędził z taką prędkością, że niektóre zakręty pokonywali na dwóch kołach, zamiast na czterech. Adam zaciskał tylko pięści, a Ben modlił się w duchu.

Nagle radio ożyło.

- Słyszeliśmy strzały! Słyszeliśmy strzały! Samochód podejrzanego wyleciał z drogi. Szeryfie! Wygląda to niedobrze!

Garrett chwycił nadajnik.

- Jak daleko stąd?

- Jakies trzy kilometry od was. Wezwałem już ambulans.

Wyłączam się.

- Ja też - mruknął Garrett, odłożył nadajnik i rozpiął kaburę. Wcisnął gaz jeszcze mocniej, tak że przód ciężarówki niemal uniósł się do góry.

W niespełną minutę ciężarówka z piskiem hamowała przed znakiem stopu, ustawionym na środku drogi. Ben wyskoczył, zanim się na dobre zatrzymali. Policjanci okrążali czarny, rozbity samochód. Podchodzili do niego powoli, zdecydowanie zbyt powoli, pomyślał Ben. Krzyczeli przy tym „Wysiadaj! Ręce do góry!”, ale polecenia te pozostały bez echa.

Samochód rozbił się o słup telefoniczny. Miał pogięty przód i wybite szyby. Spod maski wydobywały się kłęby pary i syczały w zetknięciu z zimnym deszczem.

Penny tkwiła w tym samochodzie!

Ben odtrącił stojących najbliżej policjantów i rzucił się na ratunek.

- Brand! Do cholery! Co ty wyrabiasz! Odsuń się! - zaczęli krzyczeć policjanci, ale on podbiegł do wozu i jednym szarpnięciem otworzył drzwi.

Penny leżała bez ruchu, z głową wspartą o tablicę rozdzielczą. Serce podskoczyło mu do gardła, wyciągnął ręce i wtedy zobaczył, że leżący obok mężczyzna poruszył się. Uniósł rękę i Ben miał tylko sekundę, żeby zrozumieć, że ta ręka trzyma pistolet.

- Rzuć broń! - rozległ się władczy głos. To Garrett otworzył drugie drzwi i przyłożył Barlowowi do głowy lufę własnego pistoletu.
-I to już!

Barlow miał rozciętą, zakrwawioną twarz i błędny wzrok. Ręce mu się trzęsły. Upuścił pistolet na siedzenie i zwiesił głowę.

- Jestem lekarzem - wymamrotał. - Nie rozumiecie, że chcę tylko ratować ludzkie życie? Nie mogę przerwać teraz badań... to zbyt ważne...

Garrett jednym szarpnięciem wyciągnął go z samochodu. Natychmiast otoczyli ich policjanci. Ben usłyszał wycie zbliżającej się syreny. Miał nadzieję, że to nadjeżdża karetka. Delikatnie pogłaskał Penny po głowie i zobaczył, że rękę ma mokrą od krwi.

- Penny - wyszeptał. - Trzymaj się, kochanie. Na Boga, trzymaj się!

- Ben?

Penny wolno uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Kocham cię - wyszeptała, po czym straciła przytomność.

Ben zaczął się modlić w duchu, żeby go znowu nie opuściła.

Wycie syren przybliżało się i już po paru sekundach sanitariusze zajęli się rannymi, odsuwając na bok Bena, którego z miejsca otoczyli jego bracia. I to wszyscy. Cała rodzina była w El Paso i czekała na jakieś wiadomości, więc kiedy tylko usłyszeli, że coś się stało, natychmiast przyjechali na miejsce wypadku. Jessi zarzuciła mu rękę na szyję i mocno przytuliła. Wszyscy pocieszali go, że Penny wyjdzie z tego, ale tak naprawdę nikt nie mógł mieć takiej pewności. Ben pomyślał, że może Bóg karze go za to, że odtrącił jego dar.

Nie! Ona nie umrze!

Nie widział Penny, bo zasłaniali ją teraz ludzie w białych fartuchach. Minuty wlokły się jak godziny. W końcu wszyscy rozstąpili się i z auta wyłoniła się Penny, podtrzymywana przez sanitariuszy. Ben rzucił się w jej stronę.

- Penny!- krzyknął.

Sanitariusze położyli Penny na noszach.

- Niech się pan uspokoi - powiedział z uśmiechem jeden z nich. - Pana żona ma tylko rozcięte czoło. Trzeba założyć kilka szwów. Może też mieć lekki wstrząs mózgu, ale poza tym nic jej się nie stało.

- O cholera! - wymruczała Penny. - Mój kark!

Sanitariusz roześmiał się

- Jest nieco nadwreżony - powiedział. - Powinna pani podać do sądu tego wariata.

Penny spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- A odkąd to szwy, wstrząs mózgu i skręcony kark tak bardzo was śmieszają?

- Od chwili, w której przeraziliśmy się, że zostałeś postrzelona - powiedział cicho Ben. Ukląkł przy noszach i ujął Penny za ręce. - Wszystko będzie dobrze.

Pokiwała głową, a potem skrzywiła się i potarła kark. Lekarz nachylił się nad nią, obmył jej twarz z krwi i założył prowizoryczny opatrunek.

- Tak - powiedziała. - Będzie nawet lepiej niż dobrze. Bo jest jeszcze jedno, Ben. Moja pamięć.

- To nieważne. - Ben nachylił się i delikatnie pocałował ją w usta. - Nawet jeżeli nic sobie nie przypomnisz, Penny, to nie będzie miało żadnego znaczenia. Postąpiłem jak ostatni głupiec.

- Ale, Ben, ja...

- Posłuchaj mnie, kochanie. Przez cały czas zastanawiałem się nad tym, co powinienem ci powiedzieć. I na myśl o tym, że mogę już nigdy nie mieć tej szansy, odchodziłem od zmysłów. Ale teraz, skoro mam tę okazję, pozwól, że wszystko ci powiem. Proszę. - Ben patrzył na nią, a przepełniająca go radość sprawiła, że z trudem formułował słowa.

Penny skinęła głową, patrząc mu w oczy.

- Nie miałem racji - wyszeptał. - Nie powinienem się nad sobą litować, a ciebie o wszystko obwiniać. Powinienem raczej dziękować Bogu na klęczkach za to, że dał nam jeszcze jedną szansę. - Przerwał na chwilę i chwycił ją za rękę. - Penny, to, co zrobiłaś, zrobiłaś z myślą o mnie. Zastanawiałem się, czy i ja nie postąpiłabym podobnie, gdybym wiedział, że jestem śmiertelnie chory. Ja także chciałbym ci oszczędzić widoku swojego powolnego konania. Zrobiłaś to z miłości. A teraz, kiedy się znowu pojawiłaś, zwróciłaś mi życie. Bo bez ciebie byłbym martwy. - Podniósł do ust jej rękę i je ucałował.

- Tak długo czekałam na te słowa, Ben - wyszeptała Penny.

- Wiem. Trzeba było to wcześniej powiedzieć. Ale byłem zaślepiiony. Penny, musisz mi uwierzyć, że między mną a Kirsten nigdy nic się nie zdarzyło. Odkąd cię straciłem, nie tknąłem żadnej kobiety.

- Naprawdę? - Podniosła na niego zdumiony wzrok.

- Jak mógłbym? Przecież cię kochałem. - Pogłaskał ją po rękach, a potem po twarzy. - Nadal cię Kocham.

Zamknęła oczy i zapytała:

- Nawet jeżeli nigdy sobie niczego nie przypomnę?

- Nawet wtedy - odpowiedział.

Uniosła powieki i uśmiechnęła się drżącymi wargami.

- Cieszę się, Ben... i wiesz co? Zaczynam sobie wszystko przypominać... Wraca do mnie przeszłość. Cała. Wszystko, co przeżyliśmy. Nasz ślub...

Ben bał się, że po policzkach popłyną mu łzy. Pochylił głowę i przycisnął sobie do czoła dłoń Penny.

- Ale... ale ja się już nie zmienię. Nigdy już nie będę tą słabą, zależną istotą, która cię opuściła przed dwoma laty.

Ben z powagą popatrzył na żonę.

- Tamta kobieta nigdy by temu nie sprostała - powiedział cicho. - Ale tobie się to udało. Dzięki twoim dzieciennym, detektywistycznym sztuczkom. Naprowadziłaś nas na swój ślad. Wiesz o tym, Penny?

- To już nieważne.

Sanitariusze pchnęli nosze w stronę ambulansu. Penny uniosła rękę. Zatrzymali się na chwilę.

- Proszę, dajcie nam jeszcze minutę.

Mężczyźni w białych chałatach wymienili spojrzenia i odeszli na bok, tam, gdzie na trawie siedział Barlow, zakuty w kajdanki.

Penny oblizwała zaschnięte wargi.

- Muszę to wiedzieć, Ben... czy potrafisz mnie kochać tak jak wtedy? To znaczy, czy możesz pokochać tę nową kobietę, jaką się teraz stałam? Nie tamtą... sprzed wypadku. Bo jeżeli nie, to lepiej powiedz mi od razu. Wiem, że to trochę potrwa, ale.

- Óóóó. - Ben przytknął jej palec do ust. - Kobietę, jaką teraz jesteś...? Nie rozumiesz, kochanie, że taka właśnie byłaś, kiedy się w tobie zakochałem?

Spojrzała na niego, zdezorientowana.

- Penny, przecież ty zawsze byłaś taka jak teraz. To ta choroba zrobiła z ciebie kogoś innego. Bardzo wcześnie wykryto u ciebie HWS. Byłaś wtedy taka młoda. Nigdy nie miałaś szansy, żeby stać się tym, kim naprawdę miałaś być. Los uczynił z ciebie pacjentkę skazaną na powolną śmierć.

- Wiem... - szepnęła Penny - wiem, że byłam beznadziejna. Od początku martwa w środku. Tak mi się wydaje.

- To musiało trochę potrwać, ale w końcu to zrozumiałem, kochanie. Gdyby nie ta przeklęta choroba, byłabyś dokładnie taka jak teraz. Stałabyś się dojrzałą kobietą, tak podobną do dziewczynki, w której się zakochałem. I którą kochałem mimo jej choroby. Nadal zresztą ją Kocham. I to bardziej niż kiedykolwiek.

- Mówisz szczerze? - zapytała i uśmiechnęła się przez łzy. Ben nachylił się i delikatnie ją pocałował.

- To prawda, Penny. - Patrzył na jej drogą, kochaną twarz i nie mógł się dość nacieszyć. Nagle wydał się sobie najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

- No, to moje życie jest już kompletne - wyszeptała. - Mam wszystko, czego kiedykolwiek chciałam.

Ben uśmiechnął się.

- To nasze życie jest teraz kompletne - poprawił ją łagodnie. -I zapewniam cię, że będzie to piękne życie.

- Kocham cię, Ben. Nigdy nie przestałam cię kochać. Naprawdę.

Ben zamknął oczy i napawał się brzmieniem tych bezcennych słów, których nie spodziewał się już nigdy usłyszeć. A potem sięgnął do kieszeni i wyjął obrączkę.

- Obiecuj mi - powiedział, wsuwając ją Penny na palec - że już nigdy jej nie zdejmiesz.

- Nigdy - zapewniła - Przenigdy.

EPILOG

Sześć tygodni później.

Penny siedziała na ganku, na huśtawce, przerzucając strony książki. Zapisała się właśnie na kursy detektywistyczne na uniwersytecie. U jej stóp leżała Ollie, na posłaniu, które przygotował jej Ben. Karmiła cztery tłuste szczeniaki. Pieski jak na razie bardziej przypominały małe prosiaczki. Przyszły na świat za pomocą cesarskiego cięcia, ale Jessi zapewniła Penny, że u buldogów to rzecz naturalna, bo ich szczenięta mają olbrzymie głowy.

Penny uśmiechnęła się i pomyślała, że los obdarzył ją naprawdę wspaniałą rodziną.

Ben wyszedł na ganek i usiadł na huśtawce, obok żony. Pochylił się i poklepał Ollie po łbie, a potem objął Penny i delikatnie pocałował w policzek.

- Mam tu coś - powiedział. - Odłóż na moment tę uczoną księgę i popatrz na to.

Spojrzała na gazetę, którą przyniósł, a potem szybko odłożyła książkę i wyjęła mu gazetę z rąk. Sensacyjny nagłówek brzmiał: „*Szalony doktor o krok od zwycięstwa nad nieuleczalną chorobą*”.

- To prawda? - zapytała, a jej wzrok prześlizgnął się po tekście.

- Tak. Barlow ujawnił wyniki swoich dotychczasowych badań - powiedział Ben. - Przebywa w szpitalu psychiatrycznym, ale zgodził się na współpracę z grupą amerykańskich naukowców.

- To wspaniała wiadomość!

- W gazecie piszą, że przy drobnej korekcie opracowany przez niego program leczenia może doprowadzić do całkowitego wyeliminowania HWS.

- Dzięki Bogu - westchnęła Penny. - Ten człowiek to geniusz. Myślę... myślę, że jemu po prostu za bardzo zależało. To straszne, stracić matkę, kiedy się jest o krok od odkrycia lekarstwa... Chyba właśnie to spowodowało, że przekroczył pewne granice.

- Wiesz, że chciałem go zabić? - zapytał cicho Ben. - A z drugiej strony, jestem mu głęboko wdzięczny.

- Wiem: To dość dziwna kombinacja uczuć, prawda?

Ben skinął głową, znowu pocałował żonę, a potem rozsiadł się wygodnie na huśtawce. Penny przytuliła się do niego.

- Ben?

- Mhm?

- Pamiętasz tę moją kolekcję książek o Nancy Drew?

- Jak mógłbym zapomnieć? Kiedy się pobraliśmy, uparłaś się, żeby je ze sobą zabrać. Zajęły połowę garderoby przy naszej sypialni.

Penny roześmiała się.

- Nie waż się narzekać na moją Nancy. To dzięki jej metodom wyszłam cało z tej awantury.

- Kto tu narzeka? Nancy powinno się postawić pomnik. Ollie podniosła głowę i warknęła.

- Widzisz? Nawet ta twoja grubaska przyznaje mi rację - powiedział Ben.

Penny pogładziła go po ramieniu i zamknęła oczy.

- Czy one nadal tam są? - zapytała.

- Książki? Skinęła głową.

Ben delikatnie pogłaskał ją po włosach.

- Czy myślisz, że byłbym w stanie wyrzucić jakąkolwiek rzecz, która do ciebie należała, najdroższa?

- To znaczy, że je zachowałeś, tak?

- Tak. To przez te twoje książki górna półka w garderobie całkiem się na środku wypaczyła. A czemu pytasz?

Penny zaczerpnęła tchu, wyprostowała się i wzięła Bena za rękę, a potem delikatnie położyła ją sobie na brzuchu.

- Przyszło mi do głowy, że może nasze dziecko będzie je kiedyś chciało poczytać.

- Na pewno tak, jak już będziemy... - Urwał, wyprostował się i wbił w nią wzrok. Olive zrobiła to samo, przechylając łeb na bok i strzygąc uchem. - Chcesz powiedzieć, że... będziemy mieli...?

- Tak. - Penny skinęła głową. - Będziemy mieli dziecko, mój mężu.

Ben poderwał się i zaczął krzyczeć na cały głos, aż pół tuzina Brandów wysypało się z domu, żeby sprawdzić, co wywołało takie zamieszanie.

Ben ściągnął Penny z huśtawki, porwał ją w ramiona i tak długo całował, aż Ollie zeskoczyła z posłania i zaczęła skakać jak oszalała, ujadając. Cztery szczeniaczki patrzyły na nich, mrugając ślepkami i zastanawiając się, gdzie się podział ich obiad.

- Ejże, co się tu dzieje? - zapytał Adam, patrząc to na Bena, to na Penny.

- Będę ojcem! - krzyknął Ben, a twarz mu pojaśniała. -
Będziemy mieli dziecko!

- Hurra! - Adam zerwał z głowy kapelusz i zaczął się nim uderzać po udzie.

- A niech to! - huknął Garrett i porwał żonę w objęcia.

- Moje gratulacje - powiedziała Chelsea, sięgając ukradkiem po chusteczkę.

- Zdaje się, że potrzebny nam będzie większy dom. - Elliot pokiwał głową. A potem nagle uśmiechnął się od ucha do ucha. -
Juhuu! Muszę zaraz zadzwonić do Jessi! I do Wesa. On też będzie chciał o tym wiedzieć!

Ollie wciąż skakała wokół Bena i Penny, głośno szczekając. Nawet stary Blue przyczłapał do progu, żeby sprawdzić, co się dzieje, i wyglądał przez ażurowe drzwi, marszcząc nos.

Penny patrzyła na otaczające ją, uśmiechnięte twarze Brandów i czuła, że wszyscy dzielają jej radość. A Chelsea nawet popłakała się ze wzruszenia.

Podniosła oczy na męża.

- Jeżeli to będzie dziewczynka - powiedziała - chciałabym ją nazwać Nancy.

Ben zmarszczył brwi.

- Wobec tego mam głęboką nadzieję, że to będzie dziewczynka.

- Dlaczego?

- Bo jeżeli urodzi się chłopak, musielibyśmy go nazwać Reginald.

- Jak? Reginald? - zdumiała się Penny. Wszyscy Brandowie spojrzeli pytająco na Bena.

- Czemu akurat Reginald? Ben wzruszył ramionami.

- To długa historia.

Potem znowu uśmiechnął się do żony, a ona oparła głowę na jego ramieniu i poczuła, że jest w domu. Otoczona bliskimi, życzliwymi ludźmi, którzy dali dowód, jak bardzo ją kochają.

Nigdy nie opuści tego miejsca i tych ludzi. Rodziny, której omal nie utraciła... mężczyzny, którego mimo amnezji nie mogła zapomnieć... miłości swojego życia - miłości, której nic nie było w stanie pokonać.

Zamglonym wzrokiem spojrzała na Bena i zobaczyła, że i jego oczy są pełne łez. Ogarnęło ją wzruszenie.

- Jestem taka szczęśliwa - wyszeptała.

- Dołożę wszelkich starań, żebyś zawsze była taka szczęśliwa, Penny. Zawsze.